ROK XXI.
Ogólnego zbioru Tom LXXXII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA,
1896.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy $12^1/_2$.

Druk ukończono d. 7 maja 1896 r.

CIOCIA HANIA.

WSPOMNIENIE.

Dziwnie cichym wydawał się dworek cioci Hani, otulony w bujny, zarosły, rosą oblany sad. Był to wieczór letni, a młody jeszcze księżyc mało jeno dawał światła i nie zabierał blasku gwiazdom, ani rozświecał głębokich plam gąszczu. Już też spadał ku horyzontowi; więc dworek rzucał długi cień na wysoką murawę dziedzińca. Cień ten gonić się zdawał za cieniem rozłożystéj, samotnéj jabłoni, a ta znów swój wysyłała aż pod progi staréj kapliczki. Nagle cień i cisza zmąciły się. Pchnięto z wewnątrz drzwi na oścież i wpadła przez nie jaskrawa smuga światła, a za nią chór cały młodych głosów kobiecych i głosików dziecięcych zda się zawichrzył tém uroczystém, nocném powietrzem i cała gromadka wypadła na dziedziniec.

A było to liczne grono. Piękna, czarnooka panna, któréj śmiech górował nad innemi, pobiegła wzdłuż cienistego dziedzińca, ciągnąc za sobą rozochoconą także, tęgą szatynkę. Za niemi posunęła się niechętnie niska, o poważnych rysach dziewczyna; ta jedna miała włosy gładko uczesane, a suknię obcisłą i „correcte." Za niemi pofrunęło całe stadko podlotków w jasnych, perkalowych bluzkach i rozleciało się po trawniku, pławiąc z roskoszą w rosie bose nóżki.

W chwilę potém rozwarły się jeszcze raz drzwi i wysunęła się przez nie postać, która zdawała się być uosobieniem ciszy, jak tamto gronko uosobieniem życia i gwaru.

Była to kobiéta już niemłoda. Siwiejące mocno włosy były przycięte i w tył odczesane; miała suknię jasną, szeroką i wygodną. Było w niéj coś dziwnie spokojnego i łagodnie jasnego. Zamknęła drzwi, obejrzała się na rozpierzchłą gromadkę, potém usiadła na schodach werendy i oparła głowę na ręku. Tak czyniła codzień już od lat?... O, wielu. I ten świeży, zielony sad, wokoło ten bujny trawnik służyły od tak dawna za tło jéj myśli, że gdyby go nie stało, myślom ciężko chyba byłoby się składać, albo poszłyby może innemi torami.

Usiadła, by odpocząć. Bo się „natuptała" i nagryzła przez dzień cały. Na dziś już koniec temu, a raczéj zawieszenie broni. Już zresztą niezdolna jest myśléć o swych wiecznych kłopotach, a przynajmniéj obiecuje sobie, że przestanie. Trzeba odpocząć, bo jutro musi wstać bardzo rano. Wozowica. Wartoby nawet pomodlić się i pójść zaraz do łóżka, bo nogi bolą, ale właśnie dla tego, że bolą, nie chce się dźwignąć z tych schodów, a potém, co silniéj jeszcze przykuwa ciocię Hanię do miejsca, to nieprzeparty, nęcący czar nocy.

I została; a że myślała o tém, iż jutro trzeba będzie wstać rano, więc mimowoli weszła znów na tor owych „kłopotów", o których postanowiła sobie zapomniéć na chwilę.

Jutro wozowica. Po 6 kóp na morgu owsa. To mało, ale jeżeli omłotny, to jeszcze nieźle być może. A trzeba będzie zaraz młócić, bo biedne konie już miesiąc cały czekają o zielonej paszy; ale trzeba będzie nająć młocków. Jest jeszcze całe 3 rs. Jutro koniecznie trzeba kupić cukru i herbaty, a mięso i tak się weźmie na kredyt, a jeżeli żyd się będzie upominał o załatwienie rachunków... no, to poczeka; z tym Berkiem żyje się lat tyle, że żydzisko przywykło i jakoś zawsze się z nim ugodzi; a dwóch młocków trzeba nająć koniecznie; nie godzi się dłużéj głodzić koni.

A co będzie, jak wyjdą trzy ruble? Ha, ileż to razy nie było i grosza całemi tygodniami, no i jakoś się żyło. Bóg nie opuści!

Spojrzała w górę na roziskrzone niebo.

Jaki jasny ten Jowisz! W tym roku dziwnie jasny; sympatyczna to gwiazda. Brat ziemi, a wspanialszy, i jakże pyszna musi być noc na Jowiszu, gdy wejdzie cała czwórka księżyców! Czy téż kiedy będą aż tak potężne narzędzia optyczne, żeby zbadać dokładnie przynajmniéj nasz system słoneczny? Przynajmniéj tę wdzięczną Wenus i tego Marsa, który zdaje się najodpowiedniejszy do kolonizacyi.

Bo kolonizacya Marsa leży cioci zarówno prawie na sercu, jak brak owsa dla koni, z tą różnicą, że tamta daje jéj wątek do marzeń poetycznych *à la* Flammarion, a ten ostatni, t. j. brak owsa, poprostu kraje jéj serce, które okropnie jest dobre, i nie może znieść myśli o nie-

doli, nawet zwierzęcéj. Gdy stara klacz gniada obróci swój łeb duży i patrzy na ciotkę, ot, tak sobie, aby patrzéć, to ciocia jest pewna, że ona myśli: „Czemu mi owsa nie dajesz?”

Co zaś do Marsa, to owe światy dalekie już ją pociągały ku sobie, gdy była małą dziewczynką. Wtedy wieczorem nieraz godzinami całemi siadywało sobie dziecko na przełazie od obory, skąd najobszerniejszy widać było widnokrąg, i wpatrywało się w gwiazdy. Nikt nie pytał Hani, o czém tak myśli. Tylko gdy wybiła dziesiąta, stara piastunka wiedziała dobrze, gdzie jéj szukać, aby ją wezwać do snu. Czy myślała co wtedy, gdy tak ze swojego przełazu wpatrywała się w iskrzące niebo? Niewiele chyba. Piękno, głębia i tajemniczość działają czasem bezwiednie na dzieci i ciągną je ku sobie czarem uroku.

Za to rozjaśniło się w marzącéj główce potém, gdy jako dorastająca panienka czytywała z ojcem poważne dzieła naukowe. Paliło się tam poprostu od natłoku głębokich zagadnień, a z kart książek tryskały takie nowe, takie świeże dla młodzieńczego umysłu. Chciwie czytała, z rumieńcem zapału rozprawiała, a często, po przeczytaniu jakiego ustępu, który myśl nową budził, podnosiła wzrok od książki i dziecięce jéj, zachwycone oczy spotykały się ze spojrzeniem łagodnych, przygasłych oczu ojca. Już nie potrzebowali mówić; rozumieli się.

Jasnaż bo była ta młodość cioci Hani, u boku starego ojca spędzona. Tak jasna i promienna, że jéj odblask dziś jeszcze jakąś łuną młodzieńczą bije z wysokiego czoła i wyniosłéj postaci.

Dziś jeszcze oczy jéj — zblakłe, cierpiące — mają to samo zadumane i głębokie, często zamarzone spojrzenie, co oczy tamtéj młodéj Hani z przed lat czterdziestu. Na twarzy jéj troski i bóle podpisały się wyraźnie i czytelnie: b y ł y ś m y, a myśl wyraźnie pisała: j e s t e m.

O moralnéj istocie cioci Hani nie rzekł nikt jeszcze dotychczas: postarzała się. Nie. Ta spoczywająca po trudach, skurczona na schodach kobiéta, to taż sama, co lat temu wiele siedziała tu prosta i wdzięczna, z książką w ręku, z zapałem w oczach. Obok niéj siedział, w tym wieku, co ona dziś, pochylony, białowłosy staruszek. Był drobny, rysy miał szlachetne, brodę białą, dziwnie słodki uśmiech i takież, jak córka dzisiaj, wybladłe, zamyślone oczy. Palił machinalnie fajeczkę, słuchał i potężną myślą światy ogarniał.

Marzyli oboje i czuli nawzajem oparcie w sobie. Zapał dziecka podnosił starca; potęga umysłu jego podtrzymywała dziewczynę. I wierzyli, wierzyli, jak dzieci, że świat dąży na dobre tory, że sto słońc spadnie, gdy będzie trzeba, na złych, że chodzi tylko o to, żeby ten świat poznał, gdzie światło, a tłumy cisnąć się będą ku niemu, a duch ludzki zrzuci, jak szatę, cały balast tradycyi i przyzwyczajeń i jak ptak ku

słońcu pogoni. W marzeniach swych widzieli przyszłość, widzieli ustroje społeczeństw bez wady i krzywdy, widzieli rozwiązanie zagadnień palących sumienie społeczne, widzieli zdartą zasłonę tajemnic przyrody i zazdrościli tym, co wieków ubiegłych tajnie odsłonią, a do gwiazd potrafią znaleźć drogę ludzkim oczom.

Marzyli. Dobry starzec — duch orli w wątłém i chorém ciele — oddawna opuścił ukochane dziecko. Ona sama odprowadziła go aż do ostatniego progu życia. Zgasł spokojny i przytomny; zdawałoby się, że duch silny porzucał to niewygodne i zużyte ciało, jak się porzuca oporne narzędzie. Pożegnali się tak pogodnie... Ona snuje dalej wątek téj razem rozpoczętéj przędzy. Marzyli i pracowali i ciocia Hania też w dalszym ciągu pracowała, pracowała bez wytchnienia, z takim zapałem, jakby świat się miał przewrócić zaraz, gdyby ciocia spoczęła. Tak się wyrażał przynajmniéj jeden z niezliczonych jéj siostrzeńców, a kończył zwykle tém, że ciocia niech nie myśli, iż ma jaką zasługę przed Panem Bogiem, bo nie ma, bo ona nie umiałaby, choćby chciała, spocząć w swéj pracy, taka w niéj siedzi sprężynka. Może. W każdym razie ciotka o swoich zasługach nie myślała i nie oceniała ich. Robiła dużo, jak inni robili mało, bo inaczéj nie pojmowała życia.

Z jasnéj gwiazdy wzrok jéj spadał powoli ku horyzontowi i napotkał czarne wiązanie rozkrytego dachu szopy, które prostemi liniami odcinało się na tle nieba. „Ach, kiedyż tę szopę pokryję!” — przemknęło błyskawicą w jéj myśli. I myśl jéj porzuciła Jowisza z całym jego urokiem, a poszła ciężką drogą kombinacyi gospodarskich. Dane do tych kombinacyi już setki razy były rozważane i obliczane. Żyta jest kóp tyle; gdy się omłóci, to wystarczy na pokrycie szopy, ale to będzie kosztowało. Zatém jeszcze nie można decydować się na to; na teraz owies pilniejszy, bo konie... Te konie, od źrebiąt hodowane, znów stanęły w oczach cioci i ukłóły jéj serce, które bodaj więcéj cierpiało niż same pokrzywdzone zwierzęta.

Wtem zamajaczyło coś na szopie, wiązania dachu ożyły; zapełniły się ruchomemi sylwetkami, a gwar młodéj gromadki, który równał się dotychczas jednostajnemu szmerowi, dla osłabłych uszu cioci rozmógł się teraz prawie do wrzawy i kobiéta żywo podniosła głowę.

— Ach, Boże! — zawołała z przestrachem.

I podniósłszy się z wysiłkiem, poszła szybko ku szopie, wołając:

— Dzieci! dzieci! co téż wyrabiacie!

Głos jéj nawet w wołaniu był jakiś przyciszony, a wyrazy wymawiała wolno. Ciotka była trochę, a teraz już bardzo głucha. Ta cisza,

która ją zawsze otaczała, przyczyniła się zapewne do nadania jéj twarzy tego wyrazu skupienia w sobie, i tego spokoju, co tak wybitnie ją cechowały, i tak niezapomnianą ją czyniły. Głos jéj był zarówno uroczysty, jak jéj postać, i wybornie z nią harmonizował. „Dzieci! dzieci! Boże a... ależ!” zaśmiała się serdcznie. — Ależ to i nauczycielki na dachu! No — to niemam nic do powiedzenia, myślałam, że dzieciarnia sama. Ale to doprawdy niebezpiecznie; łaty są cienkie i może która pęknąć; wy moje panny nie ułomki! Czyż to tak zabawnie...

— Aj, ciociu, doprawdy zabawnie—zawołał chór cały dziecinnych głosów, umyślnie krzykliwych; trochę na rachunek głuchoty cioci — a trochę—ot tak, z ochoty. Dzieci wogóle dopiéro wtedy dobrze się bawią, kiedy dużo hałasują.

— A my ciociu świecimy przykładem, i porywamy młodzież na wyżyny—nad poziomy; niech nie będą takie *terre à terre*, bo ciocia tego chyba nie lubi—wrzasnęła z samego wierzchołka piękna brunetka. —A doprawdy że n a d p o z i o m y—dodała nawiasem i zwracając się do szatynki—patrz, gdzie poziom—tak gdzie siedzi Felka. Ciocia nie powinnaby na nas gdérać.

— No, ale może już dosyć tych wzlotów po dachu; bezpieczniéj czasem być *terre à terre* — przekładała trochę z obawą, a trochę ze śmiechem ciotka.

— Kiedy tu tak dobrze! zapiszczał chór podlotków.

— Kiedyż cioteczko, doprawdy nie ma niebezpieczeństwa; nam przecież życie także miłe — ale miarkujemy, że kiedy Mykoła łaził tu niedawno, to my nie powinnybyśmy być cięższe! — łagodnie odezwała się szatynka.

— Niechże nam ciocia pozwoli chociaż na chwilę przestać udeptywać ten padoł płaczu—dodała znów brunetka.

— No, no, żebyście mi nie pospadały, i dzieci dopilnowały — zakończyła ciotka—i zawróciła do ganku, z twarzą rozjaśnioną młodém ożywieniem i uśmiechem, bo ona tak lubiła tę dzieciarnię, młodszą i starszą, — i tak był miły uśmiech jéj i zabawa!

— Nim doszła do ganku, rysy znów stały się uroczyste. Nie usiadła. Ciężko siadać tak nizko, i ciężko wstawać. Pora zresztą iść spać! Ale szkoda tego ślicznego wieczoru — no i niespokojna jest trochę żeby te dzieciaki nie zrobiły sobie czego złego. Oparta o słupek werendy, serdecznie patrzała ku szopie, a w głębi tlała myśl: „prędko ją poszyję, to nie będą łazić.”

— Tyle ich—że wesołe! szepnęła do siebie. Tylko tyle!

Kochałażbo ciotka te swoje dziewczęta. Gdy to od ziemi odrosło, a rodzice nie mieli za co wychować, oddali je ciotce na naukę.

Gdy dorosły, trzeba było pomyśléć o ich losie. Nie chciało się ciotce puszczać ich w świat, i założyły wspólną pensyjkę. Był to jakby drugi liczny dom rodzinny, gdzie kilku pensyonarkom było jak w raju. Ale zysk był niewielki. Były to po większéj części dzieci rodziców ubogich, więc płaciły niewiele i nieregularnie. Tyle tylko, że ciężko pracując, mogły wyżyć, przy pomocy gospodarki cioci Hani. O żadnych przyjemnościach mowy być nie mogło.

Dziewczęta wyrosły—hoże, zdrowe fizycznie i moralnie—i wesołe, weselem swobodnych ptaków, ale tęskniły w tym zapadłym kącie, skąd tylko parę razy do roku wyjeżdżały do również zapadłych kątów, do rodziców. Systematyczna Renia—nizka, o poważnych rysach panna—prędko, a raczéj energicznie załatwiła się z marzeniami panieńskiemi; przyjęła odważnie rzeczywistość jaką była, i zaczęła powoli „urządzać sobie życie" nie spodziewając się już żadnéj zmiany losu. Ale młodsza jéj siostra, piękna, czarnobrewa Helka, wysoka, kształtna, o cerze napływającéj co chwila rumieńcem, ponsowych ustach i serdecznym śmiechu—„szarpała się" ze sobą. Z zapałem karmiła się ideałami cioci Hani, przyjęła je szczerze i młodzieńczo, i na życie umiała patrzéć z góry, nie przez hypokryzyę lisa względem winogron, ale wprost przez wrodzoną i wykształconą szlachetność. A jednak — czasami—jak oto i dziś — po dziecinnéj, hałaśliwéj zabawie i pustym śmiechu — szła do swéj panieńskiéj stancyjki, w pokoju z „galereją" jak mówiła służąca—i tam tak płakała, tak serdecznie płakała!

— Halka, znowu beczysz? — spytała po kwadransie uroczystego i kłopotliwego milczenia, kuzynka jéj, dzielna i praktyczna szatynka.

— Ruszaj sobie precz, zostaw mnie.

— Nie ruszę precz, bo późno, pora iść spać.

— To wynoś się sobie do łóżka!

— Dziękuję. Ładna perspektywa snu przy takim akompaniamencie. Jeszcze mi się wyda, że to ja umarłam, a ty po mnie tak płaczesz. Wolę poczekać. I usiadła wygodnie na niskim fotelu, naprzeciw płaczącéj na komodzie Halki, i zamilkła. Gdy ta zaś po chwili spojrzała przez palce na kuzynkę, wybuchnęła gwałtownym śmiechem. Figlarna szatynka udając płacz, najkomiczniéj w świecie stulała swoje małe oczki i wykrzywiała usta.

— Zabierajże się ty precz, małpo przebrzydła! (małpa było przezwiskiem daném szatynce przez pieszczotę) — rzekła śmiejąc się i płacząc jeszcze Halka.

— Nie, chyba i ty zabierzesz się z téj komody, i pójdziesz spać— a nawet dam ci konfitur dla przerwania ciężkiego nastroju ducha. —

Dam porzeczek, znaj moją dobroć. Ale pierwéj powiédz mi, co ci dziś strzeliło do głowy.

— Nie nudź Mila. Już lepiéj daj konfitur, albo wynoś się z tego fotelu i daj mi święty spokój.

— Nie dam spokoju, tylko konfitur, a przedtém mi powiész co ci się stało takiego, że tak zapamiętale beczysz. Po konfiturach nie powiész, bo ci świat poróżowieje i zapomnisz, a to ciekawe.

— Et, Milka, co tu pytać. Zawsze to samo. Boże, Boże! Czemu to nam tak źle?

— Źle? no—widzisz—bywa gorzéj.

— Et—dobrze tobie mówić—masz lat 18, to jeszcze ci czas. Ale ja prawie o 10 lat jestem starsza. Pomyśl tylko: od takiego wieku jak twój, to jest od czasu dorośnięcia, 9 lat żyć — to dużo. I to żyć tak smutno. Gwałtu czasem chce się użyć życia. Naprawdę starość się zbliża. I sama się sobie dziwię, i wstyd mi — a czasem nie mogę łez wstrzymać—tak chciałoby się zobaczyć świat,—ludzi—żyć bez troski, choćby na chwilę—pobawić się, pośmiać szczerze...

— No dosyć tego—bo i chłopców pobałamucić.

— A chociażby!—potwierdziła Halka, a jéj czarne oczy już z za łez się śmiały, a usta drgały jak pustotą.

— A pewno że chociażby, tylko że od tego trzeba było zacząć. O tamto wszystko mniejsza. No—nie dziwię się tobie. Ja bo znowu wiem, że nie zbałamucę nikogo memi kociemi oczkami—więc wolę cicho siedziéć.

— Nie—widzisz, nie to; mówiła już bez łez Halka. Ale ty jeszcze nie miałaś czasu prawie odpocząć po nauce, i takie eskapady na szopy mają dla ciebie urok świeżości, a mnie ta wieczna swawola i śmiech —już nuży. A potém trudno—wiem że jestem do ludzi podobna, a nie mam świętéj rezygnacyi Reni. — Pamiętasz kolegę Jasia?

— Aha — którego? ilu ich tu przyjeżdżało na wakacye, wszyscy byli trup — zaśmiała się Mila. Komiczni chłopcy. No więc widzisz. Czy lepiéjby ci było być brzydką? Bo ty zdaje się już desperujesz, żeś ładna. Ot, niedługo wakacye, znów będziesz miała ze trzech Parysów.

— Otóż widzisz—bawię się z niemi, jak z naszemi dziećmi — ale mi i to już obrzydło. Bo bałamuctwo swoją drogą — a swoją drogą chciałabym téż raz zakochać się naprawdę, na seryo, i wyjść za mąż. Bo doprawdy, takie czupiradła moralne i fizyczne idą za mąż, mają męża którego maltretują, i dzieci, z któremi same nie wiedzą co począć...

— A ty wiedziałabyś—prawda?

— A ot, powiem ci prawdę — tu głos Halki, dotychczas ciągle śmiejący się, zcichł i spoważniał: — Ot — wiész? To musi być jakieś okropne szczęście mieć przy sobie taką śliczną, jasną główkę — i pomyśléć, że to moje... — Skończyła szeptem — i czekała odpowiedzi. Ale Milkę też uroczysty nastrój zaczął chwytać za gardło, a że tego nie lubiła, ponieważ postanowiła sobie być trzeźwą, więc porwała się z miejsca, chwyciła z kołka pęk kluczy, i rzekłszy:

— No, a ja idę po konfitury—znikła za drzwiami.

— Wróciwszy, zastała Halkę już w łóżku, spokojną.

— Bo widzisz — rzekła do Mili nabierając sobie porzeczek — mnie swoją drogą wstyd, że wy obie, takie jesteście dzielne, odważne i rozsądne,—a ja mażę się i kapryszę jak dzieciak. Wy warte jesteście naszéj kochanéj cioci Hani, i pójdziecie w jéj ślady, a ja pokuleję, tylko za wami— dodała ze śmiechem.

Ale tu z kolei Mila spoważniała.

— Pójdziemy wszystkie. Ale źle ci się wydaje, że my lepiéj pójdziemy. Pójdziemy tym samym, ciężkim — ale jasnym szlakiem. Ale Reni brak ognia i zapału cioci Hani, więc o połowę mniéj zrobi i na mniéj się odważy, niżby mogła. Ja znów jestem za praktyczna—ja po prostu rozumiem co dobre a co złe, i łatwo pójdę tam gdzie dobre — ale nie umiem tego ozłocić takim jakimś światłem idei czy tam ideałów. Będę dobrą kobieciną—ale nie porwę za sobą nikogo, nie potrafię kazać czcić dobrego —jedném słowem nie będę nigdy światłem, jak ciocia Hania. A ty—poszarpiesz się może—ale jeżeli pójdziesz tą drogą— to będziesz taką, jak ciotka. Bo masz i zapał, i serce gorące, i myśl lotniejszą i wdzięk, który pociąga wszystkich, nie tylko chłopców. Ja ci zazdroszczę. No a teraz dobranoc, bo dwunasta. Śpij a nie marz tymczasem o niebieskich migdałach.

Po chwili słychać było miarowy oddech usypiającéj Milki. Halka usiadła na łóżku, i długo jeszcze patrzała, szeroko rozwartemi oczyma, na iskrzące przez okno gwiazdy. Patrzała — a myślała—o swojéj „podłéj" jak mówiła naturze, która tak była samolubna—a także o swojéj doli, która zapowiada się tak szarą...

— I będzie szarą. Nie dzieją się cuda, i piękni królewicze nie zawsze się zjawiają, aby z ustronnego zamku porywać cudne księżniczki. Księżniczka szarpać się i tęsknić będzie długo, bardzo długo jeszcze, bo młodość długo trwa w zdrowéj moralnie i fizycznie istocie. Ale powoli ucichnie nadmiar życia, i zwycięży spokój — spokój co nie jest martwotą ale zdobytą potęgą, z którą stanie na stanowisku, jak stała jéj dzielna opiekunka.

A ciocia Hania nie domyślała się nawet, co działo się w pokoju „z galeryą.”—Gdyby się domyślała, byłoby jéj bardzo ciężko, bo właśnie dziś, wróciwszy od szopy, myślała długo o nich. Biedne dzieci—nieba chciałoby się im przychylić, a tu ciężko było chleba powszedniego dostarczyć. Zadumała się na seryo i aż się zdziwiła, obliczywszy, że obie starsze już od dawna nie są dziećmi. Co to się z tym czasem dzieje! A niedawnoż to recytowało lekcye! Jakoś ludzie wydają panny za mąż—nawet najuboższe — możeby tém jakoś się zająć można. W okolicy było dość młodzieży; nawet podobno pan Józef, pomocnik dyrektora z sąsiedniéj fabryki, po to tylko bywał w kościele, żeby do panny Heleny wzdychać—ale dostać się do zaklętego dworku żaden z nich nie miał możności, a ciotka nie miała pojęcia, jakby to urządzić. Zresztą—wiedziała że byłoby to daremne. Jéj panny były okrutnie wymagające, i wyśmiewały bez litości tę młodzież poczciwą, a grzeszącą tylko brakiem form towarzyskich, i ogólnego wykształcenia—i téj wytworności umysłu, do któréj przywykły w swém ciasném kółku rodzinném. Był to może błąd, że je tak wytwornie wychowała—ale stało się; inaczéj nie potrafiłaby—a o stosownych do wymagań znajomościach ani było można marzyć. Zasępiła się. Ale uśmiech znów rozjaśnił jéj twarz. Te dziwne rysy, odbijały każde przelotne wrażenie.—Gromadka wracała wolno do dworku—panny tak łagodnie rozmawiały z dziećmi—takie wydawały się spokojne!

— No, będzie co Bóg da; ale przynajmniéj to pewne, że będą dobre i zacne, i ludziom pożyteczne — szepnęła do siebie — i ucałowawszy każda główkę z kolei, poszła do swojéj sypialni.

Rozbierała się szybko; czuła się tak zmęczoną! Każdy członek wołał o spoczynek. Modliła się jeszcze, a potém usiadła na łóżku, i raz jeszcze zaczęła przebiegać myślą litanię swych jutrzejszych zajęć i trosk. Twarz jéj teraz wydawała się starą—czytałeś na niéj zmęczenie fizyczne i natężoną, nużącą pracę myśli, od któréj aż czoło w coraz głębsze rysowało się bruzdy, a kąciki ust opadały ku dołowi.

Biła się ciężko z myślami, czy wozić za snop, czy zaryzykować za opłatę? To korzystniéj daleko — ale potém jak nie będzie skąd dostać pieniędzy, i trzeba będzie na gwałt sprzedawać zboże? to się straci więcéj jeszcze. Zdecydowała się więc na wożenie „za snop”.—Ale druga troska jeszcze cięższa. Przypomniała sobie — a raczéj przypomniała jéj kucharka, że pojutrze święta żydowskie zachodzą na cały tydzień — i że nie ma już mąki pytlowéj ani krup gryczanych. Trzy ruble nie wystarczą. Gdzie! trzeba jeszcze choćby ze trzy, na najmniejsze zapasy, a skąd ich wziąć?... A bez herbaty, cukru, mąki trudno się obejść, gdy się ma cudze dzieci w domu.

Aż głowę ujęła w dłonie, tak ciężko myślała. Nagle—zmarszczki się rozprostowały, a kąciki ust podniosły. Już znalazła punkt wyjścia.

— Żyd karczmarz oddawna już pyta, czy nie ma piérza na sprzedaż. Na szczęście, zachowało się to pierze dotychczas — jutro się go zawoła, i będzie, co trzeba.

— Myślicie, że to nieopatrzność, ze strony cioci — tak do ostatniego dnia przeciągać krytyczną chwilę? Nie! tylko, że inaczéj nie można. Każdy dzień przeżyty, był wysiłkiem — nie tylko fizycznym, ale i moralnym. Wczoraj miała ciężką biedę z wydostaniem pieniędzy dla parobka, który czekać nie mógł, bo umarł mu ojciec i trzeba było na pogrzeb. Przedwczoraj zabrakło czeladnéj mąki, i trzeba jéj było zkądciś dostać. Tak miał dzień każdy swoją troskę ciężką i gryzącą, co truła wieczorne ciche godziny, i była pierwszą myślą nie ockniętego jeszcze ze snu czoła.

Aż nareszcie wyrobiło się u ciotki to, co wyrabia się w żołnierzu, który kilka bitew już odbył: ufność w wyjście cało z walki. Codzień prawie nóż na gardle — no i Bóg jakoś ratuje. Więc mawiała z wiarą silną: „Bóg nas nie opuści—obaczycie!"

Wyciągnęła się nareszcie w łóżku — i wzięła do ręki książkę, przygotowaną na stoliku.

Było już bardzo cicho w całym domu, a pod przeciwległą ścianą słychać było tylko oddech dwóch, śpiących twardym, dziecinnym snem, dziewcząteк—a ten cichy szmer sprawiał, że w pokoju nie zdawało się bezludno.

Było jakoś dziwnie dobrze. Stare meble wypełniały pokój; nad niemi nizko zwieszały się grube belki sufitu, a błękitny abażur rzucał bardzo łagodny cień na twarz ciotki.

Jakże twarz ta teraz się zmieniła! Promieniała, żyła, odmłodniała. Ciocia Hania czytała, a czytała nie tylko okiem i myślą, ale i sercem całém, i z całéj siły w duchu odpowiadała autorowi: tak! tak! lub téż: nie... nie! Umysł jéj odpoczywał teraz po dziennéj pracy, bujając sobie, aż zazdrość nieraz brała, że tak łatwo — po szerokich horyzontach. Bo wprawiła się do takich wzlotów jeszcze wtedy... tam, przy boku ojca, który lubił ją przyrównywać do M a r y i Malczewskiego,

....skrzydły drżącemi,
Szukała swego gniazda daleko od ziemi!

Więc po ziemi chodziła dzielnie, odważnie, ale ciężko; wzlatywała myślą łatwo i swobodnie. Marzyła znów. I myśli—z tych co rzucają blaski w oczy zamglone — dały jéj chwilę nagrody za trud dzienny—nagrody nie lichéj; a dały siłę na dzień jutrzejszy.

I w téj staruszce, co tylko siłą woli zagłuszała ból krzyży i zmęczenie nóg, było tyle życia i zapału—że ani na chwilę nie przyszło jéj na myśl, że jest marną a biedną cząstką marnéj a biednéj ludzkości; że cierpienie nad jéj siły, i że życie ciężkie i że lepiéjby uciec od niego. Jéj życie minęło — jak dzień jeden letni; widziała w koło siebie tyle pracy, że chciałaby, jak żniwiarka, czas utrzymać; a świat tak drogi, że warto żyć, by patrzéć, co téż z ludźmi się dzieje?

Zabolały ją w końcu oczy, i przemogło zmęczenie. I usnęła twardo, jak robotnik...

Jutro znów zaświeci pogodny, jasny poranek. Wdzięk lata rozpogodzi czoła wszystkich, i wszyscy pójdą odważnie do pracy — i stara ciocia, i mała Felka, Beniaminek pensyi, i piękna czarnobrewa śmiechem i życiem rozjaśni dworek, i najdzielniéj do pracy stanie.

Wieczór da znów chwilę wniebowzięcia staruszce — chwilę tęsknoty dziewczynie. Ale nie to. Młodym trzeba albo szczęścia, albo cięzkiéj tęsnoty—ale czuć trzeba. Inaczéj nie zaznają późniéj pogody—téj rozkoszy schyłku życia.

I tak pójdą daléj dnie za dniami — pełne bardzo, i unosić z sobą będą życie to jasne. Ciocia Hania nie spostrzeże się chyba, i sama kiedyś zdziwi, gdy starość, odbierze jéj resztę sił; tak jak nie spostrzegła się, kiedy właściwie jéj młodość się skończyła. Żyła jedną myślą od chwili gdy myśl się zbudziła, i nie przeszła nawet przez ową sławną „krytyczną chwilę", kiedy kobiéta bierze rozbrat z marzeniami. Jéj marzenia nie wiązały się z świeżością ślicznéj niegdyś twarzyczki.

Była córką epoki gorącéj. Palili się ludzie—przynajmniéj ludzie w rodzaju tych, którzy otaczali jéj kolebkę i stawali się bohaterami zbrodni lub cnoty, i jeszcze dotychczas nie mogła zrozumiéć tego, co jéj niegdyś wykładał jeden z siostrzeńców: że życie ciężkie, bo ideałów się nie widzi a miłości nie czuje. Zaśmiała mu się w oczy. Ona prędzéj tych rozumiała, co żyć nie mogli, bo miłość i ideały za silnie im ciążyły.

Ciocia Hania wyniosła z epoki swéj młodości ogień zapału, który świecił jéj przez całą życia drogę, uczynił z niéj ofiarę i służebnicę ludzi — a zarazem uczynił ją szczęśliwą. Różowo jéj świat szary oświecał.

Wychowała ona, pod dachem swego dworku kilka pokoleń; a każda z dziewczynek, którą ciocia Hania kochała, pieściła i uczyła, wychodziła w świat szeroki z jakiémś szczególném znamieniem wzniosłości. Były to iskierki, co żyły i tlały, w najpospolitszych nawet umysłach, i darmo świat dmuchał potém na te archaiczne światełka.

Powiadają, że złe jest zaraźliwe. Może, ale dobroć chyba więcéj jeszcze. Żadna z tych, co tam obsiadały długi stół cioci Hani, nie zapomniała jéj postaci, jéj dobrych oczu i jéj morałów nawet, których słuchała, gdy nie do nich były zwracane. I miały w tém wspomnieniu talizman na dalszą drogę. Inaczéj pracowały, inaczéj sądziły, inaczéj myślały, bo inna otoczyła je czasu fala, ale żywe zostało jedno poczucie: że dobro nie jest czczą formułą, lecz treścią i dźwignią życia. Tak stara, tak oklepana myśl, a tak żywa, gdy wcielona w prostą, wzniosłą a kochaną postać!

Tak, cioteczko. Oto jedna z tych, co cię wielbiły, chociaż w dziecinnéj pustocie uciekały od twéj powagi, a potém zapomniały o tobie, bo rwały się do życia, bo głodne były szczęścia, cześć ci składa.

Bo przez ból, czy szczęście, przez walkę, czy wesele — wracam — wróciłyśmy wszystkie do twych ideałów i ogień twój święty żywić musimy, bo nie możemy już inaczéj, bo wielka twoja miłość i idealna twoja dobroć zwyciężyły nawet wolę złą, ty nasza święta ciociu Haniu!

...ta.



INCOMPARABILE DONNA.

Z dziejów serca Zygmunta Krasińskiego

(1839—1859).

(Dokończenie).

Dnia 2 sierpnia był już Krasiński w Holandyi, w Hadze. Sam czy z panią Delfiną? W liście do Sołtana, pisanym stamtąd, nie ma o niéj wzmianki; zważywszy jednak, że na wyjezdném z Paryża, w liście do Gaszyńskiego, zaklinał go w *post-scriptum*, ażeby „przeczył na zabój" sprawie Rond-point Nr 4 (był to adres domu, w którym Krasiński mieszkał tym razem w Paryżu) i że w roku zeszłym był tu Krasiński w takich warunkach, że o nich nawet Sołtanowi pisać nie chciał, bo na zrozumienie „głupstwa" tego trzebaby wiedzieć „i gdzie był, i co robił"—zważywszy to, można go miéć w podejrzeniu, że i w tym roku nie był w Hadze sam jeden.

Cokolwiekbądź, we wrześniu był już z powrotem w kraju, w Opinogórze, przy żonie i ojcu. Ale przyjechał tu nie na długo; Eliza bowiem i jenerał ułożyli sobie byli pod niebytność Zygmunta — o czém mu zresztą pisali niejednokrotnie — że na zimę pojadą tego roku do Włoch. Ciekawy jest list w téj mierze Krasińskiego do Sołtana, pisany jeszcze z Heidelberga, kiedy się poeta, prawdopodobnie z jakiego listu Eizy, dowiedział o tym projekcie. „Dwudziestego Augusta muszę już być w Opinogórze, bo w Semptembrze ojciec i Eliza myślą je-

chać do Włoch, zatém i ja." Stylizacya ta ma swoje głębsze znaczenie, gdyż doskonale maluje sytuacyę: odrazu pozwala się domyślać, jaki w tych czasach panował stosunek pomiędzy Krasińskim a żoną jego i ojcem. Stosunek to był dziwny, albowiem zasadzał się na niemém przymierzu zaczepno-odpornóm, zawartém pomiędzy młodą mężatką a teściem, a wymierzonóm przeciwko mężowi, którego wola i zdanie wcale się prawie nie brały w rachubę...

Projektowana podróż doszła w oznaczonym terminie do skutku, z tą różnicą wszakże, iż zrezygnowano na razie z Włoch, które wszyscy znali dobrze, a zdecydowano się pojechać naprzód na jakiś czas, na jakich kilka tygodni, do Paryża, a potém na całą zimę do Nicei. Krasińskiemu nie uśmiechała się ta podróż z wielu względów. Przedewszystkiém raziła jego estetyczno-poetyczne uczucie swoją prozaicznością. Albowiem nie była to podróż romantyczna, odbywana „samopas i w lekkości zwanéj pojedynką", ale podróż „w landarach, z mamkami i pannami służącemi i t. d. i t. d."

W Paryżu nastąpiło zbliżenie pomiędzy panią Krasińską a panią Delfiną, zbliżenie, które dla pierwszéj z nich nie musiało być bardzo przyjemne... Mimo to stosunki, jakie nawiązano ze sobą, na pozór odznaczały się serdecznością, jak gdyby pani Krasińska nie wiedziała o roli, jaką pani Delfina grała nietylko w przeszłości, ale i w teraźniejszości jéj męża. O względnéj harmonii tych stosunków, regulowanych konwenansem, który pod pokrywką t. z. dobrego tonu, tłumi wewnętrzną walkę namiętności, świadczy fakt, że „te panie" — jak się odtąd Krasiński zawsze wyrażać będzie o swojéj żonie i pani Delfinie — wkrótce zaczęły razem bywać u Scheffera, który jednocześnie zaczął malować ich portrety, szczególniéj zachwycony panią Zygmuntową Krasińską. „Tak się był uniósł dla nich obu przyjaźnią i admiracyą, dla mnie także rozmaitemi zapałami, że oświadczył, iż grosza nie chce, że prosił, by to na pamiątkę było, a dla Elizy osobno głowę Moniki był zaczął malować i popiersie Elizy kuć z marmuru... Dziwny i dziwny to charakter tego człowieka: we mnie się był zakochał, potém był się troszeczkę zakochał w Elizie, chciał kuć jéj posągi, chciał galeryę dla niéj całą wymalować, etc. etc." [1]. Czytając słowa powyższe, trudno się jednéj opędzić refleksyi — refleksyi, która mogła się z równą łatwością nasunąć także i Krasińskiemu, kiedy ten list do Małachowskiego pisał, mianowicie: że ten zachwyt Ary Scheffera dla Elizy był zarazem najlepszą miarą, najwymowniejszym dowodem, jéj wyższości nad panią Delfiną: nietylko pod względem urody, ale i duszy, któréj ta nie-

---

[1] Do Małachowskiego str. 52, 53.

ziemska piękność była jedynie wyrazem, symbolem. Artysta téj miary, co Scheffer, który się zewnętrznemi kształtami posługiwał wyłącznie w celu wyrażenia jakiéjś myśli, jakiéjś idei, odgadł odrazu „dzięki swéj artystycznéj intuicyi,” jaka dusza ukrywa się pod powłoką téj uroczéj postaci pani Krasińskiéj, i dlatego „troszeczkę się zakochał w Elizie”, jak powiada Krasiński, któremu to, pomimo wszystkiego, cokolwiek pochlebiało. Ale była to tylko miłość artysty, któremu się udało nareszcie zobaczyć żywe ucieleśnienie absolutnego ideału. Podbity tą szlachetnością rysów i wyrazu twarzy pani Krasińskiéj, tą doskonałą estetycznością, jaka ją cechowała w każdym calu, i tym odcieniem smutku, jaki w niéj był, nigdy się o niéj nie wyrażał odtąd inaczéj, tylko, że nie zdarzyło mu się widziéć ludzkiéj istoty, tak odpowiadającéj jego pojęciu piękności, jak pani Krasińska. To téż, ile razy wypadło mu na jakim obrazie przedstawić ideał kobiecości — ze słodyczą Madonny a powabem Afrodyty—zawsze starał się miéć możność wymalowania pani Krasińskiéj. Stąd w wielu jego obrazach powtarza się ten typ w różnych zmianach i kombinacyach; w niektórych zaś, jak np. w *Chrystusie między dziećmi* z podobieństwem tak wiernem — jak zapewnia prof. St. Tarnowski — że jedna z tych matek lepiéj niemal, niż wszystkie portrety, przypomina panią Krasińską [1]). Jednocześnie żadna z nich nie zdaje się przypominać pani Delfiny Potockiéj (może dlatego, że o ile wiem w żadnym obrazie Ary Scheffera nie występuje ani Fryne ani Laïs). Czy Krasiński na ten fakt, tak rzucający się w oczy, nie zwrócił czasem uwagi? Czy nie uderzyło go to, że ten wielki artysta, ten „Rafael naszego wieku,” tak odmiennie zachowuje się wobec tych dwóch kobiet, że o ile pozostaje niewzruszony i obojętny wobec pani Delfiny, któréj portret „niezbyt wielki” maluje jakby dlatego jedynie, że musi się wywiązać z obstalunku: o tyle w Elizie nietylko się „troszeczkę zakochał”, ale takim dla niéj zapłonął artystycznym zachwytem, że zaczął zaraz kuć jéj popiersie w marmurze, że pragnąc jéj sprawić przyjemność wziął się do malowania — dla niéj specyalnie—głowy Moniki, i że nie chciał za to wszystko ani grosza, tylko prosił, by to na pamiątkę było? Czy wszystko to nie dało Krasińskiemu nic do myślenia?... Trudno przypuścić ażeby on, który był takim bystrym obserwatorem, nie zastanowił się nad tém cokolwiek.

W Paryżu coprawda nie miał dość swobodnéj głowy po temu, gdyż „fałszywe położenie”, w jakiém się znajdował, nie oddziaływało pobudzająco na jego umysł. W drodze do Wiednia jednak, dokąd się wyrwał na kilka dni, miał aż nadto czasu do rozmyślań szczególniéj na

1) *Zygmunt Krasiński*, str. 447.

temat tego wszystkiego, co niedawno przeżył był nad Sekwaną, a co nie musiało być mu osłodą, skoro się zdecydował puścić Elizę z panią Delfiną „w landarach, z mamkami i pannami służącemi,” do Nicei (prawdopodobnie pod opieką ojca), samemu zaś „samopas i w lekkości zwanéj p o j e d y n k ą” zboczyć do Wiednia dla zobaczenia się i nagadania z Sołtanem i księżną Lubomirską. Projekt ten, nie natrafiwszy na żadną opozycyę, ani ze strony Elizy, ani ze strony jenerała, doszedł do skutku.

W Wiedniu zabawił Krasiński ośm dni (w listopadzie), prawie wszystek czas dzieląc pomiędzy Sołtana i księżnę. „Zabawił by dłużéj, gdyby tylko chęci się był a nie konieczności radził,” ale niestety, wypadało jechać do żony, tém bardziéj, że znowu była w stanie odmiennym...

W drodze, którą skierował na północne Włochy, na Medyolan i Weronę, zdarzyła mu się bardzo zabawna przygoda. Rzecz miała się tak. W dyliżansie, którym wypadło jechać Krasińskiemu, jechał także młody hrabia Zichy, którego poeta znał z widzenia tylko. Ponieważ jechali razem, siedząc obok siebie, trudno było nie rozmawiać. Swoją drogą Krasiński nie spieszył się z przedstawieniem się swemu sąsiadowi: poprzestał na poinformowaniu go, że jest Polakiem, że jedzie z Warszawy. Na to Zichy (powiada Krasiński w liście do Sołtana) zaczął mi gadać o Warszawie, że tam był w jesieni, opowiadać, co widział, wreszcie chwalić się, że zna wiele pięknych Polek, pomiędzy innemi bardzo piękną hrabinę Krasińską *née* Branicką, dla któréj miał listy od swego *Beau frère* Odescalchiego etc. etc. etc. Jam go puszczał; poznałem, że to ten sam, który niegdyś o nią się starał w Wiedniu. Wiesz pan, zapytałem niby z niechcenia (od niechcenia), jaka ta pani Krasińska? On znów, taka a taka, z domu tak, na chrzcie Elżbieta. Wtedy powiadam mu: „*Mais dans ce cas c'est bien ma femme.*” Podskoczył aż Niemiec w karecie, tak się zdumiał i zdziwił. Ogromne mi zaczął palić grzeczności, ściskać za ręce, zapraszać w Wiedniu do klubu i t. d. i t. d. Dość komiczne było to spotkanie, osobliwie zdziwienie Niemca, iż człowiek w tak niesutéj burce i furażce pomiętéj, może mieć tak bliską styczność z o w ą s ł a w i o n ą z p o s a g u p a n n ą! Nic wyśmienitszego od uszanowania jego, kiedy się dowiedział! Reszta drogi zupełna nicość [1]), pomimo, że nie jechał „z całym taborem (bo i ja już, powiada, tabor mam)” w landarach, z mamkami i pannami służącemi i t. d. i t. d., ale samopas, w pojedynkę, tylko ze swym słu-

---

[1]) Do Sołtana, z Genui 5 grudnia 1845.

żącym, Antonim Wojtachem, który go bawił swojemi zachwytami z powodu różnych katedr i marmurów, jakie oglądali przez drogę.

Dnia 4 grudnia stanął w Genui, gdzie zastał już listy od „tych pań”, które mu pisały, że szczęśliwie przybyły do Nicei, że go tu z niecierpliwością oczekują... Tymczasem Krasińskiemu wcale się to nie uśmiechało. Na samą myśl, że za parę dni znajdzie się w najfałszywszém z położeń, jakie sobie wyobrazić można, i że w takich warunkach będzie zmuszony żyć przez całą zimę, narażony na pokusy z jednéj strony, a na ciągłą kontrolę z drugiéj, nietyle ze strony Elizy, ile ze strony ojca i złośliwych języków ludzkich, które go znowu szarpać będą — na samą myśl o tém wszystkiém, czuł całe brzemię sytuacyi, ciążącéj nad nim, jak fatalny miecz Demoklesa, a któréj męczarnie miały się zacząć za dwa dni. „Jutro rano — pisał 5 grudnia do Sołtana—wyruszę do Nicei; pojutrze stanę tam, i zacznie się życie, od którego, gdy uciekam, wtedy tylko mi lepiéj, a ilekroć wracam doń, gorzéj i coraz gorzéj. Cóż chcesz, tak jest: są pewne rzeczywistości na świecie, przeciwko którym żadne teorye ni rozumowania nic nie nadadzą. *Tak jest* jest słowem potęgi pełnéj... Otom ośm dni dobrych przebył przy tobie i z tobą, jakżeż prędko minęły! Proszę cię ręce i nóżki księżnéj drogiéj uściskaj odemnie: powiédz jéj, że mi niezmiernie smutno było ją odjeżdżać.” Takie myśli snuły mu się po głowie, kiedy, siedząc w hotelu przy otwartém oknie, wychodzącém na morze, pisał wieczorem list do Sołtana. „Otwarte okno, morze i maszty okrętów, trochę księżyca, stuk młotów, pracujących w porcie, przypominają mi Fiesca. Zatrzymałem się tu przez dziś, bo mi lepiéj jest samemu zupełnie, niż tam, kędy jadę. O! ty nie wiész Adamie w całéj rzeczy i rozległości, jakie ja mam życie; ty nie wiész, że np. przystałbym tu, w téj gospodzie, nikogo nie znając, ni z kim mówiąc, przebyć zimę, i że bardziéj było by mnie tu w domu, niż tam, kędy jadę.” Rzeczywiście, skoro się zastanowił, w jakich warunkach przyjdzie mu żyć tym razem w Nicei, mógł swego przyjaciela zapewniać, że jest „piekielnie smutny.” Czy był nim istotnie? Przypuściwszy nawet, że nim mógł być, choć nie w takim „piekielnym” stopniu pewno, jakby to sądzić można, wnosząc z listu (bo wszystkie „rozpacze” Krasińskiego w listach należy brać zawsze *cum grano salis*); z drugiéj strony przyznać trzeba, że trudno wymyślić sytuacyę, która by w równéj mierze mogła być nieustanną torturą dla duszy, jak sytuacya, w przededniu któréj znajdował się w téj chwili Krasiński. Dość powiedziéć, że sytuacya ta—któréj niezwykła dramatyczność prawdopodobnie uwagi Krasińskiego nie uszła — była wyrafinowanym akordem, z dwóch fał-

szywych tonów złożonym, że była sytuacyą, będącą fatalném połączeniem dwóch „fałszywych położeń”, z których każde, osobno wzięte, w zupełności było wystarczające, ażeby komuś zatruć i obrzydzić życie. Jedyném antydotum na tę truciznę, antydotum, które Krasińskiego szczególniéj chroniło od głębszych i rzeczywistych cierpień, było romantyczne lubowanie się w naprężonych dramatycznych sytuacyach, zamiłowanie, które, jak w danym wypadku, jeżeli chodzi o autora *Przedświtu*, musiało siłę téj dramatyczności osłabiać co najmniéj o połowę...

Swoją drogą sytuacya, gdyby nie była szukaną świadomie, posiadała warunki, ażeby być dramatyczną nad wszelki wyraz. Bo wyobraźmy sobie człowieka, który naprawdę i szczerze kocha jedną kobietę, a jest mimo to ożeniony z drugą, któréj nie kocha. Że może się wówczas czuć bardzo nieszczęśliwym, jeżeli naprawdę i bardzo kocha, to się rozumié samo przez się; ale zgodzi się każdy, że nieszczęście jego, jakkolwiek wielkie, o tyle mniéj musi dlań być dokuczliwém, o ile jest skazany na znajdowanie się przy jednéj tylko z tych kobiet: jeżeli jest z żoną, któréj nie kocha, głównym motywem w jego katuszach moralnych będzie tęsknota za ukochaną, marzenie o niéj, marzenie, które dla tego staje się przyczyną cierpienia, że musi stykać się bezpośrednio z opłakaną rzeczywistością, najzupełniéj z tém marzeniem nie harmonizującą. To pierwsza sytuacya. Druga jest niemniéj przykra. Wyobraźmy sobie tego samego człowieka przy boku swéj kochanki, w dali od żony. Czy może być szczęśliwym w takiém położeniu? Nie, bo jeśli nie jest głuchym na głos sumienia, to ani na chwilę zapomnieć nie będzie zdolny, że postępuje źle, nieuczciwie, że grzeszy, że łamie przysięgę, daną przed ołtarzem żonie. A powtóre, (nawet, jeżeli pominiemy te względy, o których się najczęściéj zapomina w takich razach), czy może być zupełnie szczęśliwym w takiéj sytuacyi, choćby w objęciach kochanki, skoro wié, że to są chwile — tylko ukradzione rzeczywistości, że ta rzeczywistość istnieje, że wisi nad nim, jak złowrogi miecz Damoklesa, że te błogie chwile upojenia i szału, największą osłonione tajemnicą, najfatalniejsze mogą za sobą pociągnąć z czasem następstwa, że mogą—a nawet muszą poniekąd — stać się przyczyną nowych nieszczęść, nowych zajść, nowych udręczeń, że prędzéj czy późniéj wszystko musi się skończyć źle, bo inaczéj być nie może. Tak się przedstawia druga sytuacya. A teraz wyobraźmy sobie sytuacyę, będącą połączeniem dwóch poprzednich t. j. że ów mężczyzna, kochający jednę kobietę, a będący mężem drugiéj, jest równocześnie postawiony między obiema, że jest zniewolony ciągle widywać je razem, obok siebie, że jest zmuszony w tym samym czasie grać komedyę przed jedną i drugą:

przed tą, którą kocha, rolę człowieka obojętnego, bo innéj grać nie może przy żonie; przed żoną zaś, któréj nie kocha, choć jéj zaprzysiągł dozgonną miłość i wierność, rolę przywiązanego męża.

Rzeczywiście, sytuacya jakby stworzona dla Krasińskiego, który się w takich sytuacyach kochał, który się w nich czuł, jak salamandra w ogniu, i który dla tego, ażeby się podziwiać w roli takiego męża, pod osłoną dobrego wychowania i wykwintnych form światowych, ukrywającego szaloną walkę dwóch sprzecznych uczuć miłości i obojętności, potrafił poświęcić wiele, nawet to, co świat może powiedziéć o tém. Nadto zawiérała w sobie ta sytuacya jeszcze i trzeci pierwiastek psychiczny, który ją w oczach Krasińskiego mógł czynić tém bardziéj dramatyczną i denerwującą, to okoliczność, że projekt spędzenia tegoroczněj zimy w Nicei powstał niezależnie od jego woli; że autorami tego projektu byli jenerał i Eliza [1]. Ten wzgląd niezmiernie zaostrzał dramatyczność sytuacyi; to znaczy, że powiększał jéj urok w oczach poety, który w takich razach przedewszystkiém „dramat układał".

Okazało się jednak, że sytuacya była w rzeczywistości dramatyczniejsza nierównie, aniżeli poeta przewidział: zamiast spodziewanych wzruszeń, które miały być poetyczne dzięki swéj niezwykłości, dostarczyła wzruszeń odmiennych całkiem, bo nieprzyjemnych naprawdę, choć płodniejszych w następstwa... [2].

---

[1]) Zob. list do Sołtana z Heidelberga 4 lipca 1845, „bo ojciec o pozwolenie się wystarał odsunienia się do Włoch, i Eliza téż do Włoch wyjedzie na zimę".

[2]) Zob. list do Sołtana z Genui 5 grudnia 1845. Bardzo surowym sędzią Krasińskiego z powodu tego utrzymywania stosunków z panią Delfiną w Nicei w r. 1846 jest prof. St. Tarnowski, raz w książce swojéj o Krasińskim (str. 487—488) raz w recenzyi z pracy dr. Antoniego J. p. t. *Beatrice* (pracy, powiédzmy w nawiasie, zgoła nie wytrzymującéj krytyki). Recenzya ta była drukowana w „Słowie" z r. 1890 z d. 21 listopada. Sądzę, iż czytelnik rad będzie, znajdując odnośny ustęp—na tém miejscu. Ustęp ten, bardzo wymowny, brzmi *in extenso*, jak następuje: „Ale jeżeli nie podejrzewamy jéj (Delfiny Potockiéj) dobréj wiary w tym stosunku aż do ożenienia Krasińskiego, to musimy wątpić o jéj dobréj wierze i dobrém sercu, jeśli prawdą jest to, co dr. Antoni J. mówi o jéj zachowaniu się, kiedy Krasiński był żonatym. Twierdzi on bowiem, że po ożenieniu Krasiński uważał panią Delfinę za siostrę, że ona, jako taka, wiele z tém młodém małżeństwem na tém samém miejscu i pod tym samym dachem przebywała, że z żoną poety zostawała w szczeréj i serdecznéj przyjaźni, w czém znowu (dr. Antoni J.) widzi szczególny dowód wzniosłego serca, wielkiego rozumu i taktu obydwóch (Delfiny i pani Elizy). Nie wiemy, czy tak było i bynajmniéj wchodzić w to nie chcemy. Utrzymujemy tylko, że jeżeli było, to Krasiński nic w swojem życiu równie złego nie zrobił. Sumienie czyste nie wystarcza; człowiek, który szanuje siebie i swoją żonę, ma obowiązek strzedz jéj i siebie od złych języków; a Krasiński miał rozumu dosyć na to, aby wiedziéć, że świat, który niedawno widział panią Delfinę w innéj przy nim roli, w tę rolę siostry wierzyć nie może. Był to więc (zawsze j e ż e l i

III.

W Nicei zamieszkano przy ulicy Carabacello, *Maison Pontio*, w najbliższém sąsiedztwie willi Geoffroy. Ale myliłby się, ktoby myślał, że się Krasińskiemu „na ten raz południowe uśmiechały lazury”, pomimo, że pogody były śliczne, że mogło się zdawać na pierwszy rzut

---

był) z jego strony brak nietylko taktu, ale szlachetnego uczucia, którego usprawiedliwić żadną miarą nie można, a wytłomaczyć można jedynie namiętnością, która i rozum i sumienie człowieka sofizmatami umié tak otumanić, że on w końcu weźmie za wzniosłe to, co jest brzydkie, za proste i naturalne to, co jest rażącém i potworném. Ale jeżeli rola mężczyzny, taka, jak ją opisano, piękną nie była, to o wiele jeszcze gorszą byłaby rola kobiéty. Ta gdyby miała szlachetność serca, jaką jéj dr. Antoni J. przypisuje, byłaby uczuła, że pomiędzy tym człowiekiem żonatym, w niéj zakochanym, a jego żoną, stawać nie powinna, że sama jéj obecność musi dawną miłość w jego sercu podżegać, że musi być nieustanną pokusą, co najmniéj dla jego wyobraźni, że go zmusza do (platonicznéj może, ale) nieustającéj niewierności. Nie wiemy, czy pani Delfina Potocka to zrobiła, ale jeżeli zrobiła, to nie pojmujemy, jak autor może o tém postępowaniu mówić z sympatyą i uszanowaniem, i jeszcze dodawać, że ona (Delfina Potocka) się... poświęciła. Znamy w życiu Krasińskiego poświęcenie inne, prawdziwsze. Jego pierwsza kochanka (pani Bobrowa) kiedy na gorące prośby ojca zerwała z nim sama, kiedy została sama ze swą boleścią, a z życia poety wysunęła się zupełnie i rzetelnie (choć w r. 1845 korespondowała jeszcze z Krasińskim) ta się poświęciła: to była miłość w najprawdziwszém i najwyższém znaczeniu słowa. W tém, co miała robić według autora Beatrice (Delfina Potocka), była także miłość, ale — własna. Jakkolwiek zaś miała się ta smutna sprawa, jednak możemy, a nawet mamy sobie za obowiązek autorowi zaręczyć, że pani Eliza Krasińska miała niezmiernie wiele mocy nad sobą, cierpliwości, słodyczy względem męża, rozumu i taktu, ale przyjaźni i przywiązania dla pani Delfiny Potockiéj nie miała nigdy“. Oto zaś najważniejszy w téj kwestyi ustęp z książki prof. Tarnowskiego o Krasińskim. „Tą zażyłością (z panią Delfiną w Nicei w r. 1846) Krasiński wystawiał na złośliwe sądy i panią Delfinę Potocką, i siebie samego, i powagę swego domu; nadto zaś, wystawiał na ciągłe i bolesne upokorzenie—żonę, która w oczach ludzkich musiała wydawać się poświęconą i skrzywdzoną. Wreszcie wystawiał siebie samego na nieustającą i niebezpieczną pokusę i walkę. Dlaczego Krasiński, ze swojém sumieniem i uczuciem szlachetném, nie zrobił sobie tych uwag i postąpił tak dziwnie? Dlatego zapewne, że pod tym względem jego sumienie było cokolwiek przytępione, bo się przez długie lata sofistycznie tumaniło; dlatego daléj, że dawna a dotąd niewygasła miłość trzymała go pod swoim czarem i nie dawała mu jasno rzeczy widziéć i sądzić; a wreszcie i dlatego może, że w jego usposobieniu poetyczném, w jego fantazyi, tkwiło to upodobanie w sytuacyach naprężonych, niby dramatycznych. Jakkolwiek bądź, jest to w jego życiu postępek najtrudniejszy może do wytłómaczenia. (str. 488).“

O ile pogląd, wypowiedziany przezemnie, różni się od powyższéj opinii prof. St. Tarnowskiego, czytelnik może z łatwością sam wyrozumiéć...

oka, iż w takim kraju, wśród takich cudów przyrodzenia, niepodobna nie być szczęśliwym. Krasiński nim nie był, a tego roku—wbrew przewidywaniom może—szczerzéj, niż kiedykolwiek. „Wszystkie fałszywe położenia niech wszyscy dyabli wezmą; mniéj, niż ktobądź, urodziłem się do nich, a więcéj, niż ktobądź, żyć muszę w nich.” Tym razem zaś fałszywe położenie, w jakiém się znajdował, było fałszywsze od wszystkich poprzednich. Niedość bowiem, że był postawiony między dwiema kobiétami, z których każda chciała go miéć dla siebie wyłącznie; ale miał wciąż nad sobą nieznośną kontrolę ojca, który trzymając stronę Elizy, wobec pani Delfiny, o ile się nią interesował Zygmunt, zajmował stanowisko wojownicze. Nadto, sam fakt, że „te panie” dużo czasu spędzały razem, że się im Zygmunt mógł przypatrywać jednocześnie i mógł je porównywać ze sobą, musiał w niemałym stopniu zaostrzać ich antagonizmy, które, choć ukrywane starannie pod formą konwenansu i *savoir vivre*'u, niemniéj przecież, ukryte w głębi duszy, musiały atmosferę w koło siebie czynić duszną. Bo że się „te panie” nie lubiły wzajemnie, to jest tak naturalném, że chyba nie potrzebuje dowodzenia. Pani Eliza nie lubiła pani Delfiny, bo widziała w niéj przedewszystkiém rywalkę, która jéj bałamuciła męża; pani Delfina zaś musiała pani Elizy nie lubić choćby dlatego tylko, że kiedy ona w swym 39 roku życia była już słońcem zachodzącém, pani Krasińska liczyła sobie w téj chwili lat 26 i, jako słońce dopiéro zbliżające się do południa, była tak piękną, jak nią nawet ona w swoich najświetniejszych czasach nie była nigdy. Pod tym względem nie mogła pani Delfina nie czuć swojéj niższości wobec pani Krasińskiéj, ta ostatnia zaś nie mogła znowu nie czuć swojéj wyższości pod tym względem nad swą rywalką: za bardzo była kobiétą, ażeby sobie z tego jasno nie zdawać sprawy. Co gorsza, to, że i pod innemi względami mogła być pani Eliza przeświadczona o swéj wyższości nad panią Delfiną; rzucało się to w oczy prawie samo, co tém większy mogło w pani Delfinie wzbudzać niepokój, że mogło zwrócić w końcu uwagę i Krasińskiego samego.

Jakoż było to nieuniknione. Mając możność bezpośredniego porównywania swojéj żony z panią Delfiną, musiał pomimo całego zaślepienia przyznać, że o ile Eliza na tém porównaniu stanowczo zyskiwała, o tyle Delfina stanowczo na niém traciła. Wprawdzie nie chciał tego przyznać odrazu, ale przyznał w końcu.

Tymczasem trwał uparcie w miłości swéj dla Beatrice i bardzo mu to było na rękę, jeżeli ojciec z Elizą tworzyli jedno stronnictwo, jeżeli trzymali się ciągle razem, a jego bądź zostawiali z Delfiną, bądź samego z „niewidzialnemi robakami uczuć” w piersiach. Wymowną

podobnych stosunków ilustracyą jest następujący wyjątek z listu Zygmunta do St. Małachowskiego: „Te panie dziękują ci serdecznie za przesłane życzenia. Mój ojciec w wigilię Nowego Roku dostał straszliwéj gorączki, przeziębiwszy się na spacerze, odbytym z synową.” Czytając te słowa, widzi się prawie generała sprzymierzonego z synową, jak np. dzisiejsza Francya z Rosyą, kiedy rola trójprzymierza przypadła w tym razie pani Delfinie, Zygmuntowi i listom jego, które pisywał do przyjaciół, a w których wszystko złe zwalał — pomiędzy wierszami — na żonę i ojca. „Niewypowiedzianie mi źle i źle, mój drogi — zapewniał np. 9 stycznia Małachowskiego. — Tłómaczyć ci tego stanu nie będę; jeśli mnie znasz, pojmiesz go. Jam nie z tych, w których się sercu cokolwiek wygluzować może przez czas lub okoliczności. Wszystko może mnie przełamać, ale nic nigdy nie zdoła przegiąć. I przełamanym na dwoje, pękniętym w duszy, jak zwierciadło porysowane od góry do dołu. A teraz dość o sobie — nienawidzę siebie. Słuchaj, mówmy o czém inném. Lękam się, mój drogi, by widok mój nie wywarł na ciebie przykrego wrażenia, a chciałbym tobie, bo kocham cię, tylko dobro przynosić; a teraz, czuję, dobra duchowego nikomu dać niezdolnym. Bez sił, bez wiary, bez nadziei, bez miłości, obalony leżę na dnie piekieł wewnętrznych! O, mój Vado! anibyś poznał towarzysza podróży nadreńskich (w lecie r. 1844). Widziałeś mnie w latach natchnienia i szczęścia; jakoś wstyd czuję stanąć przed tobą w chwilach upadku, niemocy, zgryzoty, smutku bezdennego: nie chciałbym ci udzielić melancholii. Pamiętasz mię w Dreznie (w lipcu roku 1843, przed i po ślubie)? Otóż takim tu zupełnie samym jestem, a Bóg mi świadkiem, żem myślał, iż niepodobna dwa razy takim być kamieniem grobowym... Te panie kłaniają ci się i cieszą myślą twojego przybycia.”

Ale skarg takich niewiele znajduje się w listach Krasińskiego z Nicei! Co prawda, myśl jego w tych czasach — z powodu wypadków galicyjskich — bardziéj była zaprzątnięta sprawami ogólnemi, aniżeli osobistemi, lecz uwzględniwszy i to nawet, trudno nie zauważyć pewnéj zmiany tonu, świadczącéj o jakimś zwrocie, o jakimś — może bezwiednym jeszcze — procesie psychicznym, z którego poeta mógł sobie jeszcze nie zdawać dokładnie sprawy, który jednakże zaczynał się już w nim odbywać. Pierwszy, który to zauważył, był jenerał. Pozwala się tego domyślać list Krasińskiego do Sołtana, pisany 22 maja, w kilkanaście dni po wyjeździe Krasińskiego z Nicei, list, w którym się Krasiński wypiera wszystkiego, o co go ojciec posądzał, w który jednak wystarcza się wczytać, ażeby być po stronie jenerała. Ten ostatni, wyjechawszy z Nicei, w tém przekonaniu, że w Zygmuncie za-

czyna się dokonywać nareszcie metamorfoza na korzyść żony, nie omieszkał, kiedy przejeżdżał przez Wiedeń, gdzie się zobaczył z Sołtanem, dokładnie mu opowiedziéć o wszystkiém... Przewidział to Zygmunt, a że metamorfoza, o jaką go posądzał ojciec (na podstawie osobistéj kilkumiesięcznéj obserwacyi) w rażącéj pozostawała niezgodzie z tém, o czém on niedaléj, jak parę miesięcy temu, zapewniał Małachowskiego, iż on „nie z tych, w których się sercu cokolwiek wygluzować może przez czas lub okoliczności", więc uważał za stosowne, bo poetyczniejsze i dramatyczniejsze, kategorycznie wszelkim hypotezom ojca zaprzeczyć. W tym celu, pisząc do Sołtana, taki nadał obrót całéj sprawie: „Zapewne wiele o mnie z ojcem mówiliście, ale on nie wié połowy męczarni mych i, jak zwykle ludzie wieku, to tylko widzi, czego życzy sobie. Odłudzać ze złudzeń takowych byłoby występkiem; niech trwają więc, ale za to pociechy w y m a r z e ń już być nie może... Nikomu o mnie, ni mych uczuciach, nie wspominaj." Tak pisał Krasiński dnia 22 maja. Na początku czerwca nastąpił wyjazd pani Delfiny do Paryża, a Krasiński, wraz ze Stanisławem Małachowskim i Augustem Cieszkowskim, którzy tu przybyli do nich w odwiedziny, wprowadził się do willi Geoffroy. „Już tu przybył August i pan Stanisław. Razem mieszkamy w willi pani Delfiny, która wyjechała i pozwoliła nam w niéj osiąść, obok téj zaraz, gdzie Eliza gotuje się do choroby... W tych dniach zapewne ta biéda nastąpi." Przyznać trzeba, że sytuacya arcydziwna! Żona spodziewa się słabości, a mąż na ten czas, z dwoma przyjaciółmi, wprowadza się do willi swéj dawnéj kochanki, tuż obok. Szczęście przynajmniéj, że pani Delfina wyjechała.

Ten wyjazd jéj, w historyi uczuć Krasińskiego, stanowi epokę. Przysłowie bowiem, które mówi, że c o z o c z u, t o i z m y ś l i, jest wielką prawdą psychologiczną, pełną głębokiéj znajomości serca ludzkiego; jest to prawo natury, z pod którego wyłamać się niewolno nawet takim ludziom, jak Krasiński. Cóż dopiéro, jeżeli warunki są odpowiednie po temu, jeżeli okoliczności składają się pomyślnie. A w tym wypadku tak było właśnie: wszystko składało się w taki sposób, że poeta, o ile miał mało sposobności myśléć o pani Delfinie, o tyle miał aż nadto okazyi myślenia ciągle o żonie. Jakoż odbiło się to nawet w jego listach, w których odtąd w każdym, bez wyjątku prawie, jest mowa o Elizie, a w których o pani Delfinie wzmianek nie znajdujemy prawie wcale; te zaś, które znajdujemy, są z a w s z e obojętne, pozostają z a w s z e w jakimś związku z jakimś interesem, kiedy wzmianki o żonie najczęściéj brzmiéć już zaczynają serdeczniéj [1]).

---

[1]) Por. St. Tarnowski: „Zygmunt Krasiński", str. 567.

W takich warunkach, dnia 28 czerwca, wieczorem, urodził się Krasińskiemu drugi syn, którego pani Krasińska nazwała imieniem męża swego. Szczegół ten nie jest bez znaczenia; świadczy bowiem, że stosunki pomiędzy małżonkami poprawiły się znacznie, że niebrak w nich niekiedy i czułości nawet. Bo czémżeż jest ten fakt, że pani Eliza życzyła sobie, ażeby to dziecko nazywało się tak, jak ojciec, Zygmuntem, jeżeli nie dowodem czułości małżeńskiéj? Nic prawdopodobniejszego, jak to, że pani Krasińska tém imieniem Zygmunta, nadaném synowi, który się w tym właśnie czasie narodził, pragnęła upamiętnić ów zwrot na jéj korzyść, jaki się od niedawna w Zygmuncie zauważyć dawał, a który oczywiście ona musiała zauważyć pierwsza... Krasiński zaś, który zrozumiał, co przez to chciała Eliza wyrazić, był tém poprostu ujęty, tym delikatnym dowodem czułości ze strony swéj małżonki. To téż, kiedy mu o tém pisać wypadło do Sołtana, zdobył się po raz pierwszy na ton cieplejszy. „Eliza ma drugiego syna, który się szczęśliwie 28 czerwca urodził o dziesiątéj wieczór. Już z łóżka wstaje i na kanapie leży... Nazwała go Zygmuntem.” Czytając to, widzi się prawie panią Krasińską, jak leży na kanapie, nad wszelki wyraz piękna, i Krasińskiego, siedzącego przy niéj, który nie mógł nie widziéć téj nadzwyczajnéj piękności Elizy, piękności zdumiewającéj poprostu, a która na przebieg procesu psychologicznego, jaki się w nim teraz odbywał, musiała oddziaływać w najwyższym stopniu przyśpieszająco...

Jakże zwiędłą i „zniszczoną” musiała się teraz w porównaniu z panią Krasińską wydawać 40-letnia Beatrice! O ileż powabniejszą w porównaniu z nią musiała się teraz Krasińskiemu wydawać jego żona, „klasycznie piękna, jak tamta równie piękną być nie mogła nigdy, w całym rozkwicie i blasku téj piękności, kiedy tamta już była bardzo przekwitła, z umysłem nie mniéj, ale więcéj, niż pani Delfiny, żywym, bogatym i ćwiczonym, podziwiana wszędzie, w całéj Europie, gdzie się tylko pokazała”, podziwiana, jako jedna z najświetniejszych pań swego czasu, która jeśli występowała równocześnie z panią Delfiną, nie gasła przy niéj, tylko owszem ją gasiła! [1]). Wobec tego, wielce prawdopodobném wydaje mi się przypuszczenie, że pani Delfina zaczęła się pomału oryentować w sytuacyi i że to mogło być jedną z przyczyn jéj wyjazdu teraz z Nicei i tego dobrowolnego rozłączenia się na czas nieograniczony z autorem *Przedświtu*. Już to samo przemawia bardzo za trafnością powyższego przypuszczenia, że pani Delfina, rozłączywszy się teraz z Zygmuntem, rozłączyła się aż na — trzy lata. Kto wié, czy

---

1) St. Tarnowski: *Z życia poety*, „Słowo“ z 21 listopada 1880.

pani Delfina, poprostu wiedziona intuicyą kobiecą, która zawodzi kobiéty bardzo rzadko, nie odgadła przypadkiem, że pani Krasińska jest na najlepszéj drodze do odniesienia nad nią zwycięstwa; czy nie przeczuła zawczasu, że ona z téj walki — coraz bardziéj nierównéj dla niéj — musi w końcu wyjść zwyciężoną, że pani Eliza zaćmiewa ją nietylko swoją nadzwyczajną pięknością, ale i pod innemi względami; czy nie dla tego uważała za najwłaściwsze dyskretnie usunąć się zawczasu, ażeby nie być świadkiem budzącéj się w Zygmuncie miłości dla żony, ażeby swojéj miłości własnéj — jedynego uczucia, które ją dziś szczerze łączyło z poetą — na zbyt dotkliwą nie wystawiać próbę.

Cokolwiekbądź, jakby na poparcie téj hypotezy, o znacznèm oziębieniu uczucia Krasińskiego dla przekwitającéj Beatrice, świadczy jego podróż na początku sierpnia do Heidelberga, do Cheliusa, podróż, w któréj ten ostatni nie służył już za pretekst, ułatwiający spotkanie się z Delfiną, albowiem zobaczyć się z nią nie miał Krasiński tym razem żadnéj ochoty. Już przestał tęsknić za nią... Gdyby tęsknił, gdyby mu rzeczywiście na spotkaniu z nią zależało cokolwiek, nie omieszkałby się z nią zobaczyć, tèmbardziéj, że materyalnych przeszkód po temu nie miał żadnych. A jednak poprzestał na korespondowaniu ze swą „siostrą", na odbieraniu od niéj częstych a długich listów, na które odpisywał wprawdzie, ale już nie z taką skwapliwością, jak dawniéj. Co również zasługuje na podkreślenie, to, że od r. 1845, od czasu owego wiersza napisanego pod wrażeniem *Franczeski de Rimini* Ary Scheffera, nie potrafiła już pani Delfina ani razu natchnąć swego „brata" do napisania choćby jednego miłosnego wiersza dla niéj. W ogóle — o ile wiemy — napisał dla niéj od tego czasu tylko dwa wiersze, oba nadzwyczaj zimne i bez najmniejszéj poetyckiéj wartości [1]).

W Heidelbergu spędził Krasiński, pod opieką Cheliusa, całe lato, do późnéj jesieni. Pani Eliza tymczasem, z całym taborem, „z mamkami i pannami służącemi i t. d., i t. d.", bawiła w Dreznie, u rodziców. Rodzi się pytanie: czy Krasiński za nią tęsknił? Czy tęsknił, napewno powiedzieć trudno, ale że po upływie czterech miesięcy bardzo mu już na spotkaniu z nią zależało, że przyjazdu jéj z pewną wyczekiwał niecierpliwością, na to jest dowód w liście do Gaszyńskiego, datowanym 9 listopada z Heidelberga. „Jeszczem tu. Od miesiąca Eliza z Drezna codzień wyjeżdża, ja znów tu codzień czekam na nią... Ale teraz pewno już wyjeżdża i niezadługo, tak może za dziesięć dni, *circa* tego, będzie przez Aix przejeżdżała." Ale skończyło się na tèm, że pani Krasińska dopiéro ostatnich dni listopada zjechała się z mężem,

[1]) Zob. „Pisma Zygmunta Krasińskiego", t. III, str. 101—102, 113—114.

tak, iż do Nicei, gdzie miano znów spędzić całą zimę, przyjechano nie prędzéj, aż pierwszych dni grudnia. Gdzie zamieszkano? W *Maison Pontio* na Carabacello, czy w willi Geoffrey? W listach Krasińskiego nie ma o tém wzmianki, tak samo, jak w nich nie ma ani słowa o pani Delfinie, która na tę zimę nie przyjechała do Nicei. Spędzała ją w Paryżu.

W Nicei tymczasem, u państwa Krasińskich, było smutno: nie dla tego, że Beatrice znajdowała się daleko od swego „brata", ale dla tego, że ten ostatni ciągle chorował téj zimy. Ale i ta choroba, ze względu na Elizę, miała swe dobre następstwa; Krasiński bowiem, widząc poświęcenie się żony, z jakiém go pielęgnowała, mimowoli musiał ją podziwiać. A przytém nie mógł być ślepym na czarującą piękność téj idealnéj siostry miłosierdzia... Jednocześnie o pani Delfinie dziwne krążyły wieści. Ile w nich było prawdy, nikt nie wiedział na pewno, ale wątpliwości nie ulegało najmniejszéj, że jak w każdéj legendzie, tak i w téj, odrobina prawdy być musiała. W każdym razie pogłoski, które od niejakiego czasu zaczęły dochodzić z nad Sekwany, pogłoski, że Beatrice autora *Przedświtu* stała się w tych czasach Muzą Chopina, którego starała się wedle możności pocieszyć po utracie serca pani Sand, pogłoski tego rodzaju, czy były zgodne z prawdą, czy nie, zawsze miały to dobrego do siebie, z punktu widzenia pani Elizy, że jako psychologiczny *repoussoir* o tyle jaśniejszą aureolą otaczały jéj ciche, rezygnacyi pełne poświęcenie przy łożu chorego męża. A że w tym czasie właśnie — 17 października 1847 — ukazały się u Breitkopfa i Härtela w Lipsku słynne *Trois Valses* Chopina, z których najpiękniejszy *Des-dur* był dedykowany *à Madame la Comtesse Delphine Potocka*, walc, do którego przywiązana legenda o piesku pani Delfiny pozwalała się domyślać, że stosunek jéj z Chopinem bardzo być musiał *intime;* więc były i drukowane dowody, stwierdzające poniekąd, że pogłoski, krążące o pani Delfinie i Chopinie nie były bezpodstawne. Że na Krasińskiego podobne wersye o kobiecie, którą do niedawna uważał za ideał, nie mogły pozostać bez wpływu, rozumié się samo przez się. Jakże czystą i świętą musiała mu się na ich tle wydawać Eliza! Takie kontrasty wywierają swój skutek.

Swoją drogą trudno mu się było jakoś pogodzić z tą myślą, że pani Delfina na zaszczytną nazwę Beatriczy coraz mniéj zasługuje, że jedyną istotą, która na nią zasługuje w zupełności, jest jego żona. Albowiem do téj pory jeszcze pokutował w nim hrabia Henryk z *Nieboskiéj Komedyi.* Czasami, powiada w jednym z listów do Sołtana, taka chwyta go melancholia, że ucieka od ludzi. „Trochę spokojnieję tylko, kiedym zupełnie sam, gdzie na jakiéj ścieżce górzystéj, śród skał,

śród natury milczącéj..." Trudno, czytając podobne wynurzenia, nie pomyśléć o poetycznym ojcu Orcia; nadto, czytając je, mimowoli chce się na nie odpowiedziéć słowami hrabiego Henryka do żony: „Nie zważaj na to, com powiedział: napadają mię często złe chwile — nudy." Kto wié bowiem, czy w słowach tych nie leży klucz do rozwiązania zagadki psychologii Krasińskiego, czy w podobny sposób nie należy sobie tłómaczyć wielu jego smutków i rozpaczy — w listach. „Nie zważaj na to, com powiedział..." W każdym razie nie zawsze trzeba zważać na to, co Krasiński pisze do przyjaciół, przed którymi bardzo często lubił pozować na nieszczęśliwszego, niż nim był w istocie; tak samo, jak większość jego „rozpaczy" i spleenów składać należy na karb téj nudy, o któréj w przytoczonym ustępie wspomina hrabia Henryk, a która była najczęściéj prostym wynikiem bezczynności, absolutnego braku jakiegokolwiek obowiązkowego zajęcia. Człowiek, który nie pracuje, musi się nudzić, nuda zaś, jak ktoś powiedział, jest matką melancholii. Tylko pracując, żyje się normalnie. Krasiński żył nienormalnie. Mając zawsze cały dzień wolny przed sobą, niedziw, jeżeli się często uskarżał na pustkę...

ROZDZIAŁ III (1847—1859).

Beatrice rzekoma i Beatrice rzeczywista. — Wzmianki o żonie w listach poety. — Rok 1852. — Zima w Rzymie. — Paweł Delaroche, czyli ostatnia miłość pani Delfiny Potockiéj. — Horacy Delaroche. — Księżna Marcelina Czartoryska. — Pierwszy wiersz *Do Elizy*. — Wiersz króla-poety. — Imieniny pani Krasińskiéj w roku 1856. — *Incomparabile Donna*. — „Bohaterska Eliza." — Ostatni wiersz *Do Elizy*. — Koniec „walki kobiét."

Przełom nastąpił: Krasiński przekonał się wreszcie do swojéj żony; przestał się kochać w pani Delfinie, i nie widząc w niéj już swojéj Beatrice, uważał ją za „siostrę", za życzliwą przyjaciółkę, dla któréj żywił uczucie życzliwości, w najlepszym razie przyjaźni, za przyjaciółkę, z którą nawet korespondował od czasu do czasu, która jednak w duszy jego żadnéj już nie miała grać roli, chyba humorystyczną — dymisyonowanéj Beatrice. Stosunek ten, od owego wyjazdu pani Delfiny z Nicei w czerwcu r. 1846, wyłącznie na konwenansie oparty, najlepiéj odzwierciedla się w listach poety do przyjaciół, gdzie w rzadkich wzmiankach o pani Delfinie taki panuje ton, iż nikt, nieświadomy przeszłości Krasińskiego, nie wywnioskowałby z nich, że to mowa o téj saméj pani Delfinie, którą poeta przez kilka lat z rzędu uważał za ideał kobiecości, którą nazywał swoją Beatrice i którą, jako taką, unie-

śmiertelnił w *Przedświcie*, nie mówiąc już o mnóstwie lirycznych erotyków, będących jedną z największych ozdób naszéj miłosnéj poezyi. Pod tym względem zaszła w nim teraz — w r. 1846 — stanowcza metamorfoza, która odtąd, przechodząc zwykłą, niczém niezakłóconą ewolucyę, miała się skończyć bezgraniczném uwielbieniem dla żony, a najzupełniejszą obojętnością, prawie graniczącą z niechęcią, do Delfiny.

Prawdziwą Beatrice poety — choć jéj tak nie nazwał — staje się teraz pani Eliza. Ona jedna, ze wszystkich kobiét, które Krasiński darzył swoją miłością, zasługiwała na to dantejskie miano; ona bowiem — nie pani Delfina Potocka — była tym Aniołem, który poecie „przyszedł w pomoc" i który go „wybawił z otchłani."

Pani Delfina raczéj go do téj otchłani wtrąciła. Ona go sprowadziła z téj prostéj ścieżki, o któréj mówi Dante, i wprowadziła do tego ciemnego lasu namiętności, w pośrodku którego znalazł się także i nieśmiertelny wieszcz florencki, *mezza del camin di nostra vita*. Jéj w gruncie rzeczy przypadła rola téj symboliczněj pantery, którą Dante spotyka w pierwszéj pieśni swego poematu, a która, jak wiadomo, oznacza zamiłowanie roskoszy zmysłowych. Prawie wszystko, co Krasiński kiedykolwiek popełnił złego i nieetycznego — szczególniéj od roku 1843 — był winien swéj Beatrice.

Przeciwnie rzecz ma się z Elizą, która od początku do końca była jego dobrym geniuszem, jego rzeczywistą Beatrice, jego ostatnią miłością, najpodobniejszą do tego uczucia, jakie miał Dante do zmarłéj, a prawie wymarzonéj Beatrix Portinari. Kto wie nawet, czy Krasińskiego dozgonna towarzyszka życia, choć rzeczywista, nie wymarzona, nie była czémś wyższém jeszcze, aniżeli nieziemska Beatrice w pojęciu Dantego: Beatrix bowiem, jak powiedziano słusznie i pięknie, dopiéro w n i e b i e, wysoko nad Dantego wzniesiona, prowadzi go wyżéj, aż do najdoskonalszéj miłości Boga; kiedy ta n a z i e m i, obok poety-męża, z nim ręka w rękę przebywa trudną drogę życia, i razem, przez miłość wszystkiego, co dobre, oboje postępują coraz wyżéj; ale on wierzy, że ona idzie o krok przed nim i, sama stojąc wyżéj, nietylko wskazuje drogę, ale mu się wznosić pomaga [1]).

I.

Ten zwrot w uczuciach Krasińskiego dla żony, datujący się od roku 1847, daje się z łatwością wyśledzić w listach do Sołtana. Przede-

---

1) St. Tarnowski: *Op. cit.*, str. 606.

wszystkiém, począwszy od téj pory, nie napisał Krasiński ani jednego listu, w którymby nie było krótszéj lub dłuższéj wzmianki o Elizie. Co ważniejsza, to, że wszystkie wzmianki, bez wyjątku, brzmią pochlebnie, sympatycznie.

Kiedy w sierpniu 1848 r. zdarzyło mu się przykre zajście z Czarnomskim, nic go tak w téj całéj sprawie nie bolało, jak to, że Eliza przypłaciła ją zdrowiem... W parę miesięcy późniéj, pisząc z Dieppes, gdzie „dla roztrzaskanych nerwów szukał elektryczności", nie skarżył się na nic, tylko na strach „o Elizę śród rozbójniczego republikanizmu Struvów i Metternichów..." Pani Eliza bawiła wtedy czas jakiś w Paryżu. W tym samym liście, prosząc Sołtana, ażeby pisał do niego zawsze na ręce Elizy, dziękuje mu „za te kilka ślicznych słów, któreś do niéj napisał." Taki sam ton panuje w listach do Małachowskiego. „Bardzo się troszczę o Elizę, nie może wyjechać (z Paryża), bo matki nie chce opuszczać... Wszyscy w Babilonie przerażeni do najwyższego stopnia i czekają na jakiś wybuch." Nie dziw więc, że mu „nad wszelką miarę stroskano, niespokojnie, czarno na myśli." Czemu? Bo „Eliza wciąż w Paryżu. Mimo pociechy, którą mnie rzeźwisz, bardzo się troszczę o nią... Obiecała się z powrotem niezadługo, lecz matki rozpaczającéj nie chce opuszczać..." A kiedy mu napisała, że wróci do niego, do Badenu, koło drugiego maja (1849), wybrał się do Strasburga na jéj spotkanie... W rok potém, z Warszawy, tak pisze do Sołtana: „Cieszy mnie pociecha ojca: bawi się wnuczętami, a wnuczęta dorodne i bystre." Ten idyliczny obrazek świadczy najlepiéj, o ile stosunki domowe Krasińskiego zmieniły się w tych czasach na lepsze. Dawniéj uważałby, że cieszyć się z takiéj radości dziadka, bawiącego się z wnuczętami, byłoby godne „fabrykanta Niemca", a nie romantycznego poety. Dziś pisał o tém z wyraźną przyjemnością. A kiedy mu 23 lipca narodziła się córeczka (późniejsza pani Marya Raczyńska), tak pisał o tém zdarzeniu do siostry St. Małachowskiego: *„J'ai decacheté ma lettre, chère cousine, pour vous dire que cette nuit même Dieu a envoyé à Elise une fille et que la mère ainsi que l'enfant sont aussi bien qu'on peut le desirer."* Dawniéj nie wspominał nigdy, jak się Eliza ma: zdrowa, czy chora, ładnie wygląda, czy brzydko. Teraz przeciwnie. „Eliza nadspodziewanie zdrowa, czytamy w liście z Heidelberga, z r. 1851, pisanym w czasie choroby starszego syna, kiedy ten zaczął już przychodzić do zdrowia; radość staje jéj za siłę, zdrowie i wszystko. Choć sześć nocy z rzędu nie zasnęła ani chwilki, wygląda świéżo." Czytając te słowa, nietrudno odgadnąć, że uczucie, które je podyktowało Krasińskiemu, już nie było dalekie od uwielbienia dla żony. To samo da się powiedzieć i o następnym liście, pisanym do tegoż Sołtana, z Badenu d. 22

lipca 1851. „Eliza wróciła szczęśliwie we dwa dni po twoim odjeździe. Dziękuję ci z serca głębi za twą pamięć o niéj...”

Ale nadszedł rok 1852, który państwa Krasińskich zastał w wieczném mieście, a który w rozwoju miłości Krasińskiego dla żony jest początkiem nowéj epoki, początkiem uwielbienia, które już pada na kolana, które całuje rąbek szat, które w ukochanéj i uwielbianéj istocie widzi absolutny ideał kobiecości. W tym roku po raz pierwszy spotykamy się w listach Krasińskiego z przydomkiem *Incomparabile Donna*, który odtąd ma zawsze oznaczać panią Krasińską. „*Incomparabile Donna* najserdeczniejsze ci dzięki składa za pamięć. Dziateczki zdrowe. Maleńka już łazi i parę słów przebąkuje (10 marca 1852).” W tym roku téż, w czasie bytności w Rzymie, napisał Krasiński *Do Elizy* śliczny wiersz, jeden z najpiękniejszych wierszy, jakie poezya nasza zawdzięcza autorowi *Irydiona*, wiersz, o którym powiedziano słusznie — jak powiedział Krasiński o wierszu Słowackiego *Do autora Trzech psalmów* — że „jest jedną z przedziwności języka polskiego.”

O Piękna moja! Bądź błogosławiona!
. . . .

Tak się zaczyna ten wiersz, którego następne zwrotki tém się tylko różnią od pierwszéj, że w nich ta „Piękna” jest Polką.

O Polko moja! Bądź błogosławiona!
. . . .

Wobec takiego zachwytu i podziwu dla swéj „niezrównanéj” towarzyszki, nie dziw, że i piękność jéj, z każdym rokiem świetniejsza i coraz bardziéj „nieprawdopodobna”, wielkie robiła na nim teraz wrażenie. Za dowód, że tak było, może posłużyć fakt, iż stało się z czasem pragnieniem Krasińskiego, aby mu żona przypominała lub urzeczywistniała — nawet swojém ubraniem — jakieś poetyczne obrazy, czy fantazye. W tym celu prosił ją nieraz, ażeby się ubierała np. po grecku (podobno, że w takim stroju Antygony wyglądała nadzwyczajnie) i lubił się tak w nią wpatrywać... [1]).

Nadmienić wypada, że w ciągu téj zimy przyjechała do wiecznego miasta księżna Marcelina Czartoryska, która mogła Krasińskiemu przywieźć z Nicei — gdzie spędziła cały ostatni rok — nadzwyczajne wiadomości o pani Delfinie, wiadomości, które do reszty musiały w nim rozwiać wszelkie złudzenia (pomimo wszystkiego, co mówi o mężczyznach Victor Hugo w *Marion Delorme)*. Oto fakty, które nie wymagają

---

1) St. Tarnowski: *Op. cit.*, str. 448, oraz na podstawie ustnych opowiadań osób, które znały panią Krasińską.

Juwenalowego oburzenia, ażeby „Beatrice” Krasińskiego we właściwém ukazać świetle. Było to w roku 1851, w styczniu, a jest aż nadto danych, upoważniających do przypuszczenia, że zaczęło się to jeszcze w ciągu zimy r. 1850 (kiedy Krasiński bawił z żoną w Heidelbergu). Pani Delfina mieszkała, jak zwykle, w Nicei, w swojéj willi na *Carabacello*, a z nią razem przebywały jéj siostry: księżna Beauveau i pani Spada. W sąsiedniéj willi, tuż obok, mieszkał z dwoma synami owdowiały niedawno Paweł Delaroche, zasługujący do pewnego stopnia na miano francuskiego Matejki; bądź co bądź, był to jeden z najznakomitszych malarzy ówczesnych francuskich, głośny w całym świecie twórca wspaniałych obrazów historycznych. Jako taki, był arcy pożądanym gościem w willi Geoffroy, któréj właścicielka, choć liczyła już sobie lat 43 z czémś, nie przestała jeszcze być wielbicielką sławnych artystów. Paweł Delaroche, jako malarz, mógł posiadać podwójny u r o k, bo oprócz u r o k u człowieka sławnego, posiadał jeszcze — w jéj oczach specyalnie — pewien u r o k nowości, czegoś, czego (o ile wiemy) nie znała dotąd. Jako „Beatrice” Zygmunta Krasińskiego, przy którym to tytule uparcie obstawała do końca życia, wiedziała bardzo dokładnie, jak kochają wielcy poeci; jako „Muza” Fryderyka Chopina, z którym to tytułem — obok tytułu „Beatrice” — także uważała, że było jéj bardzo do twarzy, miała niemniéj dokładne wyobrażenie o tém, jaką może być miłość genialnego muzyka. Jak kocha wielki malarz? nie wiedziała. To zdaje się było pobudką, że pokosztowawszy roskoszy, intelektualnych i nieintelektualnych, jakie kobiecie takiéj, jak ona, dać może wielki mistrz tonów, jak Chopin, i wielki mistrz słowa, jak Krasiński, niemniejszą poczuła ochotę dowiedzieć się, o ile rola Fornariny — bo nie Wiktoryi Colonna — w życiu wielkiego mistrza pędzla, jak Delaroche, może ją jeszcze pociągać ku sobie. W tym celu zaczęła stroskanego wdowca pocieszać, jak mogła, a że miała wielkie doświadczenie pod tym względem, więc stroskany wdowiec dał się pocieszyć bardzo prędko, co nie znaczyło wcale, ażeby nie chciał być pocieszanym jak najdłużéj... Jakoż upłynął rok, nadeszła zima z r. 1851 na 1852, a pani Delfina nie przestała mu być pocieszycielką i ciągle mieszkali w Nicei obok siebie i ciągle trwał pomiędzy nimi stosunek jak najbliższy... Zdaje się jednak, że stosunek ten, o ile mógł osładzać życie ojcu, o tyle zatruwał je synowi, 15-letniemu Horacemu Delaroche, którego śmiertelna choroba w roku zeszłym była właściwie powodem, że razem z ojcem i młodszym bratem spędzali zimę na południu. Co było źródłem téj choroby? Nie ulega wątpliwości, że z początku jedyną przyczyną była śmierć matki, którą 15-letni wówczas Horacy kochał nad życie, a któréj strata tak silnie wstrząsnęła młodzieńczym, a z na-

tury bardzo wątłym organizmem, że wywiązała się groźna choroba sercowa. „Czy nie przyczyniło się do niéj spostrzeżenie, że ojciec dał się po stracie pocieszyć?” Są tajemnice serc, które nie wyjawią się nigdy, „jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie” i jeżeli kto na świecie, to chyba jedna księżna Marcelina Czartoryska, a późniéj żona, wiedziała, co się wtedy działo w duszy tego młodzieńca [1]). Prawdziwym aniołem opiekuńczym, który w tych strapieniach zastępował Horacemu zmarłą matkę, była księżna Marcelina Czartoryska, od stycznia r. 1851 mieszkająca z mężem w Nicei. Ona, choć obca, większą nad nim roztaczała pieczę, aniżeli ojciec; tego myśli i serce były w willi Geoffroy, która taką rolę odegrała tym razem w jego życiu, jak zamek nimfy Cyrce na wyspie Eei w życiu towarzyszów Odyseusza... Zmuszony być mimowolnym świadkiem tych zalotów starzejącego się ojca, młody Horacy zamiast przychodzić do siebie, był coraz słabszy. W końcu uradzili lekarze, ażeby odbył podróż po morzu, choćby krótko. Ale z kim odbyć taką podróż, kiedy ojciec nie miał dość siły woli, ażeby się zgodzić na rozłączenie ze swoją Fornariną? A jednak od takiéj podróży zależało zdrowie, a może i życie Horacego! I tu przyszła w pomoc księżna Marcelina. Widząc, że ojcu trudno jest zdobyć się na tak małe poświęcenie dla syna, księstwo Aleksandrowstwo uczynili to za niego. Jakoż skończyło się na tém, że ojciec został przy pani Delfinie w Nicei, a Horacy, prawie śmiertelnie chory, pod opieką księstwa Aleksandrowstwa Czartoryskich, puścił się w podróż po morzu Śródziemném. Okazało się jednak, że podróż morska nie służyła mu do tego stopnia, iż musiano ją przerwać czémprędzéj. Dla tego wylądowano już w Civitta Vechia, skąd się udano do Rzymu. Tutaj choroba nieszczęśliwego Horacego przybrała jeszcze groźniejsze rozmiary; nią zajęta, księżna Marcelina nie mogła ani dawnych stosunków odnawiać, ani nowych szukać. Jedynym człowiekiem, którego widywała, był Zygmunt Krasiński... [2]). Czy zapytana o panią Delfinę, opowiedziała mu, na co patrzała przez cały rok w Nicei? Trudno przypuścić, żeby z tego robiła tajemnicę. A jeżeli się Zygmunt dowiedział wszystkiego, to czy mógł panią Delfinę w dalszym ciągu uważać za swą Beatrice? Że ją już za taką uważać przestał, dowodzi wspomniany wiersz *Do Elizy*, napisany w tym roku właśnie.

A nietylko Krasiński uważał ją za taką. Wszyscy, co ją znali, od przyjaciół i krewnych aż do—głów ukoronowanych, widzieli w niéj ideał kobiecości, a przytém jedną z najświetniejszych dam swego cza-

---

1) St. Tarnowski: „Księżna Marcelina Czartoryska“, str. 263.

2) St. Tarnowski: „Księżna Marcelina Czartoryska“, str. 265.

su. Oto, jaki w roku 1855 napisał do niéj wiersz — król bawarski, Ludwik.

An Elisabethe Gräfinn Krasińska geborene Gräfinn Branicka.

Gleichmuth und Schönheit? Ich kenn'ein reizendes Bildniss
Wenn mit Schönheit sich Güte und Würde vermählt:
Krönte Polonia noch, wie vormals, edele Frauen;
Wärst du Königin wohl; aber Du bist es auch jetzt.

Heidelberg, 1855 [1]).

Łatwo zrozumieć, że posiadając taką żonę, na któréj widok sami królowie nawet stawali się poetami, nie mógł i sam Krasiński pozostawać za nimi w tyle, on, poeta z bożéj łaski! Jakoż nie pozostał w tyle. Wiersze zaś, które napisał do Elizy, należą bezwarunkowo do najpiękniejszych, jakie mu się kiedykolwiek napisać zdarzyło.

Jeden z nich, napisany d. 19 listopada 1856 r., w dzień Św. Elżbiety, a więc na imieniny żony, brzmi, jak następuje:

Choć lód serc ludzkich świat pod mrozem trzyma
I wszędzie w świecie bezkwietniana zima,
W duszy mi kwiaty wciąż ku Tobie rosną
Śród zim boleści, boś Ty moją wiosną,
Boś życia mego ty ostatniém słońcem:
Wszystko mnie zwiodło przed dni moich końcem.

Wierzyłem w ludzi, a byli bez ducha,
Wierzyłem w ludzkość, patrzę na zgniliznę
. . . .
. . . .
Ziemia ta cała tak potwornie podła,
Lecz Ty mnie jedna na ziemi nie zwiodła.

Kształt Twój nie kłamie patrzącym do koła,
Gdy ócz Twych światłem, blaskiem Twego czoła,
Im wewnętrznego zwiastuje Anioła.
Wszystko, com widział, to był sen, wiew, para,
Tyś rzeczywista, Tyś jedna nie mara,
A jednak w Tobie ideału piękno!

Niech więc kolana me przed Tobą klękną
Niech Ci me serce podadzą te kwiaty,
I niech me usta zbolałe wyjękną,
Szukając kornie brzegu Twojéj szaty:
— Tyś piękną.

---

[1]) Zob. „Niwa“ Nr 21 z d. 10 listopada 1892, w notatce bibliogr. Al. Rembowskiego p. t. „Królewskie rymy.“

Podobnym tonem odznaczają się i listy poety: ile razy pisze o żonie, zawsze z głębokiém współczuciem, zawsze z admiracyą. Kiedy lord Aberdeen podał się do dymisyi, Krasiński, pisząc do Sołtana, który pomienionego lorda bardzo nie lubił, tak kończy swój list: „*Incomparabile* serdecznie ci się kłania i każe ci winszować, że ten, którego tak nie lubiłeś, stary Anglik, wyszedł ze składu rzeczy.” Kiedyindziéj znowu, z Heidelberga, z powodu bytności pani Przeździeckiéj, tak pisze o niéj do Sołtana: „Twoja wnuczka, Przeździecka, wciąż tu siedzi z przywiązania do *Incomparabile*; miła i nader dobra kobiéta.” Kiedy w parę miesięcy późniéj, chory, nie mógł się zdecydować, czy pojechać do Włoch czy zostać w Baden, a pani Krasińska była za tém, żeby jechać, w liście do Sołtana taka znalazła się o niéj wzmianka: „Z drugiéj strony *Incomparabile* straszliwie się lęka, by zima całkiem mnie nie doniszczyła, i pragnie podróży.” Przeczytawszy to, pani Eliza dopisała się do listu męża, w te słowa: „Jeśli jest we mnie co niezrównanego, to wdzięczność, którą czuję dla przyjaźni drogiego pana.” Kiedy w roku 1857 umarła w Potoku mała Elizka najmłodsza córeczka poety, (można być pewną, że imię to nadano jéj tak samo na wyraźne życzenie Zygmunta, jak w r. 1846 na wyraźne życzenie pani Elizy synowi, który wtedy przyszedł na świat, nadano imię ojca), Krasiński tak o tym smutnym wypadku donosił Sołtanowi: „Na jesieni, w Polsce, straciłem skarb droższy i lepszy; oddałem niebu, co z nieba było do mnie przyszło; pochowałem na cmentarzu Potockim Elizkę moją; a matka jéj, ojciec mój i ja, szliśmy we troje za tą trumienką, w któréj spoczywał Aniołeczek. Nic na ziemi piękniejszegom nigdy nie oglądał, nad te rysy pośmiertne dziecka mojego... Eliza okropnie zmieniona: wycieńczona biedna, chora, nie do poznania. Grom w serce matki uderzył i strzaskał je...” Gdzieindziéj znowu, w jednym z listów do Gaszyńskiego, nazywa ją „swoją bohatyrską Elizą.”

W takiém uczuciu, kiedy nadeszły w r. 1857 imieniny pani Krasińskiéj, przygotował jéj poeta na wiązanie nowy wiersz, który się tylko tém różni od zeszłorocznego, że jest od niego — jeszcze piękniejszy. Tytuł: *Do Elizy*.

Jam marzył niegdyś, żem na potęg szczycie,
Jam czuł się w natchnień nieskończonych niebie;
A jednak w niwecz przemarniłem życie,
Dlatego tylko, żem nie kochał Ciebie.

O biada sercom, którym się wydaje,
Że grzechu żary — młodości płomieniem;
Bo sperzynieją ich nieba i raje,
I gorycz wieczna będzie im istnieniem!

O, biada sercom przenamiętnym – zginą!
Bo choć i anioł zstąpi do ich doli,
Przyszłość ich struta, przeszłość ich — jest winą,
I samo szczęście anielskie — je boli!

O, biada sercu mojemu, że żyło
O cierpkim, szału łzą zroszonym, chlebie!
Mów mi, jedyna dziś duszy mej siło,
Czemu ja dawniéj nie kochałem Ciebie?

Od Twéj urody szły jakby promienie —
Czémściś w postaci już wyanielałem —
Świeciłaś oczom, jak świeci widzenie!
Czemuż ja dawniéj Ciebie nie kochałem.

Wyższy od ziemskich mętów nawałnicy,
Spokój przeczysty na Twém czole białem,
I przenajsłodsza rzewność w Twéj źrenicy...
Czemuż ja dawniéj Ciebie nie kochałem.

. . . .

O, bądź mi odtąd przewodniczką bytu!
O, bądź mi odtąd piękna ideałem!
Trucizny życia napił się do syta
A za to tylko, że Cię nie kochałem.

Skarb moich potęg rozpadł mi się na nic,
Myśl się rozwiodła z natchnionym zapałem,
Jam zgasł i przewiądł od zmętków bez granic,
A za to tylko, że Cię nie kochałem.

I nieraz patrzę rozpaczy oczyma
W mą przeszłość, trupim leżącą powałem,
Z któréj mi czynów nieśmiertelnych niema —
A za to tylko, że Cię nie kochałem.

O spojrzyj na mnie! Tyś w górze, ja w dole!
Niech śmierć nie będzie na zawsze mym działem,
Dłonią mi z czoła zdejm żywota bole,
Bo już na wieki ja Cię ukochałem!

Za to, żeś duszą z światłości uwianą,
Żeś cała sercem, prawdą zamieszkałem,
Żeś przenadobną i niepokalaną,
Ach! już na wieki ja Cię ukochałem!

Za to, żeś wzgardą na pyszne orężna,
A smętne kochasz czuciem wiecznotrwałem,
Żeś przeciw wrogom tchnień Bożych Ty mężna,
Ach! już na wieki Ciebie ukochałem.

II.

A pani Delfina? Co się z nią działo tymczasem? O pani Delfinie wciąż było w świecie głośno. Jedni widzieli w niéj Beatrice Zygmunta,

do czego się ona sama przyznawała przedewszystkiém; dla drugich miała urok, jako ta, która śpiewała umierającemu Chopinowi; innym wreszcie, a mianowicie wielbicielom talentu Pawła Delaroche w pierwszym rzędzie, imponowała tém, że jéj, a nie komu innemu, przypadła rola pocieszania mistrza po stracie żony... Co o tém wszystkiém myślał Krasiński? Jego listy nie dają odpowiedzi na to pytanie. Cokolwiekbądź, jedno jest pewném, że Beatrice jeszcze podczas i po stosunku swoim z Pawłem Delaroche, stosunku, który był niesłychanie głośnym [1]) przez parę lat, nie dawała spokoju autorowi *Przedświtu*. Ciągle starała się grać jakąś rolę w jego życiu. Usunąć mu się z oczu zupełnie nie pozwalała jéj miłość — własna. To téż nie było takich sposobów, którychby nie próbowała, ażeby podtrzymywać stosunek z nim, jakikolwiek by ten stosunek był, choćby listowny tylko. O, bo w pisywaniu do niego listów, o ile możności jaknajdłuższych i sadzących się na romansową poetyczność, nie ustała aż do śmierci poety. Krasiński, jako człowiek dobrze wychowany, przez długi czas odpisywał, a nawet, kiedy bawił w Paryżu, należał do stałych gości salonu przy *Rue des Mathurins N. 38*, gdzie mieszkała pani Delfina. W końcu jednakże znudziło go to wszystko. Na listy zaczął nie odpowiadać, a z czasem przestał je nawet—otwierać. Tyle tylko, że je, nierozpieczętowane, chował. Stąd po śmierci znaleziono listów tych—całe stosy. W ostatniéj chorobie nie chciał pani Delfiny nawet widziéć. Raz tylko, na usilne prośby żony, pozwolił swéj dawnéj Beatrice, w téj chwili 52-letniéj, zbliżyć się do łoża, z którego już nie miał się podnieść... Późniéj wszelkie prośby były daremne: pani Delfina tylko w taki sposób mogła otrzymywać wiadomości o stanie zdrowia chorego, że przychodzącéj codziennie do przedsionka domu przy ulicy Pontièvre N. 22, pani Eliza dawała do przeczytania — biuletyn lekarski [2]).

Ferdynand Hösick.

---

[1]) Zob. „Słowo“ z 21 listopada 1890, *Z życia poety* przez St. Tarnowskiego.

[2]) Zob. *Moja Beatrice* przez X. Jana Gnatowskiego, „Niwa“ 1879 str. 904.



OŚWIECENIE PUBLICZNE

w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj.

Cokolwiekby ludzie niechętni mogli przytaczać przeciwko wystawom, zwłaszcza zbyt często powtarzanym, nie można im, zdaniem naszém, odmówić wielkiéj zasługi i bardzo pożytecznych skutków. Wprawdzie nie ulega wątpliwości, że ze zwiedzających wystawy osób większość nie odnosi z nich lepszéj korzyści, aniżeli zwykły śmiertelnik, chodzący po ulicach wielkiego miasta, z przypatrywania się przedmiotom, rozłożonym estetycznie w witrynach sklepowych, bawiącym tylko jego oko, ale których przeznaczenia często nawet nie rozumié. Jest jednak wielu i takich, którzy nietylko ze zwiedzenia wystawy wyciągnęli wszelką możliwą korzyść, ale nawet korzyścią tą, po powrocie z wystawy, ze społeczeństwem swojém się podzielili.

Do tych należy zaliczyć p. E. Kowalewskiego, który, będąc delegatem ministeryum oświecenia publicznego na ostatniéj międzynarodowéj wystawie w Chicago, po powrocie wydał nader interesujące dzieło pod tytułem: „Oświecenie publiczne w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj" (Petersburg 1895), dające nam dokładny i sumienny obraz oświecenia publicznego i zakładów naukowych wielkiéj rzeczypospolitéj zaatlantyckiéj. Zresztą, stosownie do zasady *suum cuique*, należy wspomnieć, że zasługa wydania książki nie należy wyłącznie do p. Kowalewskiego, chociaż większe jéj części wyszły z pod jego pióra, ale i do innych osób, które opracowały poszczególne działy oświecenia pu-

blicznego, bądź w charakterze delegatów rozmaitych zarządów, zawiadujących zakładami naukowemi w Rosyi, bądź nawet w charakterze osób prywatnych, zwiedzających tylko wystawę, zwłaszcza jéj oddział pedagogiczny. Do osób z charakterem urzędowym należą: p. Aderkas, delegat na wystawę i kongresy zarządu zakładów cesarzowéj Maryi, który opracował część odnoszącą się do zakładów naukowych dla głuchoniemych i ociemniałych; tudzież p. Gerd, delegat zakładów naukowych wojskowych, który zbadał i opisał kwestyę wykształcenia fizycznego w Stanach Zjednoczonych. Między osobami z charakterem prywatnym znajdujemy profesora uniwersytetu warszawskiego, Sigla, który odbył podróż po Stanach Zjednoczonych w celu zbadania stanu uniwersytetów i wyższych zakładów naukowych, a owoc swojéj pracy pomieścił także w tém zbiorowém dziele; pani Pospiełowa, utrzymująca wyższą szkołę profesyonalną dla kobiét, która wspólnie z p. Kowalewskim opracowała dział szkół elementarnych i średnich; tudzież p. Miżujew, który dołożył do wspólnéj pracy historyczny rozwój średnich zakładów naukowych w Ameryce. Zresztą zasługa tego wydania należy się i ministeryum oświecenia, które dostarczyło funduszów na jego publikacyę.

Powiedzieliśmy wyżéj, że dzieło to jest interesujące i zmuszeni jesteśmy powtórzyć, iż interesujące jest w wysokim stopniu nietylko ze względu na swoją treść, wielce nauczającą, ale i ze względu nawet na swoją stronę zewnętrzną, kartkę tytułową, od któréj téż zaczniemy.

Na kartce tytułowéj znajduje się winietka, na któréj, obok podobizny Horacego Manna, jednego z najzasłużeńszych mężów dla sprawy oświecenia publicznego w Stanach Zjednoczonych, zamieszczone są dwie wiele mówiące cyfry. Pierwszą jest suma „200,000,000 dolarów", wypisana w górze nad posągiem wolności, który, jak wiadomo, Francuzi ofiarowali amerykanom, dla umieszczenia go u wejścia do portu w New-Yorku, gdzie się obecnie posąg ten znajduje. Druga jest cyfra na dole winietki, „25% ludności w zakładach naukowych." Cyfry te mają swoje głębokie znaczenie, potrzebujące dla zrozumienia ich pewnego wyjaśnienia.

Pierwsza cyfra znaczy, że tyle milionów dolarów, to jest około 400 milionów rubli, amerykanie, przy 64 milionach ludności, wydają rocznie na wykształcenie swego przyszłego pokolenia. Suma to ogromna w porównaniu z całym budżetem wydatków Stanów Zjednoczonych, które w r. 1894 wynosiły 458 milionów dol. („Statesmans Yearbook for the year 1894", str. 1077). Jest to suma, jakiéj nie dosięgło żadne państwo europejskie, czemu zresztą dziwić się nie można, gdyż państwa te, ulegając pod brzemieniem ciężarów na utrzymanie

zbrojnego pokoju, od których Stany Zjednoczone są wolne, nie mogą wydawać tyle na oświecenie publiczne.

Druga cyfra oznacza, że z 64 milionów ludności Stanów Zjednoczonych, 23% znajdowało się w zakładach naukowych różnego rodzaju lub ukończywszy jedne, uczęszczało do innych, w celu uzupełnienia owego wykształcenia. W rzeczywistości w niektórych nawet regionach, jak np. w północno-środkowym, procent ten dochodził do 25. I ten rezultat także jest zadziwiający, z tego bowiem widzimy, że Stany Zjednoczone stoją na czele ludów całego świata nietylko pod względem wysokości wydatków łożonych na oświecenie publiczne, ale także i pod względem ilości osób, uczęszczających do zakładów naukowych. Rzeczywiście z krajów nieeuropejskich zbliżają się do nich tylko Kanada, która ma 20.8% swéj ludności w zakładach naukowych (Kowalewski, str. 498), i Nowa Południowa Walia w Australii (New South Wales), mająca 22% (Kowalewski, str. 511). W krajach europejskich stosunki te przedstawiają się o wiele gorzéj, w kraju bowiem, w którym najwięcéj jest uczących się, mianowicie w Szwajcaryi, procent ich stanowi 19.5, w Niemczech 18.8, w Finlandyi 17.6, w Anglii 16.3, w Szwecyi i Norwegii 15.4, we Francyi 15.2, w Holandyi 14.2, w Belgii 13.5, w Austro-Węgrzech 12.9, w Hiszpanii 10.6, we Włoszech 9.6, w Rosyi 3.1 i w Turcyi 2.2% (Kowalewski, str. 51).

Winietka więc, pomieszczona na dziele p. Kowalskiego, miała na celu w dotykalny sposób pokazać, do jakich rezultatów doszły Stany Zjednoczone pod względem oświecenia publicznego. Zadaniem znów całego dzieła i treści jego było wykazanie, w jaki sposób Stany te doszły do tak świetnych rezultatów.

Osoby przyzwyczajone do stosunków europejskich, patrzące na wszystko przez szkła opieki administracyjnéj, byłyby niewątpliwie skłonne do sądzenia, że rezultaty te osiągnięto głównie za pomocą szerokiéj i energicznéj, na wielką skalę prowadzonéj działalności państwa, władzy centralnéj, która tworzyła szkoły, utrzymywała je, wyznaczała na nie środki pieniężne utrzymania, przygotowywała i mianowała nauczycieli, zakreślała programy nauczania, jedném słowem sama zarządzała całém oświeceniem publiczném. W saméj rzeczy przypuszczenie takie byłoby czémś zupełnie naturalném w społeczeństwach europejskich, które w każdym swoim kłopocie stoją bezradnie, nie znajdując innego środka wyjścia, tylko udając się o pomoc i opiekę do państwa. Przypuszczenie takie wszakże co do Stanów Zjednoczonych nietylko pod względem oświecenia publicznego, ale i pod każdym innym, byłoby zupełnie błędne.

W Stanach Zjednoczonych konstytucya z r. 1787 władzy centralnéj nader szczupłe zakreśliła granice pod względem zarządu centralnego, sprawami obchodzącemi wszystkie Stany. Według niéj, zarząd związkowy winien był zajmować się sprawami zagranicznemi, armią, flotą, cłami i niektóremi innemi sprawami zarządu wewnętrznego. Na skutek tego we wszystkich innych sprawach, do których należy i oświecenie publiczne, pojedyncze Stany, obecnie w ilości 48, korzystają z zupełnéj autonomii. Oświeceniem publiczném rząd centralny zaczął się zajmować dopiéro w r. 1867, kiedy utworzone zostało *Bureau of Education*, którém zarządzał dyrektor t. z. *Commissioner of Education*. Z początku biuro to było nawet samodzielnym zarządem, w r. 1869 jednak zostało przyłączone, jako wydział, do ministeryum spraw wewnętrznych (*Interior Department*). Prawa jednak tego zarządu i dotychczas są nader skromne. Według (§516, 517 i 518) statutów Stanów Zjednoczonych, winno ono tylko zbierać dane statystyczne wszelkiego rodzaju, wiadomości o warunkach położenia oświaty w Stanach, tudzież starać się o rozszerzanie pożytecznych wiadomości o organizacyi i zarządzie szkół, o systematach i metodach nauczania i wogóle pomagać ludności do rozszerzenia oświaty publicznéj w kraju. Żadnych jednak praw zwierzchniczych biuro to nie posiada, nie może ono ani przepisywać programatów wykładów szkolnych, ani mianować lub uwalniać nauczycieli. Jest ono w gruncie rzeczy tylko komitetem statystycznym, który nie ma nawet prawa żądać od osób zainteresowanych sprawozdań statystycznych, mogąc o nie tylko prosić, wywiera ono tylko wpływ moralny na instytucye lub osoby, zajmujące się oświeceniem publiczném, przedewszystkiém swojemi sprawozdaniami, książkami, cyrkularzami, które drukuje i wypuszcza w świat w niezmiernéj ilości egzemplarzy, na co ma przeznaczone 60,000 dolarów rocznie. Dopiéro na mocy prawa z 30 sierpnia r. 1890 t. z. *agricultural college act*, dyrektor tego biura został opatrzony większą władzą, mianowicie nadano mu prawo rozdzielania subsydyum rządowego między Stanami, przeznaczonego na poparcie wykształcenia technicznego i rolniczego. Zasiłek ten na każdy Stan, poczynając od 15,000 dol., powiększa się stopniowo do 25,000 dol. Od tego biura zależą także szkoły na półwyspie Alaska. Szkoły dla Indyan zależą od osobnego departamentu w ministeryum spraw wewnętrznych. Nie należy téż zapominać, że kongres, o czém późniéj będzie mowa, nieraz uchwalał szczodre zasiłki na utrzymanie szkół, że z dochodów ogólno-państwowych opłacana jest połowa wydatków na utrzymanie szkół w okręgu Kolumbii, bezpośrednio zależnym od kongresu, że rząd centralny utrzymuje także dwa zakłady

naukowe wojskowe, przygotowujące oficerów dla armii i marynarki, i daje subsydyum na niektóre jeszcze inne zakłady naukowe.

Wogóle jednak widzimy z powyższego, (zwłaszcza, jeżeli weźmiemy na uwagę niezmierną ilość zakładów naukowych w St. Zjedn.) iż rząd centralny nie zarządza niemi, i że rola jego pod względem kierowania zakładami naukowemi i oświeceniem publiczném jest nader ograniczona. Dotychczas cały ciężar zarządzania temi zakładami padał na organy miejscowego samorządn w stanach, a i w tych nawet najważniejsze obowiązki były włożone na organy samorządu gminnego. Zobrazowanie systematyczne tych organów przedstawia wiele trudności najprzód z tego powodu, że wynikały one historycznie w jednych stanach wcześniéj, w innych późniéj, a następnie z tego, że każdy stan, korzystając z swéj autonomii, często tworzył zupełnie inne organy, niepodobne do takichże organów w stanach sąsiednich.

Już pierwsi koloniści, osiedlający się w XVII w. w niewielkich koloniach, starali się sami o zabezpieczenie wspólnych interesów, a między niemi o dostarczenie swoim dzieciom wykształcenia naukowego i religijnego. W tym celu od samego początku zbierali się na narady, na których stanowili względem otwarcia szkoły mającéj dostarczyć wszystkim dzieciom wykształcenia naukowego i nakładali na siebie podatki na jéj utrzymanie. Stąd powstał najmniejszy okrąg t. z. *school district*, zarządzający jedną szkołą. Późniéj z postępem kolonizacyi, kiedy w stanach zaprowadzono podział administracyjny na hrabstwa i gminy (*township*) i kiedy w granicach jednéj gminy znalazła się więcéj aniżeli jedna szkoła, okręgi szkolne w znacznéj ilości stanów (w 12) nie chciały zrzec się swoich praw na korzyść gminy pod względem zarządzania szkołą. Stosownie do tego, w każdym takim okręgu powstały różne władze samorządne, zawiadujące szkołami. W *school district*, w jednych stanach zgromadzają się wszyscy obywatele, nie wyłączając niezamężnych kobiet, w innych ci tylko, którzy płacą podatek. Zgromadzenia te wybierają komitet, zarządzający szkołą, *school Board* albo *school Commitee*, składający się z rozmaitéj ilości członków (od 3—9) tudzież uchwalający wysokość podatku szkolnego na utrzymanie szkoły, zaopatrzenie jéj w książki i pisma naukowe i t. p. Komitet ten wybiera prezydującego, sekretarza i skarbnika i jako organ wykonawczy zarządza szkołą tak pod względem naukowym jak i ekonomicznym, ze środków uchwalonych przez zgromadzenie i pod nadzorem tegoż, stosownie do praw wydanych przez władzę prawodawczą stanu. Podobne organy wytworzyły się w *Union District*, które powstały z połączenia kilku szkolnych okręgów, tam gdzie uważano za pożyteczne takie połączenie, ze względu na szczupłość okręgu szkol-

nego. Organy te stanowią do dnia dzisiejszego kamień węgielny, na którym opiéra się zarząd szkolny w Stanach Zjednoczonych, chociaż w następstwie utworzono i inne władze zawiadujące szkołami.

W połowie bieżącego stulecia (od 1837 r.) zaczęto tworzyć władze szkolne stanowe, mające na celu zaprowadzenie większéj jednostajności w zarządzie szkołami. Zarządy stanowe powstające w centralnych miastach, w siedliskach administracyi stanów, także są rozmaite. W jednym są tak zw. *superintendent* albo *commissioner*, zarządzający szkołami, w innych komisya oświecenia *State Board of Education*, z którą taki superintendent albo dyrektor szkół, dzieli się władzą pod względem szkolnym, w innych jak np. w Stanie Massachusets, jest tylko wykonawcą jéj postanowień przed skromną nazwą sekretarza, *secretary of the board of education*. Wogóle mówiąc, każdy stan na mocy przysługującéj mu władzy prawodawczéj we wszystkich sprawach, nie ulegających władzy kongresu, inaczéj określił organizacyą władzy stanowéj, zawiadującéj oświeceniem publiczném, tudzież jéj prawa. Wogóle zaś można powiedzieć, że na superintendencie, albo innym organie tegoż znaczenia, leżą czworakie obowiązki, mianowicie: zarząd szkolną własnością nieruchomą tudzież środkami pieniężnemi przeznaczonemi na utrzymanie szkół; przygotowanie projektów do praw szkolnych, tudzież wyjaśnianie ich; staranie o przygotowanie nauczycieli, niedopuszczenie do nauczania ludzi niekompetentnych, ułożenie programatów dla ich egzaminowania i w niektórych stanach (w pięciu) wydawanie świadectw na nauczycieli. Ogólny nadzór nad prowadzeniem nauczania w stanie i nad szkołami, nad inspektorami szkół, zbieranie wiadomości statystycznych, tudzież rozpowszechnianie wśród ludności za pomocą sprawozdań lub zjazdów pedagogicznych wiadomości o ulepszeniach, pożądanych lub zmianach potrzebnych w rzeczach nauczania. W większéj części hrabstw są ustanowieni także superintendenci albo komisarze czyli inspektorzy szkół, na których włożono nadzór nad szkołami, nauczycielami tudzież niektóre inne obowiązki, odnoszące się do zarządu szkół. W 25 stanach, inspektorzy ci wybierani są przez samą ludność, w innych mianowani przez różne organy, np. przez gubernatora stanu, przez komisyę szkolną stanową, i t. p. Wybierani bywają lub mianowani na czas od 2—4 lat, poczém mogą być ponownie powołani do pełnienia tych obowiązków. Taki inspektor w hrabstwie pełni podobne obowiązki, co superintendent w stanie. W niektórych stanach południowych są także i w hrabstwach oddzielne szkolne komitety. W miastach istnieją także różne organy zarządzające szkołami jak *City board of Education*, *board of Directors*, *City school council*, których skład i obowiązki każde miasto dla siebie

oddzielnie określiło. Komitety te działają zwykle niezależnie od zarządu miejskiego. W wielu nawet miastach przedsiewzięte zostały środki, żeby uczynić członków ich niezależnymi od wpływów stronnictw politycznych. Tak np. w Bostonie członkowie takiego komitetu wybierani są corocznie w $^1/_3$ części przez ludność całego miasta w jedném zgromadzeniu wyborczém, nie tak, jak innych urzędników wybieralnych w okręgach, wskutek czego wybór ich więcéj zależy od wpływu partyi. W niektórych znów miastach członkowie tych komitetów nie są wybierani przez ludność ale mianowani, np. New-Yorku przez mayora (burmistrza), w Filadelfii przez sędziów, w Baltimore i Buffalo przez radę miejską. Komitety te liczące od 20 — 30 członków dzielą się na komisye wykonawcze, mają swoich inspektorów i innych urzędników.

Patrząc na tą pstrokatą różnorodność władz, zajmujących się zarządem szkół w St. Zjed., na rozmaitość ich praw i obowiązków, p. Kowalewski przychodzi do wniosku, że dotychczas środek ciężkości sprawy oświecenia publicznego leży w miejscowych komitetach, bezpośrednio zarządzających szkołami, tudzież zgromadzeniach obywateli, dostarczających za pomocą podatków środków na ich utrzymanie. Prawa te miejscowych organów nie zostały im nadane przez władzę centralną, ale wypłynęły historycznie z natury saméj rzeczy. Władze pojedynczych stanów dopiéro w ostatnich czasach zaczęły dążyć do zapewnienia sobie wpływu na organy miejscowe, te zaś poddają mu się, bądź z powodu, że są przekonane o dobroczynnych skutkach stąd wypływających, bądź dlatego, że w ten sposób mogą sobie zapewnić pomoc pieniężną z funduszów stanu (str. 42). W każdym razie jakakolwiek byłaby organizacya tych władz, większość ich pochodzi z wyborów, słusznie więc powiedzieć można, że w Stanach Zjednoczonych sam naród rządzi swemi szkołami, jego jest więc zasługą, czy są dobre czy złe, czy odpowiadają lub nie potrzebom uczniów i społeczeństwa.

Na karcie tytułowéj p. Kowalewski zaznaczył do jakich świetnych rezultatów doprowadziły Stany Zjednoczone te władze, którym ze względu na brak harmonii w budowie, byłoby wiele do zarzucenia. Przyjrzyjmy się obecnie bliżéj działalności tych władz, środkom, jakiemi rozporządzały, zakładom naukowym które utrzymywały, zasadom, jakie w nich przeprowadzały, nauczycielom, jacy w nich uczyli.

Od samego prawie początku kolonizacyi Ameryki Północnéj osadnicy dążyli do tego, ażeby zapewnić wszystkim dzieciom obowiązkowe i bezpłatne szkolne wykształcenie t. z. *free school system.* Już w 1621 roku była otwarta pierwsza bezpłatna szkoła elementarna. W 1642 r. w kolonii Mussachusets wydano prawo, na mocy którego rodzice gdyby zaniedbali dać odpowiednie wykształcenie dzieciom, a majstrowie

lub pracodawcy swoim uczniom, podlegali karze do 20 szyl., dzieci zaś takie mogły im być przez mężów zaufania odebrane i powierzone na naukę innym osobom. W 1647 r. w téjże kolonii wydano prawo, na mocy którego wszędzie, gdzie liczba dzieci dochodziła pięćdziesięciu, miała być założona szkoła, któréj nauczyciela mieli opłacać miejscowi mieszkańcy za pomocą podatku szkolnego. Przykład ten powoli naśladowano i w innych koloniach. Początkowo więc, składka szkolna była główném źródłem utrzymania szkoły. Obfitsze źródła otworzyły się dla szkół po ogłoszeniu niepodległości stanów w 1776 r. Wtedy wynikł spór między pojedyńczemi stanami o to, do którego z nich miały należéć niezajęte przestrzenie ziemi, leżące na zachód od rzeki Ohio. Spór ten został załatwiony w ten sposób, iż najprzód Wirginia zrzekła się w 1784 r. obszernych terytoryów spornych na rzecz kongresu związkowego. Za nią poszły i inne stany. Wskutek tego w 1787 r. zapadło prawo, na mocy którego $1/36$ gruntów, przeszłych pod jego zarząd, była przeznaczona na potrzeby szkolne. Rozporządzenie to było wprowadzone w wykonanie w ten sposób, że w miarę posuwania się kolonizacyi na zachód, każda nowotworząca się gmina, *township*, mająca 36 mil kwad. ang. była podzielona na 36 części, z których jedna, zwykle szesnasta, (zawierająca 640 akrów.) przeznaczona była na utrzymanie szkoły. W 1848 r. szkolne uposażenie ziemiami w nowo powstających stanach było podwojone tak, że odtąd 16 i 36-ta część przechodziły na rzecz szkół. Późniéj jeszcze niejednokrotnie kongres powiększał to uposażenie w starych stanach, które nie mogły korzystać z przywilejów, zapewnionych powyższemi prawami. Toż samo robiły i oddzielne stany z ziemiami, znajdującemi się w ich dyspozycyi. W ten sposób w ciągu stu lat Stany Zjednoczone oddały na rzecz oświecenia publicznego około 150,000,000 akrów ziemi, to jest przestrzeń równającą się Francyi, Belgii i Szwajcaryi razem wziętym. Stany ziemię tę sprzedawały i fundusz stąd osiągnięty obracały bądź na budowę szkół, bądź na utworzenie stałego funduszu szkolnego, z którego procent obracały na utrzymanie szkół. W każdym razie i obecnie niektóre stany posiadają niezmierne przestrzenie ziemi na ten cel przeznaczonéj. Tak np. Texas ma 24,000,000 akrów, Dakota 3,000,000, Nebraska 2,500,000 i t. p. Pomimo tak szczodrego uposażenia szkół, utrzymano wszędzie podatek szkolny. Za to opłatę za uczęszczanie do szkoły, *rate-bill*, wstrętną amerykanom, jako sprzeciwiająca się zasadzie równości obywatelskiéj, wszędzie zniesiono. W niektórych tylko stanach utrzymano ją względem dzieci, których rodzice nie miały stałego miejsca zamieszkania w okręgu szkolnym, w którym one chodziły do szkoły. Jeżeli dodamy do tego różne przypadkowe dochody np.: z darowizn,

z niektórych kar, zasiłku stanów i t. p., otrzymamy sumę 147,915,282 dol. na utrzymanie t. z. *common schools.* Dodając do tego jeszcze 15—18 milionów dolarów na wyższe zakłady naukowe, 12 milionów dolarów na zakłady dla głuchoniemych, ociemniałych, poprawcze i t. p. i 28 mil. dol. na szkoły prywatne, otrzymamy sumę od 205—210 milionów dol. którą Stany Zjedn. wydają na wykształcenie swojego młodszego pokolenia, przewyższającą nawet sumę, podaną na kartce tytułowéj dzieła p. Kowalewskiego. Nie dziw, że rozporządzając takiemi środkami władze szkolne mogły zabezpieczyć wszystkim uczniom nie tylko bezpłatne uczęszczanie do szkoły, ale nawet opatrzenie ich w książki i inne pomoce naukowe, których powiększéj części zarząd szkolny dostarcza im darmo.

W 1870 r. było 116,312 budynków szkolnych wartości 130,383,000 dolarów, a w 1891/2 r. liczba budynków szkolnych doszła do 229,118 wartości 382,457,000 dol. Stąd widzimy, iż liczba budynków szkolnych w tym okresie czasu podwoiła się a wartość ich potroiła, gdy ludność w tymże okresie nie powiększyła się w tymże stosunku. W 1870 roku było 38,558,000, a w 1890 r. 62,622,000. Szkoły publiczne zakładane przez wyżéj wymienione rozmaite organy samorządu, dzieliły się wogóle na *graded* i *ungraded schools.* Pierwsze można by nazwać regularnemi, drugie nieregularnemi. Regularne dzielą się na klasy i mają kilku nauczycieli; nieregularne, zdarzające się jeszcze wyjątkowo w zakątkach dalekiego zachodu, mają jednego tylko nauczyciela, i wogóle nie są podzielone na klasy. Regularne inaczéj zwane *common schools*, szkoły ogólne, pospolite, wogóle obliczone są tak, aby obejmowały kurs nauk rozłożony na 12 lat, od 6 — 18 roku życia uczniów. Szkoły te dzielą się wogóle na *primary schools*, szkoły elementarne, dla dzieci mniéj więcéj od 6 — 10 roku, *grammarschools*, szkoły średnie, dla dzieci od 10—14 roku, i *high schools* szkoły wyższe, chociaż w Ameryce uważają, że dzieci uczęszczające do szkół *primary* i *grammar* otrzymują tylko wykształcenie elementarne. Wogóle do szkół publicznych i prywatnych, niższych i wyższych razem z uniwersytetami, uczęszczało 15,000,000 uczniów, co stanowi 23% ludności. Z téj liczby 14,165,182 czyli 96,27% przechodziło kurs elementarnéj nauki, czyli *primary* i *grammar schools*, w zakresie ośmiu pierwszych lat nauki. Średnie wykształcanie w *high schools* otrzymowało 402,089 uczniów lub uczennic czyli 2,78%, a wyższe w uniwersytetach lub zakładach naukowych specyalnych 147,662 młodzieży obojéj płci czyli 1%. W szkołach publicznych uczy się 91,54% młodzieży, a w szkołach prywatnych 8,46%. Co się tyczy stosunku między chłopcami i dziewczętami w zakładach naukowych, można zauważyć, że wogóle obiedwie

płcie prawie równomiernie uczestniczą. W szkołach ogólnych chłopców jest 50,47%, co pochodzi stąd, że dziewczęta nieco późniéj zaczynają uczęszczać do szkoły. W średnich zakładach naukowych, *high schools*, widać przewagę dziewcząt nad chłopcami, jest bowiem 59,4% pierwszych na 40,6% drugich. Przeciwnie w szkołach prywatnych tegoż samego stopnia 55 chłopców przypada na 45 dziewcząt. Pochodzi to stąd, że w szkołach publicznych większość chłopców nie idzie do *high school*, zwracając się bezpośrednio po ukończeniu *grammar school* do zajęć praktycznych, albo udając się do jakiegoś profesyonalnego zakładu naukowego. Przewaga chłopców w zakładach naukowych prywatnych, istniejących często przy uniwersytetach i kolegiach wynika stąd, że zakłady te przygotowują do uniwersytetów lub innych wyższych szkół technicznych, w których więcéj jest uczniów, aniżeli uczennic. Pierwszych było 67,8%, drugich dotychczas 32,2%.

Jedną z zasad szkolnictwa amerykańskiego jest wspólna nauka chłopców i dziewcząt w tych samych zakładach naukowych, przeprowadzona od szkoły elementarnéj przez szkoły wszystkich stopni, nie wyłączając nawet uniwersytetów. Dla europejczyka, przywykłego do innych stosunków, zasada ta wydaje się dziwną, chociaż w części, zdaniem naszem, niesłusznie, bo przecież i w Europie wspólna nauka istnieje w szkołach elementarnych, nie przedstawiając żadnych niedogodności. Amerykanie w obronie téj zasady przytaczają najprzód względy ekonomiczne, większą łatwość urządzenia jednéj dobréj szkoły w mniéj zamożnych okręgach szkolnych dla chłopców i dziewcząt razem, aniżeli dwóch, oddzielnie dla każdéj płci, które z musu musiałyby poprzestać na gorszych nauczycielach lub na mniejszéj ich ilości. Zasada ta jednak nie przeszkadza, że w wielu miejscach istnieją oddzielne szkoły dla każdéj płci. Amerykanie twierdzą nadto, że co w dalszém życiu winno być połączone, nie może być rozłączone w szkole, która powinna być przygotowaniem do życia. *The unity of the family requires identity of education for man and women.* Wykazują też oni pomyślny wpływ, jaki wspólna nauka wywiera na dzieci pod względem moralnym, łagodząc obyczaje chłopców, a pozbawiając chorobliwéj nieraz sentymentalności dziewczęta. Wreszcie i pod względem czysto umysłowym, naukowym, zasada ta nie jest bez korzyści, pobudzając do wzajemnéj emulacyi chłopców i dziewczęta.

Zresztą, ponieważ i tu mogą się zdarzyć wypadki, przemawiające przeciwko powyższéj zasadzie, które, nawiasem mówiąc, zdarzają się i tam, gdzie przyjęty jest systemat oddzielnych zakładów naukowych dla każdéj płci, i w Ameryce téż przedsięwzięto pewne środki ostrożności. Do nich należy w każdéj lepiéj uposażonéj szkole urządzenie od-

dzielnych wejść dla chłopców i dziewcząt, oddzielnych sal rekreacyjnych, oddzielnych placów do zabawy (*play-ground*), zaprowadzenie nadzoru odpowiedniego w klasie, zaopatrzenie klas w odpowiednie ławki, dla każdego ucznia osobnéj i t. p. Uczniowie i uczennice pozostają w klasie razem w czasie nauki, ale nie dłużéj.

Niepodobna tu wdawać się w bliższe rozpatrzenie programatów wykładu nauk w tych zakładach, chociaż przedmiot ten byłby w najwyższym stopniu interesujący. W szkołach tych istnieje niezmierna różnorodność wykładów, zależnie od środków pieniężnych szkoły, od tego, że w miarę potrzeby uczniów mogą być zaprowadzone nowe przedmioty, usuwane inne, że uczniowie nawet mogą być uwolnieni od uczenia się niektórych przedmiotów i t. p. Wogóle pod tym względem szkoła, zdaniem Amerykanów, istniejąca z publicznych środków, winna mieć na oku przedewszystkiém interesy młodzieży, która w niéj się kształci. Winna ona mieć na widoku nie tylko dobro większości uczniów, ale każdego z nich zosobna, *for the welfare of an individual pupil* (str. 222). Dopiéro w ostatnich czasach tak nazwana komisya dziesięciu, po przeprowadzoném szczegółowem badania i zasięgnięciu opinii najkompetentniejszych ludzi, ułożyła cztery normalne programaty nauk, które poleciła do stosowania w średnich zakładach naukowych, *high schools*. Programaty te jednak nie są obowiązkowemi dla żadnéj szkoły, która może je stosować, jeżeli je uzna za odpowiednie pod względem pedagogicznym, tudzież za możliwe do przeprowadzenia ze względów finansowych. Podług tych programatów, w każdéj szkole średniéj wykłady winny być tak kombinowane, ażeby uczniowie mogli ukończyć jeden lub drugi wydział, w miarę swego uzdolnienia lub potrzeb. Stosownie do tego mamy wydział języków klasycznych z dwoma językami starożytnemi i jednym nowym. Na wydziale tym grecki zaczyna się dopiéro w trzecim roku wykładów, to jest mniéj więcéj w 17-ym roku życia uczniów. Drugi wydział jest realny, z dwoma językami obcemi, to jest łacińskim i jednym z nowych stosownie do wyboru ucznia. Trzeci wydział języków nowych, na którym podstawą jest wykład dwóch nowych języków, a czwarty wydział jest języka ojczystego, z jednym językiem obcym, nowym lub starożytnym. Uczniowie więc lub ich rodzice mają w czém wybierać. Programat ten jest tak obliczony, żeby wykłady odbywały się tylko po cztery godzin dziennie, przez pięć dni w tygodniu, gdyż w sobotę, według przyjętego w Ameryce zwyczaju, lekcyi w szkołach nie ma. Szkoła, według zapatrywań amerykańskich, nie może być miejscem dla propagandy religijnéj i winna się odznaczać najwyższą tolerancyą. Dlatego nie ma tu wcale wykładu religii; są one, jak mówią w Europie, bezwyznaniowe.

Rodzice winni się starać o dostarczenie wykształcenia religijnego swoim dzieciom w domu, i na to przeznaczona jest sobota. Że prawdziwa religijność nic na tém nie traci, widać stąd, że wogóle religijność jest w wyższym stopniu rozwinięta w Stanach Zjedn., aniżeli w Europie. Dowodem tego może być i to, że tam, wyznawcy każdego kościoła dostarczają środków pieniężnych na jego utrzymanie, gdy tymczasem w Europie kościoły różnych wyznań zawsze oglądają się na pomoc pieniężną państwa, niektóre zaś bez téj pomocy nie mogłyby istnieć.»

Jedna z właściwości amerykańskich *common schools*, różniąca je wielce od odpowiednich im zakładów naukowych w Europie, szkół elementarnych i gimnazyów, polega na tém, że pierwsze pozostają z sobą w organicznym związku, gdy między ostatniemi związku takiego nie ma. Związek ten widać w tém, że uczeń, który ukończył *primary school*, może przejść bez specyalnego przygotowania do *grammar school*, stamtąd do *high school*, a w końcu do uniwersytetu. Nauczanie jest tak urządzone że z jednéj strony stanowi zaokrągloną całość, a z drugiéj przygotowanie do wyższego zakładu naukowego. Między szkołami początkowemi w Europie i gimnazyami związek taki nie istnieje. Różnica ta wypływa stąd, że w Stanach Zjedn. do szkół, nawet początkowych, uczęszczają dzieci różnych klas społecznych, niższych i wyższych. Dla wszystkich jednak musi być wskutek równości demokratycznéj, otwarty dostęp do wyższych zakładów naukowych. W Europie przeciwnie, przepaść, istniejąca między wyższemi i niższémi klasami społecznemi, odbija się na szkole. Dzieci niższych warstw w wyjątkowych tylko wypadkach mogą się przedostać do wyższych zakładów naukowych. Wogóle pedagodzy amerykańscy utrzymują, że ideałem szkoły nie jest tylko nabycie wiadomości, ale wykształcenie charakteru, zrobienie samodzielnego człowieka z dziecka. Szkoła winna zdaniem ich starać się o trzy H, to jest wykształcenie umysłu (*head*), serca (*heart*) i ręki (*hand*).

Wszystkich uczących w *Common schools* amerykańskich było w 1892 r. 374,460, jedném słowem cała armia w walce z ciemnotą. Z téj liczby było 121,638 nauczycieli i 252,822 nauczycielek. Nauczycielki mają stanowczą przewagę liczebną nad nauczycielami, stanowią bowiem 67,5% całego składu nauczającego. W szkołach elementarnych i ogródkach dziecinnych panują one wyłącznie, a w średnich i wyższych szkołach zdobywają sobie coraz większą przewagę. Przed 20 laty procent nauczycielek był tylko 59, w 1890 r. doszedł do 65%. Największy procent nauczycielek był w północno-wschodnich stanach; w których dochodził do 80%, najmniejszy w południowych, dawnych niewolniczych, gdzie stanowił tylko 40%. Kandydaci i kandydatki do

stanu nauczycielskiego winni mieć przepisane świadectwo, udawadniające ich uzdolnienie, którego mogą nabyć w odpowiednio urządzonych szkołach normalnych. Zresztą dla podtrzymania w nich pedagogicznego uzdolnienia, obowiązani są nawet będąc nauczycielami, uczęszczać latem przez pewien przeciąg czasu t. z. *teachers institutes*, w których obznajmiani są z najlepszemi metodami nauczania, słuchają kursów przedmiotów, których uczą, komunikują sobie wzajemnie uwagi, czerpane z własnego doświadczenia i t. p. Nauczyciele i nauczycielki pełnią swoje obowiązki na mocy kontraktów czasowych, zawieranych z władzą szkolną, na rok, dwa lub dłużéj. Wogóle jednak powiedzieć można, że uczący nie uważają swego zawodu za stały, któremu poświęciliby całe życie, ale tylko za czasowe zajęcie. Powiększéj części nauczyciele rzucają szkołę, kiedy znajdą zyskowniejsze zajęcie, o co w Ameryce nie trudno, młode zaś dziewczęta opuszczają zawód nauczycielki, wychodząc za mąż. Owszem, wyjście za mąż uważane jest za zrzeczenie się miejsca nauczycielki. Wskutek tego ciągła jest fluktuacya w personelu nauczycielskim, tém bardziéj, że pensye nauczycieli nie są zbyt wysokie. W wiejskich szkołach elementarnych nauczyciele nieraz zmuszeni są pełnić obowiązki za 35—40 dol. na miesiąc, a nauczycielki muszą się zadawalniać jeszcze mniejszém wynagrodzeniem od 16—20 dol. miesięcznie. Ma się rozumieć, że w kraju takim jak Stany Zjednoczone, gdzie zdolny rzemieślnik z łatwością może zarobić 1 $^1/_2$ do 2 dol. dziennie, wynagrodzenie nauczyciela nie jest w stanie przywiązać go do miejsca. W każdym razie sprawiedliwość każe wspomnieć, że w zamożniejszych szkołach nauczyciele biorą od 50 — 70 a nawet 120 dol. miesięcznie, nauczycielki zaś od 40 — 50 dol. Wskutek tych okoliczności, w północno-wschodnich stanach $^1/_5$ część personelu nauczycielskiego zmienia się corocznie. Średnio można liczyć, że nauczyciele poświęcają się swemu zawodowi przez 6 lat 9$^1/_2$ miesięcy, nauczycielki zaś tylko przez 5 lat. Nie ulega wątpliwości, że okoliczność ta ma pewne złe strony, polegające na tém przedewszystkiém, że nauczyciele i nauczycielki nie mają dostatecznego doświadczenia pedagogicznego, co nie może odbić się korzystnie na samém nauczaniu. Niedogodność ta jednak w znacznéj części jest wynagradzaną przez to, iż nauczaniu poświęcają cię ludzie młodzi, pełni zapału, którzy nie doznali jeszcze wiele zawodów w życiu, i wskutek tego są w stanie przyłożyć więcéj usiłowań do przelania swych wiadomości uczniom, aniżeli nauczyciele fachowi, którzy po kilkudziesięciu latach praktyki, wskutek doznanych zawodów, zgorzkli i zniechęcili się do życia. Należy się zwrócić uwagę i na to, że zawodowi nauczycielskiemu w szkołach publicznych poświęca się wiele panien z wyższych i średnich klas spo-

łecznych, nie dla zarobku, którego nie potrzebują, ale popychane do tego bezinteresowném pragnieniem jakiéjś szerszéj działalności. A czy nie grozi złemi następstwami ta stanowcza przewaga w *common schools* nauczycielek nad nauczycielami, którzy prawdopodobnie czasem prawie zupełnie usuną się ze szkoły? Zdaniem mojém, nie należałoby się tego obawiać! Pod względem naukowym nie przeraża nas widok nauczycielki uczącéj w szkole matematyki a nawet greckiego. Zdaje nam się, że na niesfornych często chłopców, 14 lub 15-letnich, daleko lepszy wpływ może w szkole wywrzéć jakaś młoda miss, należąca często do najwyższych klas społecznych, nawet wytwornie ubrana i z dystyngowanemi manierami, aniżeli jakiś zgryźliwy pedagog, z niechęcią tylko przychodzący do szkoły. A zresztą któż może zaprzeczyć prawdzie, wyrzeczonéj nie tylko przez Froebla (str. 457) ale przez wielu innych pedagogów, że przyszłość narodów leży w ręku kobiet. Nie kobiet próżnych, myślących tylko o strojach, lekkomyślnych, ale kobiet patrzących seryo na życie i obowiązki żony i matki a takich w Ameryce nie zbraknie. Zdaje się nam, że zajęcie nauczaniem dzieci w szkole poważnie, obowiązkowo przez kilka godzin dziennie, byłoby dla tego przyszłego powołania kobiéty najlepszém przygotowaniem, że tym sposobem kobiéta byłaby lepiéj uzbrojona do walki życia i spełnienia swego zadania z pożytkiem dla społeczeństwa.

Wyższe wykształcenie w Stanach Zjednoczonych otrzymywać można w kolegiach i uniwersytetach, których w 1892 r. było 415 z ogólną liczbą słuchaczy 118,581. W téj liczbie było 86,066 mężczyzn i 25,489 kobiet. Płeć 7,026 słuchaczów w sprawozdaniach statystycznych nie była oznaczona. Zakłady te powstały wogóle pod wpływem urządzeń angielskich, zwłaszcza uniwersytetów Oksfordzkiego i Kembrydzkiego. I one także rozwijają się w szybkim tempie, iście po amerykańsku. Niepodobna nam jednak z braku miejsca wdawać się w bliższe rozpatrzenie szczegółów ich urządzenia.

Z tego samego powodu zmuszeni jesteśmy pominąć milczeniem i inne części dzieła p. Kowalewskiego, którego każda kartka zdolna obudzić najżywszy interes i zmusić do najgłębszego zastanowienia się. Czyż naprzykład nie jest w najwyższym stopniu interesującą agitacya podjęta przez panią Hunt w 1879 r., w celu wprowadzenia do wykładów szkolnych nauki o zgubnych skutkach, wywieranych na organizm człowieka przez napoje alkoholiczne i inne narkotyki. A jednak wskutek téj agitacyi prawo z 1886 r. poleciło wprowadzić tę naukę we wszystkich szkołach, zależnych od rządu centralnego. Obecnie zaś już w 38 stanach wydano podobne prawa względem szkół, od nich zależnych. Nie mniéj interesującemi byłyby rozdziały poświęcone wykształceniu

fizycznemu młodzieży, szkołom profesyonalnym, instytutom głuchoniemych i ociemniałych, albo rozdział zawierający w sobie sąd profesora amerykańskiego o szkołach rosyjskich, który p. Kowalewski pomieścił w rodzaju epilogu swego dzieła. Niemniéj interesujące są rozdziały poświęcone opisowi działu pedagogicznego na wystawie kolumbijskiéj w Chicago. Dla każdego człowieka byłoby ciekawém usłyszéć za pomocą fonografu całą lekcyę z wykładem nauczyciela i odpowiedziami uczniów, dającą dotykalne pojęcie o tém, jak w szkołach amerykańskich prowadzona jest nauka, a taki fonograf znajdował się na wystawie. A wycieczki dziatwy szkolnéj, urządzane przez osoby prywatne, na wystawę, któréj jeden przykład poniżéj przytaczamy? Redaktor dziennika *Examiner* w San Francisco, Mr. O'Black, chcąc pokazać dzieciom Stanu Kalifornii cuda wystawy chicagowskiéj, postanowił wysłać na nią po jednym uczniu z każdego hrabstwa. W tym celu był ogłoszony konkurs między uczniami *grammar schools* i 21 zwycięzców, w téj liczbie 13 dziewcząt i 8 chłopców, pod dozorem p. O'Blacka i specyalnego lekarza, pojechało na wystawę do Chicago, która trwała trzy tygodnie i kosztowała go 10,000 dolarów. A przykład ten nie był odosobnioném zjawiskiem. Chcących poznać te rzeczy bliżéj, odsyłamy jednak do samego dzieła.

Po przeczytaniu książki p. Kowalewskiego, mimowoli przychodzą na myśl słowa Wincentego Pola w pieśni o ziemi:

„Kraj tam inny, lud odmienny.“

Rzeczywiście lud odmienny, bo w pełni energii, w świadomości swoich celów, wié, że oświata jest potęgą i dla tego stara się usilnie o dostarczenie jéj wszystkim swoim dzieciom. Siew ten przyniesie mu z czasem obfity plon, jakiego wątpię, czy mogą się spodziewać narody Europy.

A. Okolski.



NOWY PRZEKŁAD

Boskiéj Komedyi Dantego.

Pieśń XXIV.

W owéj-to porze młodzieńczego roku
Gdy Słońce włosy na Wodniku stroi [1]),
A noc, by dniowi zrównać, wzdłuża kroku;
Gdy szron po polach śnieżnéj siostry swojéj
Obraz barwami białemi wymości,
Który się jednak długo nie ostoi;
Kmiotek, któremu już głód w chacie gości,
Wstaje i wyjrzéć idzie, jak na dworze,
A tam ci niwa calutka w białości.
Tedy po bokach bije się nieboże,
Do izby wraca i z żalu się słania;
Lecz się zaśmieje i otuchą wzmoże,
Widząc zmieniony świat do niepoznania
Za małą chwilę; kostur bierze krzywy
I na pastwisko chudobę wygania.
Tak się zaląkłem, kiedym frasobliwéj
Na czole Mistrza mego dostrzegł chmury;
Lecz on wnet przylał na ranę oliwy,
Bo ledwie wstąpił na zwalone mury,
Ku mnie się zwrócił w tak słodkiéj postawie,
Jak tam raz pierwszy u podnóża góry.

Potém po krótkiéj sam z sobą rozprawie
Otwarł ramiona, chwycił mię w pół ciała,
Spojrzawszy wprzódy po ruin dzierżawie.
A jako człowiek, co waży i działa,
Lecz chce, by czyn miał bezpieczeństwa znamię,
Tak on stawiąc mię, gdzie grań wysterczała,
Już ukazywał drugą; — Na tym złamie —
Mówił, — oprzéj się i dobrze obramień,
A przedtém spróbuj, czy się nie załamie.
Nie chodzić tędy za zbrodnię omamień
W ołów zakutym [2]), gdy on niewcielony,
Ja podpierany, z kamienia na kamień
Ledwo stąpamy; i gdyby z téj strony
Stok nie był wiele niższy niż z poprzedniéj,
To niewiem, czy on, — ja padłbym zemdlony.
Lecz że Złe-Doły ku studni ośredniéj
Całe się chylą, zatém ściany jarów
Są ułożone w sposób odpowiedni:
Jedna się wznosi, druga zniża w parów.
Jużeśmy doszli tam, gdzie w ruin strzępie
Sterczał ostatni kamień u wiszarów.
Kiedy stawałem na granitów kępie,
Płuca mi wyschły, krok niosłem ołowi
I zaraz usieść musiałem na wstępie.
— Teraz się z lichéj gnuśności rospowij!
Mistrz do mnie rzecze; — bowiem pod pierzyną
I w puchach łoża sławy się nie łowi.
A komu bez niéj dni na ziemi płyną,
Po takim ślad się padolny rozpyli
Dymem na wietrze i wód szumowiną.
Więc wstań i niemoc niechaj w tobie zmyli
Duch, co zwycięską jest w każdéj rozprawie,
Chyba go brzemię ciała ubezsili.
Na wyższych schodach ja ciebie postawię,
Niedość, że ciemne rzucimy katownie;
Wyczerp naukę z tego, co ci prawię. —
Wstałem, udając sobą, że cudownie
W członki me siła wstąpiła ognistsza;
— Pójdź — rzekłem — krzepki jestem niewymownie. —

Po skalnym łęku ruszyłem w ślad Mistrza;
Perć była wąska i pełna obrazy
I jeszcze niźli poprzednie spadzistsza.
Idąc gwarzyłem, by w odwadze skazy
Nie zdradzić; nagle-m dosłyszał pomruku,
Co w niewiązane składał się wyrazy.
Niewiem, kto mówił, choć stałem na łuku,
Co nowéj fosy stanowił granicę,
Lecz głos był pełen gniewliwego fuku.
Spojrzałem na dół; żyjące źrenice
Dna dla ciemności nie mogły zgruntować,
Więc rzekłem: — Mistrzu, by zejść w tę ulicę,
Do rogu ściany okólnéj mię prowadź,
Bo jak słuchając nie słyszę, tak łowię
Wzrokiem, a kształtów nie mogę zmiarkować.
— Czynem—Mistrz odparł—odpowiedź wysłowię,
Bo zacna prośba wysłuchania warta;
Niemy czyn na nią najsnadniéj odpowie.
Zeszliśmy zatém, aż gdzie przełęcz zdarta
Na ósméj ściany oparła się zrębie;
Przedemną otchłań zionęła otwarta,
Gdzie obaczyłem w przeokropnym kłębie
Węże przeróżnych kształtów i natury;
Myśląc, dziś jeszcze krew mą w żyłach ziębię.
Niech się nie chełpią libijskie piachury,
Że płodzą bestye niezwykłe i gady,
Hydry, padalce, niedźwiadki, jaszczury;
Takich złośliwych, z tak różnymi jady
Etyopijskie nie znają obszary,
Ani czerwono-morskie ich sąsiady.
Między zwojami wstrętnych gadów chmary
Tam i sam biegał nagi, zastrachany
Tłum spragnion skałki-niewidka [3]) lub szpary.
Na rękach w tyle z żmij nosił kajdany:
Z za biódr wytknęły głowy i ogony,
Z przodu się plotły w węzeł zadzierzgany.
Owoż w jednego, co stał z naszéj strony
Nagle wpił się wąż i kłem go uszczypał
Tam, kędy szyja wiąże się z ramiony.

Pewnie mniéj szybko z łuku padnie wypał,
Niż ten zapłonął, zgorzał i z pożogi
Prochem się marnym po ziemi rozsypał.
A kiedy leżał taki proch ubogi,
Nagle się zgarnie, pospaja, podniesie
I w dawnym kształcie powstaje na nogi.
Podobnie, jak głos mędrców sławnych niesie,
Feniks umiéra i wstaje w popiele
Na pięć-wiekowym życia swego kresie.
Nie wykarmia go ziarno, ani ziele;
Krople amonu i bursztynu jada,
Z nardu i mirry stos ostatni ściele.
A jako człowiek, co na ziemię pada
Czy w opętaniu, gdy w nim czart się rzuca,
Czy przez humorów sok, co w nim się zsiada;
To potém, gdy się z omdlenia ocuca,
Błędnie wzrok toczy, męką obłąkany,
Ciężkim oddechem pracują mu płuca:
Podobnie grzesznik ów, z pyłu zebrany.
O, Sądzie boży, jakżeś jest surowy,
Gdy za grzech wtrącasz w tak okropne stany!
— Ktoś ty? — Wódz pytał. Skwapliwemi słowy
Odrzekł: — Z Toskany jestem; dni to świeże,
Jako popadłem w okropne parowy.
Tam nie jak człowiek żyłem, ale zwierzę;
Rówien mułowi; jam jest Vanno Fucci [4]),
Bydlę; Pistoja godne moje leże.
— Każ mu, powiadam—niech wyznać nie zwłóczy
Za co tu wtrącon, gdyż między ziemiany
Wiem, był człek wściekły, co się gniewem tuczy.
Usłyszał, żal mi zjawił nieudany,
Oblicze na mnie podniósł, gdzie sromota
Smutna w barwie się wybiła rumianéj.
— Zaiste bardziéj ból się we mnie miota,
Że w nędzy tego widzisz mię momentu,
Niż tam na ziemi w odjęciu żywota.
Skoro mię pytasz, wyznam aż do szczętu,
Skąd duch mój głębiéj, niźliś czekał, leży:
Jam był złodziejem kościelnego sprzętu [5])

I delatorem fałszywym grabieży;
Lecz byś się z mego nie chełpił widzenia,
Gdy z tego lochu na blask wyjdziesz świeży,
Pierwéj mojego słuchaj objawienia:
Naprzód Pistoja Czarnych się pozbywa [6]),
Potém Florencya rząd i ludność zmienia.
Mars z Val di Magra wielki tuman zrywa,
A wtém go chmura niezmierna obwinie,
Zaczém się burza podnosi straszliwa
I bój się stacza w Piceńskiéj dolinie.
Tuman przebija chmurę w swym rozpędzie
I wszelki Biały w zawierusze ginie.
To mówię, bo wiem, że cię boléć będzie!

Przypiski do pieśni XXIV.

[1]) Gdy Słońce włosy na Wodniku stroi, t. j. w miesiącu lutym.

[2]) W ołów zakutym, t. j. duchom obłudników z poprzedniéj pieśni.

[3]) Skałki-niewidka: kamyk zielony czerwono plamisty zwany helitropią miał posiadać własność czarodziejską ukrywania, osoby noszącéj go, przed ludzkim wzrokiem.

[4]) Vanni Fucci, bastard szlachcica z Pistoi, Fuccia de'Lazzari; dlatego nazwany mułem.

[5]) Kradzież w zakrystyi kościoła św. Jakóba w Pistoi Fucci popełnił z dwoma towarzyszami w 1293 r. Niewinnie oskarżony Rampino di Ranuccio został wypuszczony na wolność, złoczyńcy zaś skazani na karę pala, potém rozszarpani końmi.

[6]) Biali pistojscy i florenccy w 1301 r. wypędzili Czarnych; ci zagarnąwszy rządy we Florencyi, w połączeniu z Lukką, pod dowództwem Malaspiny z Val di Magra wyruszyli przeciw Pistoi, oblegli Seravalle i zdobyli po bitwie stoczonéj na polach piceńskich; klęska ta była ruiną Białych, więc musiała być dla Dantego bolesną.

Pieśń XXV.

Tak powiedziawszy, rabuś pięści obie
W dwie figi [1]) złożył i w butnéj zajusze
Krzyknął:—Hej Boże, weź to, daję tobie!
Odtąd być wężom przyjacielem muszę:
Jeden nań wpełznął, krtani sięgał pyskiem,
Jakby mu groził: Milcz, bo cię uduszę!...

Drugi ramiona ciałem oplótł śliskiem
A łeb z ogonem w kluczkę wiążąc z przodu,
Unieruchomił je swoim uściskiem.
Ejże Pistoja! czemu twego grodu
Nie przeklniesz w popiół rozpaść się na szczęty,
Gdyś gorsza, niźli szczep twojego rodu? [2])
Równie bezbożnéj między piekieł skręty
Nie znałem pychy, bo nawet u ducha,
Co był z tebańskich murów gromem zdjęty [3]).
Zbluźnił i umknął z wężem miast łańcucha;
Wtém przypadł Centaur, z wściekłości się pieni
Wołając: — Gdzie jest, gdzie jest?... Daj tu zucha!
W Maremmie tyle gadów się nie pleni,
Ile ich lazło po grzbiecie poczwary
I tam, kędy się zwierz w człowieka mieni.
Pod potylicą, wczepiwszy się w bary
Siedział smok; skrzydeł nastroszył się błoną,
Na przechodzących rzygał krwawe pary.
— Rzekł Mistrz: — To Kakus, co granitów łono [4]),
Pod Apeninów drążone posadą,
Niejednokrotnie krwią zbluzgał czerwoną.
Nie chadza razem z Centaurów gromadą:
On to podstępem Herkulesa pożył,
Gdy z bliskich pastwisk ukradł wielkie stado.
Ale się dowcip jego wnet ułożył
Od strasznych razów maczugi olbrzyma:
Sto ich wziął, ale dziesięci nie dożył.
Wtém Centaur przebiegł i znikł przed oczyma,
A trójca duchów szła dołem. W rozmowy
Toku nie widzim jéj, aż się zatrzyma
I patrząc na nas, zawoła: — A kto wy?..
Więc tu się nasza gawęda urywa,
Ku nim uważne obracamy głowy.
Jam ich nie poznał, ale jak to bywa
I jak się właśnie zdarzyło w téj porze,
Jeden drugiego po nazwisku wzywa.
Wołając: — Cianfo! [5]) Gdzieżeś to, nieboże?...
Ja żeby ostrzedz, że tu coś się święci,
Palec w poprzek ust i brody położę.

Gdybyś, słuchaczu, wierzyć niemiał chęci,
Wcale-bym tobie nie dziwił się, skoro
Ja dziś sam własnéj nie wierzę pamięci.
Poglądam po nich, gdy za jedną zmorą
Wąż sześcionożny bieży, raptem skoczył
I wpił w skazańca swoich nóg sześcioro.
Dwiema średniemi tułów mu otoczył,
Ramiona ujął w przednie nogi obie,
Kłami policzki uszczypał i zbroczył.
Tylne po udach ściągnął i w téj dobie
Chwost między nogi opuściwszy dołem,
Prężył go z tyłu po krzyżowym żłobie.
Nigdy tak powój nie okręża kołem
Pnia, jak ci obaj ciałmi się zczepili,
Wszystkimi członki powiązani społem.
Potém się jako ciepły wosk stopili,
Zmieszali barwy i jestestw znamiona,
Ani pozostał ślad, czém wprzódy byli.
Jako więc w ogniu karta przypalona,
Na któréj barwy tracą czystość swoję:
Czarność nie doszła, a białość już kona.
A duchy patrząc na dziwne przestroje:
— Agnelu, jaki to kształt bierzesz nowy,
Że już nie jesteś ni jeden ni dwoje?
W téj chwili obie stopiły się głowy
I ukazało się oblicze, zlane
W jedno, z istoty śladem dwulicowéj.
Dwie pary ramion na jedno zebrane,
Nogi i uda, tułowy i brzuchy
Stworzyły kształty nigdy niewidziane.
Pierwotną postać pokruszyły duchy;
Stwora się zdała ni to czém — a niczém
I powlekła się powolnymi ruchy...
Jako jaszczurka pod słonecznym biczem
Z krzaku do krzaku w dzień kanikularny
Przemyka niby mgnieniem błyskawiczem,
Tak do dwu drugich potępieńcow [6]) marnéj
Postaci żmijka przypadła gniewliwa,
Żółta, czarnémi centkowana ziarny.

W miejsce, skąd pierwszy pokarm nam przybywa,
Skoczył gad i kłem cios duchowi zadał,
Potém padł przed nim, niby rzecz nieżywa.
Ranny stał prosto, patrzał, nic nie gadał,
Tylko w przeciągłe zapadł poziewanie,
Jakby był w febrze, lub go sen napadał.
Żmija na niego, on poglądał na nią:
Ona paszczęką, a on kurzył raną
I łączyło się owo parowanie...
Niech teraz Lukan [7]) zamilknie z odmianą
Swego Nassyda, albo Sabellona,
Niech tu rzecz zważa bardziéj niesłychaną.
Niech Aretuza i Kadmus Nazona [8]),
Ten zmienion w węża, a tamta w krynicę,
Zbledną; dziw u mnie większy się dokona.
Bo nigdy on tak dwu natur granice
Niezniósł, by z formą w dwoistéj osobie
Razem materyą obrócić na nice.
Oto w jakim się złożyli sposobie:
Ogon się w dwoje rozczepił u gadu;
Gdy zaś zranieniec skupił nogi obie,
Uda i lędźwie ze ścisłego składu
Tak się spoiły i tak w siebie wsiąkły,
Że ze spojenia nie zostało śladu.
W nogi się zmieniał gadu chwost rozpękły,
Kształt nóg zaś ginął; skóry, co je kryły,
Tutaj twardniały, a tam zasię miękły.
Ramiona coraz w pachy zachodziły
A łapy węża ściągane ku dołu
Tam ubywały, a tu się dłużyły...
Gdy nową barwę na obu wypieka
Dym, razem szerć im zmienia w tymże czasie:
Jednemu zdziera, drugiego obleka.
Więc jeden padał, drugi wstawał zasię,
Lecz wciąż wlepiali w siebie niecne oczy;
Pod ich spojrzeniem w twarzach zmiana gra się:
Ten, co stał teraz, pysk we skronie wtłoczy,
A zaś z nadmiaru materyi wchłoniętéj
W policzkach para uszu mu wyskoczy.

Z reszty zaś paszczy na tył nieściągniętéj,
Jak twarzy ludzkiéj wymaga budowa,
Usta składają się i nos wydęty.
U leżącego wzdłużała się głowa,
Zaczém w głąb czaszki uszy się wsuwały
Jak u ślimaka, kiedy rogi chowa.
Więc język mowny pękł na dwa kawały,
A węża język rozczepiony, składem
Człowieczym zlał się—i dymy ustały.
Duch, co z człowieka stał się teraz gadem,
Sycząc umykał w głębokie parowy,
Drugi coś mruczał, parskał i biegł śladem.
Wreszcie do niego grzbiet obrócił nowy
I mówił tamtym: — Niechże Bozo czyni
Jak ja, gdym pełzał po ścieżynie owéj.
Te dziwy w siódméj widziałem pustyni;
Jeśli chybiło nieco moje pióro
Przez rzeczy nowość, niech mię nikt nie wini.
A choć mi oczy zachodziły chmurą,
Choć się zmysł mieszał tą kształtów zatratą,
Niedość umknęli śpiesznie, by posturą
Nie zdradził mi się Puccio Sciancato:
On jeden z trójcy widnéj nam przez chwilę
Został z dawnego człowieczeństwa szatą.
Trzeci, to powód łez twoich, Gavilłe! [9]).

Przypiski do pieśni XXV.

[1]) W dwie figi: giest nieprzystojny i pogardliwy.

[2]) Mniemano w czasach Dantego, że Pistoję założyli rozprószeni stronnicy Katyliny.

[3]) Kapaneus strącony piorunem z murów tebańskich za bluźnierstwo.

[4]) Kakus, zamieszkujący jaskinię pod górą Awentyńską, ukradł Herkulesowi stado zdobyte na królu Geryonie.

[3]) Cianfo z florenckiéj famili Donatich, czy też Abatich. W wierszu 50 przemieniony w sześcionożnego węża (*serpente con sei piè*) stapia się w jedno z Agnelem Brunelleschi'm.

[6]) Dwaj drudzy to Buoso Donati i Puccio Sciancato. Żółtą, centkowaną żmiją jest Guercio Cavalcante, który Buoza przemienia w węża, sam równocześnie przerzucając się w postać człowieka.

[7]) Lukan opowiada w IX ks. *Farsalii*, że żołnierz Sabello ukąszony od węża rozsypał się w popiół.

[8]) Kadmus i Aretuza. Porów. III i V ks. Metamorfoz Owidyusza Nazona.

[9]) Powodem łez ziemi Gaville był bandyta Francesco Guercio de'Cavalcanti.

Pieśń XXVI.

Hulaj Florencya, światowładna pani!
Skrzydłami bijesz po świata połaci,
A imię twoje głośne jest w otchłani!
Pośród złoczyńce aż pięciu spółbraci
Znalazłem; przeto we mnie wstyd się burzy,
Ale twa wielka chwała się wzbogaci.
Jeżeli prawdę sen przedrany wróży,
Rychło na sobie poczujesz dłoń kata,
Którym śród innych Prato ci posłuży [1]).
A nie zawczesna będzie to zapłata!...
Niechże się dzieje, jako zapisano;
Radbym już widział, bo mi biegną lata. —
W górę wracamy opoczystą ścianą
Po węgłach; Wódz wprzód, a ja za nim wchodzę
Na schody, ręką wsparty ukochaną.
A potém daléj po samotnéj drodze
Pomiędzy szkarpy i szczerby przełęczy,
Gdzie ręka pomoc musi dawać nodze.
Męczył się duch mój i dziś jeszcze męczy,
Gdy wspomni, com tam w dolnym widział żłobie;
Więc umysł dzierżę w mocniejszéj obręczy,
Abym się cnotą rządził w każdéj dobie,
A mając dobro z gwiazd lub Nieb wyroku,
Bym tego dobra nie zajrzał sam sobie.
Jak wczasujący rolnik w porze roku,
Kiedy płaneta, co blask ziemi nieci,
Dłużéj nam swego użycza widoku;
Gdy w miejsce muszek ćma komarów zleci,
Z pagórka patrzy w pola i winnice,
A śród nich mrowie świętojanków świeci;
Tak roziskrzoną ujrzałem ciemnicę
Ósmego dołu przepastnéj gardzieli
Z miejsca, skąd mogłem w jar posłać źrenice.
Jak prorok, co miał w niedźwiedziach mścicieli [2]),
Widział w powietrzu wóz Elijaszowy
Z końmi lecący w górę, cały w bieli,

Aż nic rozróżnić nie mógł, wzniósłszy głowy,
Prócz samotnego, wiotkiego płomyka,
Który mknął w górę, jak obłoczek płowy;
Tak migotała jaru szyja dzika:
Nieznać, co kryją ogniste osłony,
A każda sobą osnuła grzesznika.
Stałem na moście tak w dół przechylony,
Że gdybym niebył trzymał się krawędzi,
To spadłbym w przepaść, nawet nietrącony.
Rzekł Wódz mój, widząc, jaka chęć mię pędzi:
— Płomiennym duchy są odziane strojem:
Każda się mara w ogniu własnym swędzi.
— Pewność mam—rzekę — w utwierdzeniu twojem;
Że tak być musi, rozumiałem ja ci
I chciałem spytać: kogo swym zawojem
Otula płomień, co w górnéj połaci
Jest rozczepiony, jakby bił ze stosu,
Który tebańskich obu schłonął braci? [3]).
Ulis wspólnego zaznaje tu losu
Z Djomedem, skazan na wspólne cierpienie,
Jak był spólnikiem do zdrady i ciosu.
Jęk im wyciska Trojan omamienie
I brama koniem udanym zdobyta,
Skąd wyszło Rzymian szlachetne nasienie.
Tu płaczą zdrady, przez którą zabita
Jeszcze Achilla skarży Deidamija [4]);
Kradzież Palladyum pomstą jest pokryta. —
— Jeśli z płomienia, który ich spowija,
Wolno im mówić, Mistrzu, proszę mile,
Chętna-li prośbom moim łaska czyja,
Racz się zatrzymać jeszcze małą chwilę,
Aż tu podejdzie pochodnia dwurożna;
Patrz, z ciekawości już cały się chylę.
A on mi na to: — Prośba twa niezdrożna,
Owszem chwalebna, toż ci jéj nie ganię;
Lecz milcz, odzywać się tobie nie można.
Zgadłem twe chęci, wyłuszczę żądanie,
Bo Grecy przyjąć gotowiby dumnie
I pogardliwie twoje odezwanie.

Więc gdy tak blisko płomień podszedł ku mnie,
Że doń przemówić stosownem się zdało,
Te słowa posłał ognistéj kolumnie:
— Wy, których pożar w jedno ubrał ciało:
Jeślim zasłużył się,—skromnie powiadał; —
— Jeślim zasłużył się wiele lub mało,
Kiedym dostojne o was rymy składał,
Stójcie; a jeden podejdź do kamienia
I mów, gdzieś błądził i gdzieś życie stradał?
— Tedy wyższy róg starego płomienia
Poszepce i swym szczytem zamigota
Jak płomień świecy z wiatrowego tchnienia.
A jasny kiścień tam i sam się miota,
Jakby to język ludzki z niego gadał,
Aż wyszły słowa z ogniowego knota: [5])
— Gdym był od Cyrcy wrócił, gdziem postradał
Wolność, w pobliżu Gaëty więziony,
— Eneasz imię to grodowi nadał,
Niemógł mię wstrzymać syn mój ulubiony,
Ni cześć starego ojca, ni miłości
Powinność, niegdyś szczęście lubéj żony,
Nie mogły zdusić we mnie ciekawości
Zajrzenia w świata roboty misterne,
Poznania błędów ludzkich i dzielności.
Więc na głębokie morze, na niezmierne
W jednéj się puszczam łodzi; druhów grono
Ze mną, do końca posłuszne i wierne.
Aż po Hiszpanią brzeg podwójną stroną
Zwiedzam; więc Marok, Sardynią i mnogą
Wysp rzeszę, jedném morzem otoczoną.
W starość my wszyscy zaszli żmudną drogą,
Nimeśmy w owe cieśnie się dostali,
Które Herkules piętnował przestrogą,
Aby nie ważył się człowiek pójść daléj;
Po stronie prawéj została Sewila,
A Ceuta z lewéj szarzała na fali.
— Bracia! — mówiłem — śród hazardów tyla
Zaszli na świata podwieczorne skraje,
Skoro wam jeszcze bodaj jedna chwila.

W zmysłów czuwaniu przed śmiercią zostaje,
Nie żmudźcie duszę wydobyć z ciemnoty,
Za słońcem idąc w niemieszkane kraje.
Zważcie plemienia waszego przymioty:
Nie przeznaczono wam żyć jak zwierzęta,
Lecz poszukiwać i wiedzy i cnoty.
A w towarzyszach mych krótka zachęta
Takie pragnienie podróży zapali,
Że już ich odtąd nic nie opamięta.
Ku wschodowi-śmy rufę obracali,
Prąc skrzydła wioseł na jazdę szaloną
I ciągle w lewo przybierając fali.
Już wszystkie gwiazdy południową stroną
Ogląda niebo, a nasze tak nisko,
Że na krawędzi widnokręgu toną.
Po pięćkroć z dołu księżyca kolisko
Blask uszczuplało od czasu, jak nawa
Zapędziła się w groźne topielisko,
Gdy mi się góra ukazała bława
Od odległości, postaci niezwykłéj,
Jak w reszcie ziemi widzieć się nie dawa.
Krótka uciecha, prędko łzy wynikły,
Bo przypadł wicher od nowego lądu
I pękł pod ciosem dziób okrętu nikły.
Trzykroć go strącał wir pełnego prądu,
Raz czwarty fala rufę w pion wyparła;
Dziób pornął na dół i z przeznaczeń Sądu
Toń się nad nami wieczyście zawarła.

Przypiski do pieśni XXVI.

[1]) Maleńkie Prato z innémi większemi miastami oświadczy się przeciw tobie.

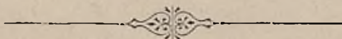
[2]) Prorok Elizeusz.

[3]) Tebańscy bracia to Eteokles i Polinik.

[4]) Deidamia, córka Likomedesa króla skiryjskiego, na dworze którego chował się młody Achilles w przebraniu kobiecém. Wywabiony od Ulissesa, porzucił uwiedzioną Deidamię.

[5]) Ulisses opowiada śmierć swoję i towarzyszy, o któréj już żaden człowiek żyjący wiedzieć nie mógł. Podobnie Ugolino w pieśni XXXIII.

Edward Porębowicz.



Promienie katodalne i promienie Röntgena.

W grudniu roku zeszłego, na jubileuszowém posiedzeniu Towarzystwa fizycznego w Berlinie, z pomiędzy wielu ciekawych demonstracyi naukowych, najbardziéj zaciekawiły członków nowe, dziwne fotografie, nadesłane przez profesora uniwersytetu w Würzburgu, Konrada Wilhelma Röntgena. Przedstawiały one obrazy kości ręki człowieka żyjącego, busoli zamkniętéj w pudełku, równoważników ukrytych dla oka w szkatułce i t. d., wogóle przedmiotów okrytych zasłonami nieprzezroczystemi. Zanim jeszcze pisma naukowe zdołały podać opis, wieść o tém za pośrednictwem pism codziennych przedostała się do publiczności i sprawiła wrażenie niesłychane. Powszechnym tematem rozmów stały się „promienie katodalne", „promienie Röntgena" i wszystko, co w związku z nowém odkryciem pozostaje. Broszurki, omawiające to nowe odkrycie, cieszą się wielkiém rozpowszechnieniem, odczyty mu poświęcone są przepełnione słuchaczami, a fabrykanci przyrządów fizycznych podziwiają olbrzymi popyt na wszystkie przyrządy, niezbędne do powtórzenia rozgłośnych doświadczeń.

Dziwić się temu niepodobna ze względu na zastosowania praktyczne, jakie odkrycie Röntgena już znalazło i jeszcze znaleźć obiecuje. Fizycy zaś fachowi widzą w niém nowe pole do dalszych prac i badań. Wszystkie też niemal pracownie fizyczne przeprowadzają doświadczenia odnośne, upraszczają pierwotne, znajdują nowe zastosowania. Wątpić nie należy, że usiłowania te odniosą skutek pożądany i że z prac obe-

cnych wiek XX już korzystać będzie w stopniu takim, w jakim my dziś korzystamy z odkryć Niepce'a i Daguerre'a.

Zamierzając podać opis doświadczeń Röntgena, przedewszystkiém przypomniéć musimy pewne wiadomości z fizyki. Skoro jest mowa o „promieniach", czytelnik z fizyką nie obeznany rozumié tylko promienie świetlne, działające na nerwy wzrokowe. A jednak istnieją promienie niewidzialne, przez inne działania przejawiające się. Puśćmy wiązkę promieni słonecznych na pryzmat szklany, a otrzymamy za pryzmatem, dzięki niejednakowemu załamaniu różnych promieni, widmo, wytworzone przez promienie zabarwione rozmaicie. Wszystkie one istniały w wiązce puszczonéj na pryzmat, lecz zmieszane razem, sprawiały wrażenie światła bezbarwnego; za pryzmatem zaś promienie każdéj barwy idą w kierunku osobnym, najmniéj zbaczają od kierunku promieni padających promienie czerwone, najmocniéj — promienie fiołkowe.

Tyle dostrzega oko. Przesuwając wzdłuż widma otrzymanego termometr, dostrzeżemy, że największe podniesienie temperatury wykaże on po za granicami widma widzialnego, mianowicie po za promieniami czerwonemi. Widocznie więc jeszcze mocniéj, aniżeli promienie czerwone, załamują się w pryzmacie pewne, niewidzialne dla oka promienie, działające na termometr: są to promienie cieplikowe, zwane jeszcze, z powodu położenia ich w widmie, promieniami po-za-czerwonemi. Rzućmy widmo na papier pokryty chlorkiem srebra. Zauważymy czernienie papierka w miejscach, na które padają promienie widzialne, lecz tém mocniejsze, im bardziéj załamane promienie widma działają, a więc pod promieniami fiołkowemi mocniejsze, aniżeli pod promieniami czerwonemi, najmocniejsze zaś po za promieniami fiołkowemi. Wynika z tego, że istnieją w wiązce promieni słonecznych, prócz promieni widzialnych i po-za-czerwonych, niewidzialne promienie, załamujące się w pryzmacie mocniéj jeszcze, aniżeli promienie fiołkowe i sprawiające działanie chemiczne: rozkładają one chlorek srebra, przyczém srebro wydziela się w postaci drobniutkiego czarnego proszku. Niewidzialne promienie te nazywają się chemicznemi lub po-za-fiołkowemi.

Promienie więc po-za-czerwone i po-za-fiołkowe, występujące obok promieni widzialnych, różnią się od nich wielkością załamania w pryzmacie i skutkami przez siebie sprawionemi. Jeszcze na jedno zwrócić tu uwagę należy. Wiadomo, że ciała przepuszczające przez siebie pewne promienie, nazywają się przezroczystemi dla tych promieni. Otóż ciała przezroczyste dla promieni świetlnych mogą być nieprzezro-

czystemi dla promieni po-za-czerwonych i po-za-fiołkowych, oraz odwrotnie. Szkło tych promieni nie przepuszcza, tak jak np. deska drewniana promieni świetlnych.

To też chcąc otrzymać w widmie promienie po-za-czerwone, użyć należy pryzmat nie szklany, lecz np. z soli kamiennéj, przezroczystéj dla promieni cieplikowych. A dla otrzymania w widmie promieni po-za-fiołkowych, biorą pryzmaty kwarcowe, gdyż szkło i sól kamienna pochłaniają te promienie całkowicie. Nieprzezroczysty dla światła roztwór jodu w siarku węgla promienie cieplikowe przepuszcza znakomicie, a cienkie, nieprzezroczyste jednak dla promieni świetlnych, warstewki srebra, są przezroczyste dla promieni po-za-fiołkowych. Widzimy z tych przykładów, że przezroczystość dla promieni widzialnych nie stanowi jeszcze o przezroczystości dla promieni innych rodzajów, jak przezroczystość dla promieni jednéj barwy nie stanowi o przezroczystości dla barw innych.

Poznaliśmy już dwa gatunki promieni niewidzialnych. Znane są one już oddawna, zbadane dokładnie pod względem zachowania się w różnych przypadkach i skutków, jakiemi istnienie swe przejawiać mogą. Fizyka uczy, że podobnie jak i promienie widzialne, polegają one na ruchu drgającym pewnego ośrodka — eteru, wypełniającego wszechświat cały, przestrzenie międzyświatowe i przestrzenie międzycząsteczkowe ciał materyalnych. Kamień rzucony na gładką powierzchnię stawu sprawia fale, rozchodzące się we wszystkich kierunkach. Cząsteczki wody drgają, poruszają się tylko do góry i na dół na niewielkie odległości od położenia, jakie zajmowały w stanie spoczynku. Nie cząsteczki wody poruszają się po powierzchni wody wraz z falą, lecz pewien stan ich ruchu. Ponieważ fala w naszym przykładzie rozchodzi się w kierunkach poziomych, po powierzchni stawu, a ruch drgający cząsteczek wody odbywa się w kierunku pionowym, przeto fala podobna nazywa się poprzeczną.

Gdyby ruch drgający cząsteczek odbywał się w kierunku rozchodzenia się fali, falę nazwalibyśmy podłużną. Odległość pomiędzy cząsteczkami, znajdującemi się jednocześnie w najwyższym lub najniższym punkcie swéj drogi, wogóle w największém wychyleniu w jedną lub drugą stronę, a więc i jednocześnie przechodzącemi przez położenie równowagi, zowiemy długością fali. Wprawmy jeden koniec długiego sznurka, przymocowanego na drugim końcu do ściany nieruchoméj, w drganie w kierunku prostopadłym do jego długości, a otrzymamy obraz fal poprzecznych; doświadczenie to wykaże nam jeszcze, że im szybsze drgania sprawiać będziemy, tém długość fal będzie mniejsza. Gdybyśmy wprawiali w drganie jeden koniec długiéj sprężyny w kie-

runku jéj długości, otrzymalibyśmy obraz fali podłużnéj. Łatwo pojąć można, że przy ruchu falowym poprzecznym ulega zmianom kształt ciała, natomiast przy ruchu podłużnym jego objętość, a więc i gęstość.

Kamerton dźwięczący drga sam i wprawia w drganie cząsteczki powietrza; ruch drgający najbliższych cząsteczek udziela się cząsteczkom następnym, powstają zgęszczenia i rozrzedzenia powietrza, rozchodzące się w postaci fali podłużnéj. Natomiast promienie świetlne widzialne, po-za-czerwone i po-za-fiołkowe, polegają na ruchu falowym poprzecznym ośrodka, którego istnienie przyjąć należało niezbędnie dla objaśnienia zjawisk świetlnych, mianowicie eteru. Promieniem nazywa się kierunek prostoliniowego rozchodzenia się takiéj fali. Nie zamierzamy tu wdawać się w wykład zjawisk polaryzacyi światła, które wykazują, że fale świetlne poprzeczne być muszą. Dodamy tylko, że promienie różnią się od siebie długościami odpowiednich fal w eterze, a więc i szybkością drgań eteru. Długość fali promieni po-za-czerwonych jest większa, aniżeli promieni świetlnych widzialnych, a dla tych większa, aniżeli dla promieni po-za-fiołkowych.

Czy tylko fale poprzeczne w eterze istnieć mogą? Czy nie mogą powstawać również fale podłużne? Fale podłużne, jak to już wiemy, polegają na kolejnych zgęszczeniach i rozrzedzeniach. Gdyby eter był zupełnie nieściskalny, nie mogłoby być mowy o falach podłużnych. Powiedzmy inaczéj: wówczas długość fal podłużnych w eterze musiałaby być nieskończenie wielka; ponieważ zaś szybkość rozchodzenia się fal pozostaje, przy jednakowéj częstości drgań, w stosunku prostym do jéj długości, przeto i szybkość fali podłużnéj w eterze musiałaby być nieskończenie wielką. Fizycy zmuszeni byli przypisać etorowi ściśliwość bardzo małą, jeżeli nie żadną.

Pod tym względem eter podobny jest do galarety, ulegającéj z wielką łatwością drganiom poprzecznym, lecz znacznie trudniéj drganiom podłużnym. Fale podłużne w eterze występować mogą, lecz szybkość ich musi być olbrzymia, bez porównania większa od szybkości fal poprzecznych, czyli od szybkości światła, praktycznie rzeczy biorąc, nieskończenie wielka. Jakkolwiek istnienie podobnych fal w eterze, właściwie mówiąc, dowiedzione jeszcze nie zostało, z łatwością jednak niektóre ich własności przewidzieć można. Ponieważ załamanie fal (a więc i promieni), jak uczy fizyka, zależy od różnéj ich szybkości w eterze, zawartym w różnych ośrodkach materyalnych, przeto fale podłużne eteru, które we wszystkich ośrodkach rozchodzić się muszą z szybkością prawie nieskończenie wielką, a więc dla wszystkich ciał prawie jednakową, załamaniu prawie wcale ulegać nie będą. Odbiciu ulegać będą według tych samych praw, co i fale poprzeczne, świetlne;

wszak podłużne fale dźwiękowe według tych samych praw się odbijają. Natomiast fale podłużne zjawisk polaryzacyi dawać nie będą. Zjawiska te zależą od różnych własności eteru zawartego w pewnych ciałach w różnych kierunkach. Musi to wpływać na fale poprzeczne, w których drgania zachodzą w kierunku prostopadłym do kierunku rozchodzenia się fali, przy przejściu ich przez te ciała, lecz na fale podłużne pozostanie bez wpływu.

Po tych wstępnych uwagach, niezbędnych do zrozumienia wielu ważnych ustępów, przejdźmy w dalszym ciągu do bliższego rozważenia sposobu powstawania i działania nowych „promieni Röntgena."

Skoro zbliżymy dostatecznie dwa naładowane dość mocno, czyli, jak mówią fizycy, do napięcia dość wysokiego różnoimiennemi elektrycznościami przewodniki, powstaje pomiędzy niemi, jak to każdy wié, iskra elektryczna. Im dłuższą chcemy otrzymać iskrę, tém większe musi być napięcie wyładowujących się elektryczności. Wysokie napięcia elektryczne otrzymuje się najprościéj za pomocą maszyn elektrycznych lub cewki indukcyjnéj Rumkorff'a — przyrządów, których opis czytelnik w każdym podręczniku fizyki znajdzie. Sposób działania tych przyrządów jest wprawdzie różny; prowadzi atoli do jednakowego rezultatu, do uzyskania wysokich napięć elektrycznych na przewodnikach, zwanych biegunami maszyny elektrycznéj lub cewki. Obracając koło maszyny lub puszczając w ruch za pomocą odpowiedniéj ilości ogniw galwanicznych cewkę, otrzymujemy pomiędzy dostatecznie zbliżonemi biegunami szereg świetnych, trzeszczących i jaskrawych iskier elektrycznych. Iskra, znana jako taka w powietrzu o ciśnieniu zwyczajném, nabiéra ciekawych własności w gazach rozrzedzonych. W miarę rozrzedzania gazu iskra wydłuża się, rozszerza i przybiera barwy różne, w zależności od gazu, w którym wyładowanie się odbywa. Tak zwane rurki Geisslera, są to naczynia szklane z wtopionemi w dwóch miejscach drucikami, czyli elektrodami, wystającemi na zewnątrz, i zawierające gazy rozrzedzone. Drucik połączony z biegunem dodatnim [1]) cewki nazywa się *anodem*, a z biegunem ujemnym — *katodem*. Skoro przepuszczać poczniemy przez taką rurkę wyładowania cewki lub maszyny elektrycznéj, całe jéj wnętrze świecić poczyna światłem jasném, o barwie zależnéj od resztek gazu, pozostałych w rurce, czerwonawéj w wodorze, białawéj w powietrzu i t. d. Jeżeli rozrzedzenie posuniemy daléj, co dokonać się daje jedynie tylko za pomocą odpowiednich

---

[1]) Biegunem dodatnim nazywamy ten, na którym podczas działania maszyny lub cewki wywiązuje się elektryczność dodatnia.

pomp rtęciowych, zjawisko zmienia się. W miarę dalszego rozrzedzania wnętrze rurki świecić będzie coraz słabiéj, wreszcie przy pewném, bardzo znaczném rozrzedzeniu rurka przestanie świecić wewnątrz zupełnie, i tylko jéj ścianki, leżące naprzeciwko katodu, świecić będą charakterystyczném światłem zielonawém. Zjawiska, występujące w rurkach o tak znaczném rozrzedzeniu, stanowiły przedmiot licznych i poważnych badań Hittorf'a, Goldstein'a, Hertz'a, Wiedemann'a, Puluj'a, a szczególniéj Crookes'a, któremu téż takie rurki i nazwę swą zawdzięczają. Nie możemy pominąć tu najbardziéj ciekawych wyników tych badań.

Przy bardzo wielkich rozrzedzeniach katod wywiera różne działania: ścianki rurki, leżące naprzeciwko niego, ogrzewają się, lekki młynek kręci się, rozliczne ciała poczynają świecić i t. d. Ponieważ działania te, jak wykazują proste doświadczenia, rozchodzą się po liniach, podobnie jak promienie świetlne, prostych, przeto powiedziéć można, że pod wpływem wyładowań elektrycznych w rurce z gazem nader rozrzedzonym rozchodzą się z katodu osobliwe promienie „katodalne”, niewidzialne dla oka, lecz dostrzegalne przez skutki, jakie sprawiają. „Promienie” te rozchodzą się z powierzchni katodu w kierunkach ku niéj prostopadłych, łatwo więc w każdym przypadku przewidziéć można ich drogę. Skoro użyjemy katod w postaci zwierciadełka wklęsłego, promienie katodalne skupiają się w jednym prawie punkcie i ogrzewają ciało tam umieszczone bardzo mocno: platyna topi się i ulatnia, węgiel rozżarza się do białości i t. d. [1]); jeżeli punkt ten przypada na ściance rurki, szkło ogrzewa się tak mocno, że się roztopić może, a wówczas ciśnienie atmosferyczne wtłacza je do wnętrza, wreszcie przerywa sobie otwór i wdziera się w rurkę.

Mniéj nas tu zajmują działania mechaniczne promieni katodalnych, np. na wiatraczek lekki na ich drodze umieszczony; najważniejszą dla nas własnością promieni katodalnych jest ich zdolność w wysokim stopniu pobudzania różnych ciał do świecenia, bez podnoszenia ich temperatury, czyli do fluorescencyi.

Pewne ciała posiadają własność świecenia własném światłem charakterystyczném pod wpływem promieni świetlnych, szczególniéj barddziéj załamanych przez pryzmat, mianowicie fiołkowych i osobliwie poza-fiołkowych. Zjawisko to nazywa się fluorescencyą. Można się niém posługiwać dla wykazania promieni po-za-fiołkowych w widmie, rzucając je na płytkę pokrytą substancyą fluoryzującą. Wówczas fluorescencya będzie najświetniejsza za fiołkowym końcem widma.

---

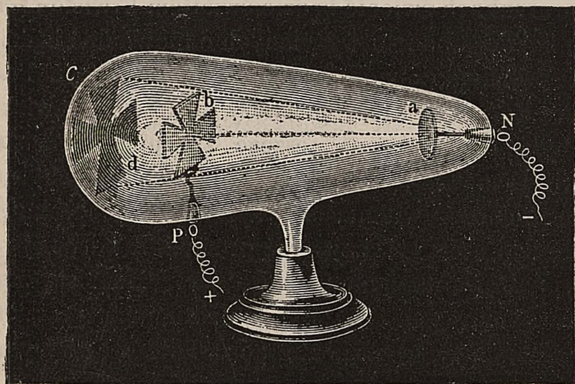
1) Niezbyt jeszcze dawno prof. Puluj w Pradze projektował taki sposób oświetlania.

Barwa światła, wysyłanego przez ciało fluoryzujące, nie zależy od barwy promieni pobudzających. Skoro puścimy na roztwór fluoresceiny promienie barwy dowolnéj, świecić on będzie zawsze światłem zielonawém, chlorofil w tych warunkach świecić będzie światłem krwisto-czerwoném i t. d. Wogóle barwa promieni wysyłanych odpowiadać będzie falom dłuższym, aniżeli promieni pobudzających do fluorescencyi. Prawo to, wygłoszone przez Stokes'a, który pierwszy dostrzegł zjawiska opisywane, uważane było do niedawna jeszcze za zupełnie ścisłe. Przed kilku laty dopiéro Lommel wykazał, że ciała fluoryzujące które pochłaniają niektóre promienie widma, a więc zabarwione, mogą również w swém świetle fluorescencyi zawierać promienie bardziéj łamliwe, o fali krótszéj, aniżeli promienie pobudzające. Może się zdarzyć nawet, jak to uzasadnimy poniżéj, że pod działaniem promieni fiołkowych ciało takie fluoryzujące promienie po-za-fiołkowe wysyłać będzie.

Ciała fluoryzujące świecą tak długo, jak długo działają na nie promienie pobudzające. Niektóre jednak ciała nie przestają świecić i po przerwaniu ich oświetlenia; do ciał takich należą np. siarczki strontu, barytu i t. d. Taki rodzaj świecenia nazywają, dla odróżnienia od fluorescencyi, f o s f o r e s c e n c y ą. Istotnéj różnicy pomiędzy fluorescencyą i fosforescencyą nie ma; różnica polega tylko na trwałości świecenia. Ciała fluoryzujące przestają świecić bardzo szybko po przerwaniu oświetlenia, ciała zaś fosforyzujące świecą jeszcze przez pewien czas. Objaśnienie zjawisk fluorescencyi i fosforescencyi w zasadzie trudne nie jest: cząsteczki i atomy ciał fluoryzujących i fosforyzujących posiadają swe własne okresy drgań i pod wpływem działających nań drgań eteru poczynają drgać same i sprawiać w eterze otaczającym drgania im właściwe.

Otóż promienie katodalne posiadają w stopniu jeszcze daleko wyższym, aniżeli promienie po-za-fiołkowe, własność wzbudzania fluorescencyi i fosforescencyi w ciałach nawet takich, które pod działaniem promieni po-za-fiołkowych nie świecą wcale. Szkło zwyczajne ścianek rurki Crookes'a fluoryzuje pod ich działaniem w pięknéj barwie zielonawéj. Pozwala to śledzić przebieg promieni katodalnych wewnątrz rurki. Jeżeli na ich drodze, jak to widzimy z ryciny znajdującéj się na odwrotnéj stronie, gdzie *a* oznacza katod, *p* — anod, znajduje się krzyż *b* z blaszki glinowéj, wówczas na przeciwległéj względem katodu ściance rurki powstaje wyraźnie zakreślony cień *cd* krzyża na jaskrawo fluoryzującém tle. Z podobnych doświadczeń, w których zamiast krzyża *b* były używane płytki z różnych substancyi, okazało się, że wszystkie ciała są dla promieni katodalnych nieprzezroczyste, wszystkie rzu-

cają cień na ściankę rurki. Jeżeli na drodze promieni katodalnych umieścimy ekran z niewielkim otworem po środku, otrzymamy za nim wązką



wiązkę promieni katodalnych, zaznaczającą się przez wyraźną plamkę fluoryzującą na ściance rurki. Przy zbliżeniu magnesu, plamka ta przysuwa się, przytém tém bardziéj, im mocniejszy jest magnes użyty i im go bliżéj do rurki przysuniemy. A więc promienie katodalne odchylają się pod wpływem magnesu. Pod tym względem zachowują się one jak przewodniki, przez prąd elektryczny przebiegane. Lecz dwa przewodniki z prądami o kierunku jednakowym, jak to wiadomo z fizyki, przyciągają się wzajemnie. Natomiast, jak wykazują doświadczenia z dwiema wiązkami promieni katodalnych, w sposób powyższy otrzymanemi, dwie wiązki promieni katodalnych, jednakowo skierowane, odpychają się wzajemnie. Pod tym więc względem promienie katodalne zachowują się raczéj jak dwa ciała naelektryzowane jednoimiennie.

Przed paru laty Lenard, uczeń i były asystent Hertz'a, zdołał wypuścić promienie katodalne na zewnątrz rurki i poddać je badaniom w powietrzu i innych gazach o różnych ciśnieniach. Hertz wykazał, że promienie katodalne przechodzą przez bardzo cienkie blaszki glinowe o grubości od jednéj do trzech tysiącznych części milimetra [1]). Lenard w rurce Crookes'a naprzeciwko katodu zrobił niewielki otworek i zakrył go następnie szczelnie taką właśnie cieniutką blaszką glinową, nie przepuszczającą powietrza, lecz dość dobrze przezroczystą dla promieni katodalnych. Umieszczając przed tém „okienkiem" substancye fluoryzujące, Lenard mógł zbadać przebieg promieni katodalnych po wyjściu ich z rurki. Okazało się, że powietrze i wszystkie wogóle ciała pochłaniają je nader energicznie i wogóle tém energiczniéj, im większa jest gęstość ciała; wodór np. pochłania słabiéj, aniżeli powietrze o tém

---

[1]) Zapewne każde ciało w warstewce odpowiednio cienkiéj jest przezroczyste dla promieni katodalnych.

samém ciśnieniu, powietrze rozrzedzone słabiéj, aniżeli zwyczajne i t. d. W powietrzu o ciśnieniu zwyczajném już na odległości kilku centymetrów od owego „okienka" glinowego Lenard żadnego działania promieni katodalnych dostrzedz nie mógł; w powietrzu rozrzedzoném działania dawały się dostrzegać tém daléj, im lepsze było rozrzedzenie. Prócz tego w powietrzu i we wszystkich ośrodkach materyalnych przebieg prostoliniowy promieni katodalnych nie jest tak wyraźny, jak wewnątrz rurki; promienie te rozpraszają się na wszystkie strony w sposób mniéj więcéj taki, jak promienie świetlne w wodzie mlecznéj, zawierającéj zawieszone w niéj okruszyny ciał stałych lub w proszku szklanym.

Hertz pierwszy wygłosił zdanie, że istnieją promienie katodalne różnorodne, różniące się zdolnością sprawiania fluorescencyi, ogrzewania i t. d. Lenard wykazał, że własności promieni katodalnych zależą do pewnego stopnia od wielkości ciśnienia pozostałych resztek gazu w rurce, w któréj powstają; od tego zależy również wielkość odchylania przez magnes. Gdybyśmy więc posiadali wiązkę różnorodnych promieni katodalnych, moglibyśmy, poddając działaniu magnesu, pooddzielać je jeden od drugiego, rozszczepić tak, jak rozszczepiamy różnorodne promienie świetlne, zawarte w wiązce białéj promieni słonecznych, za pomocą pryzmatu.

Lenard wykazał również, że promienie katodalne działają na czułe warstwy fotograficzne. Z powodów jednak z powyższego zrozumiałych, mianowicie z powodu rozpraszania i pochłaniania promieni owych przez powietrze, o zastosowaniu ich do fotografii nie pomyślał wcale [1]).

Wypada nam zastanowić się przez chwilę nad istotą tych nader ciekawych promieni katodalnych, nie wyjaśnioną, przyznać należy, dotychczas należycie. Jedni (szkoła niemiecka) widzą w nich pewien ruch falowy eteru bądź poprzeczny o falach krótszych od znanych fal po-za-fiołkowych, bądź też ruch podłużny. Uczeni angielscy natomiast trzymają się hypotezy postawionéj przez Crookes'a i dotyczącéj czwartego, „promienistego" stanu skupienia materyi. Według poglądów współczesnych, gaz składa się z cząsteczek, poruszających się nader szybko po drogach prostoliniowych. Biegnące cząsteczki gazu spotykają się często, odbijają się jedna od drugiéj i od ścian naczynia, w którém gaz jest zawarty.

Rzecz oczywista, że im bardziéj gaz będzie rozrzedzony, tém rzadziéj każda cząsteczka z innemi spotykać się będzie, tém dłuższa będzie

---

[1]) Z krótkich notatek w pismach specyalnych dowiedzieliśmy się, że prof. Slaby w Berlinie i dr. Joly w Dublinie wykonali zdjęcia fotograficzne za pomocą promieni katodalnych, wypuszczonych na zewnątrz rurki Crookes'a, według sposobu Lenard'a. Szczegóły jednak tych doświadczeń ogłoszone jeszcze nie zostały.

jéj przeciętna droga „swobodna”, t. j. pomiędzy dwoma spotkaniami. Możemy wreszcie przedstawić sobie stan rozrzedzenia tak znacznego, że swobodna droga cząsteczki będzie równa odległości pomiędzy przeciwległemi ściankami naczynia. Wówczas gaz okazywać musi własności inne, aniżeli przy ciśnieniu zwyczajném, kiedy swobodna droga cząsteczki jest nader krótka. Crookes przypuszcza, że w rurkach o bardzo znaczném rozrzedzeniu materya (gaz) znajduje się w takim właśnie „czwartym stanie skupienia”, tak dalekim od zwyczajnego stanu gazowego, jak daleki jest stan gazowy zwykły od stanu ciekłego, a to dzięki znacznemu powiększeniu długości drogi swobodnéj jego cząsteczek. Skoro elektrody rurki są połączone z biegunami cewki lub maszyny elektrycznéj, cząsteczki gazu, uderzające o powierzchnię katodu elektryzują się ujemnie, zostają odeń odepchnięte w kierunku do jego powierzchni prostopadłym, odskakują więc z szybkością większą, aniżeli wówczas, gdy siły elektryczne nie działają. Napotykając na drodze lekkie ciała ruchome, np. wiatraczek, poruszają je, uderzając o ciała nieruchome zamieniają część swéj energii ruchu na ciepło, częścią zaś sprawiają inne jeszcze działania, wprawiają w drgania świetlne cząsteczki i atomy ciał, wskutek czego ciała te poczynają świecić, fluoryzować i fosforyzować. Cząsteczki katodu (zwykle glinowego) odrywają się również odeń i osiadają na ściankach rurki, tworząc, po dłuższém użyciu rurki, zwierciadła. Znakomity współczesny fizyk angielski, I. I. Thomson, zdołał nawet wymierzyć szybkość promieni katodalnych, czyli, według hypotezy Crookes'a, szybkość cząsteczek, odskakujących od katodu; według Thomson'a, szybkość ta wynosi około 200 kilometrów na sekundę, a więc znacznie mniéj od szybkości światła, wynoszącéj, jak wiadomo, 300,000 kilometrów na sekundę. Okoliczność ta zadaje cios poważny szkole niemieckiéj, szczególniéj hypotezie drgań podłużnych, których szybkość, jak to już wiemy z poprzedniego, powinna być znacznie większa od szybkości światła.

Hypoteza Crookes'a objaśnia dostatecznie wszystkie niemal własności promieni katodalnych. Jeżeli promienie katodalne przedstawiają sobą prostoliniowe drogi cząsteczek naładowanych elektrycznością jednakową, muszą się one odpychać od siebie (elektrostatycznie). Gdyby szybkość ruchu tych cząsteczek dorównywała szybkości elektryczności w przewodnikach, promienie katodalne przyciągałyby się niewątpliwie tak, jak się przyciągają dwa druty z prądami o kierunku jednakowym (przyciąganie elektrodynamiczne). Przy niewielkiéj stosunkowo szybkości naładowanych cząsteczek, działanie elektrostatyczne przezwycięża działania elektrodynamiczne; natomiast w przypadku dwóch prądów elektrycznych działanie elektrodynamiczne jest mocniejsze; jednak

i w tym razie, jak wykazują badania dokładniejsze, działanie elektrostatyczne istnieje i obliczyć się daje.

Promienie katodalne, przedstawiając sobą więc osobliwe prądy elektryczne, tak zwane „prądy konwekcyjne" muszą też odchylać się pod wpływem magnesu. Niewątpliwie i tu, jak i w przypadku prądów zwyczajnych, działanie jest wzajemne; i jeżeli, jak to dostrzegł Hertz, promienie katodalne ze swéj strony nie odchylają igły magnesowéj, zależy to od wielkiéj różnicy mas występujących w promieniu katodalnym i w igle magnesowéj; taż sama siła, bardzo mała w danym przypadku, na niewielką masę, istniejącą w promieniu katodalnym, wywiera skutek bez porównania większy, aniżeli na stosunkowo olbrzymią masę strzałki magnesowéj [1]).

Na korzyść wyłożonéj teoryi promieni katodalnych przemawiają bardzo najnowsze badania. Perrin wykazał niezbicie, że ciała umieszczone na drodze promieni katodalnych elektryzują się ujemnie: cząsteczki materyi oddają im swój ładunek, poczerpnięty z katodu. Wykazał on nadto, że w rurce Crookes'a, prócz promieni katodalnych, istnieją również promienie „anodalne", rozchodzące się z anodu, w sposób jednak mniéj prawidłowy, aniżeli promienie katodalne, odchylające się również pod wpływem magnesu i nadające ciałom, na ich drodze umieszczonym, ładunek elektryczny dodatni. Badania dotychczasowe nie wykryły jeszcze innych własności tych promieni, na téj więc tylko wzmiance poprzestać musimy.

Taki był stan wiadomości o promieniach katodalnych aż do grudnia r. z. Zdawać się mogło, że wszystkie ich własności poznane już zostały i że fizykowi pozostaje tylko zastanawiać się głębiéj nad ich istotą. Trafowi szczęśliwemu przypisać należy odkrycie, które rozszerzyło horyzonty badań, zwróciło uwagę badaczy na rzeczy, które dotychczas przechodziły niepostrzeżenie lub też bez uwagi należytéj.

Profesor uniwersytetu w Würzburgu, Konrad Wilhelm Röntgen, dostrzegł, że papier pokryty warstwą cyanku barytu i platyny okazuje żywą fluorescencyę wobec rurki Crookes'a, okrytéj szczelnie papierem czarnym, zupełnie dla światła nieprzezroczystym, skoro tylko przebiegają przez nią wyładowania potężnéj cewki indukcyjnéj. Zjawisko to mo-

---

[1]) Nasuwa się tu porównanie ze znanym przykładem wzajemnego działania kamienia i całéj kuli ziemskiéj. Szybkość kamienia spadającego ku ziemi dostrzedz łatwo, lecz najczulsze nawet przyrządy nie pozwoliłyby wymierzyć szybkości ziemi, spadającéj ku kamieniowi, na skutek wzajemnego działania ziemi i kamienia.

głoby łatwo ujść uwagi eksperymentatora mniéj bacznego; być może nawet, że niejednemu fizykowi nastręczyło się już ono do badań. Röntgen, badacz uważny i wytrwały, zrozumiał ważność tego odkrycia i wywnioskował natychmiast, że z rurki Crookes'a rozchodzą się pewne działania, pewne, jak to poniżéj uzasadnimy, promienie, przenikające z łatwością przez nieprzezroczysty dla znanych dotychczas promieni świetlnych, po-za-czerwonych, po-za-fiołkowych, promieni katodalnych wreszcie papier czarny. Promienie nowe nie działają na siatkówkę oka, nie mogą więc sprawiać w oku bezpośrednio wrażeń świetlnych [1]; podobnie jak promienie po-za-fiołkowe przejawiać mogą swe istnienie przez fluorescencyę ciał odpowiednich, na które padają. Ekran w doświadczeniu Röntgena nie przestawał fluoryzować i wówczas, gdy pomiędzy nim i rurką umieszczona była gruba książka, talia kart, deska drewniana, blacha glinowa i t. d.; natomiast fluorescencya znikała, gdy pomiędzy rurkę i ekran wsunięta była blacha platynowa lub ołowiana, nieznacznéj nawet grubości, niezbyt gruba blacha srebrna, miedziana, płytka szklana i t. d. Wynika stąd, że papier, drzewo, glin i t. d. są to ciała dla nowych promieni przezroczyste, podobnie jak szkło dla promieni świetlnych, platyna zaś, ołów, szkło i t. d. są nieprzezroczyste, jak papier czarny dla promieni świetlnych. Nowe te „promienie", o własnościach, jak już widzimy z dotychczasowego, odmiennych od znanych dotychczas promieni, Röntgen nazwał „promieniami X", a świat naukowy przyznał im ogólne miano „promieni Röntgena."

Książka, talia kart, deseczka drewniana i t. d., nie są zupełnie przezroczyste dla nowych promieni i na ekranie fluoryzującym dostrzega się słaby cień tych przedmiotów, w obrębie którego fluorescencya jest nieco słabsza; przedmioty metalowe zaś rzucają cień bardzo ciemny i wyraźny. Cienie te są zupełnie podobne do tych, jakieby powstały na ekranie zwyczajnym, gdyby na miejscu rurki umieszczona była choćby lampa, tak, że w każdym przypadku Röntgen przewidzieć mógł kształt cienia na ekranie fluoryzującym, przyjmując, że te nowe działania rozchodzą się po drogach prostoliniowych. Przez analogię więc z promieniami świetlnemi powiedzieć można, że z rurki Crookes'a rozchodzą się promienie niewidzialne, przebiegające po liniach prostych, promienie X lub promienie Röntgena. Rozważając natężenie fluorescencyi na ekranie przy różnych jego odległościach od rurki, Röntgen upe-

---

[1]) Badania najnowsze wykazały, że ośrodki oczne, szczególniéj soczewka oczna, są bardzo nieprzezroczyste dla nowych promieni, tak, iż zostają one całkowicie niemal pochłonięte, zanim dojdą do siatkówki. Już jedna ta okoliczność może niewidzialność tych promieni objaśnić.

wnił się, że natężenie nowych promieni jest odwrotnie proporcyonalne do kwadratu z odległości od rurki, podobnie jak natężenie promieni świetlnych jest odwrotnie proporcyonalne do kwadratu z odległości od punktu świecącego.

Ciał bezwzględnie przezroczystych lub nieprzezroczystych dla promieni Röntgena tak, jak i dla promieni świetlnych, nie ma. Każde ciało w warstwie dość cienkiéj przepuszcza je, w warstwie dość grubéj przeważnie pochłania. Röntgen dostrzegł, a badania późniejsze potwierdziły, że przezroczystość lub nieprzezroczystość różnych płytek jednakowéj grubości dla nowych promieni pozostaje w zależności od ich gęstości. Ciała gęstsze pochłaniają mocniéj, aniżeli rzadsze; platyna i ołów, jako metale ciężkie, są bardzo nieprzezroczystemi. Lekki zaś glin, papiér, drzewo i t. d. w grubych nawet stosunkowo warstwach przepuszczają nowe promienie bez zbytniego osłabienia.

Nie tylko cyanek barytu i platyny, lecz i inne ciała, fluoryzujące pod wpływem promieni świetlnych widzialnych i po-za-fiołkowych, np. szkło i sole uranowe, szpat wapienny i t. d., fluoryzują i pod działaniem promieni Röntgena. Najbardziéj zaś ważną w zastosowaniach własnością tych promieni jest wspólna również z promieniami po-za-fiołkowemi—własność ich działania na czułe płytki fotograficzne [1]). Dzięki temu można cienie, dostrzegane na ekranie fluoryzującym, fotografować, rzucając je na płytkę czułą i po zwyczajném jéj wywołaniu i utrwaleniu otrzymywać obrazy trwałe. Osobliwością zaś tego sposobu fotografowania jest ta okoliczność, że płytka czuła podczas działania na nią promieni Röntgena pozostawać może w pudełku lub kasecie, chroniącéj ją od promieni świetlnych, ponieważ promienie Röntgena przez drzewo kasety lub tekturę pudełka przenikają z łatwością. I aby uchronić płytkę od działania tych promieni, nie dość wystarcza zamknięcie jéj w pudełku drewnianém lub tekturowém, lecz należy ją usunąć możliwie daleko od rurki, wysyłającéj promienie. Ponieważ różne ciała pod względem przepuszczalności dla promieni *X* zachowują się inaczéj, aniżeli dla promieni świetlnych, więc téż fotografie cieni za pomocą nich otrzymane, różnią się znacznie od tych, jakiebyśmy otrzymali przy użyciu promieni świetlnych. Można np. posługując się promieniami Röntgena otrzymać fotografię cieni przedmiotów metalowych, zamkniętych w szkatułce drewnianéj. Drzewo przepuszcza promienie

---

[1]) Jest rzeczą dotychczas jesze niezbadaną, czy promienie Röntgena działają na czułe substancye fotograficzne bezpośrednio, czy téż dzięki fluorescencyi, jaką sprawiać mogą w żelatynie, utrzymującéj sole czułe na światło, lub nawet w szkle, na którém żelatyna ta zwykle bywa umieszczona.

te daleko lepiéj, aniżeli metale. Otrzymamy więc obraz podobny do tego, jakiby powstał, gdybyśmy złożyli te przedmioty w pudełku szklanem na kliszy fotograficznéj i oświetlili promieniami świetlnemi. Cień taki po wywołaniu i utrwaleniu kliszy przedstawi się na niéj jako jasna plama na tle ciemniejszem, natomiast na kopiach (pozytywach) zaznaczy się przez plamę ciemniejszą na tle jaśniejszém. Części miękkie ciała ludzkiego i zwierzęcego, skóra i mięśnie lepiéj przepuszczają nowe promienie, aniżeli kości; wskutek tego na fotografiach (pozytywach) kości występują daleko ciemniéj, aniżeli mięśnie. Dzięki temu można otrzymywać bardzo wyraźnie obrazy kości ręki, nogi, zwierząt złożonych na płytce czułéj. Na tém właśnie polega zastosowanie tego nowego sposobu fotografowania w chirurgii.

Płytka metalowa przepuszcza promienie Röntgena tém lepiéj, im jest cieńsza. To téż jeżeli na drodze tych promieni na płytce czułéj umieścimy blaszkę grubości niejednostajnéj, wówczas miejsca jéj cieńsze zaznaczą się na kliszy (negatywie) po wywołaniu i utrwaleniu plamami ciemniejszemi, aniżeli miejsca grubsze, a więc na kopiach (pozytywach) odwrotnie, plamami jaśniejszemi. Można więc w sposób taki otrzymać obraz wszystkich wklęsłości i wypukłości, np. medalu. Odwrotna strona medalu w jednem z naszych doświadczeń była wygładzona, i tą stroną medal był złożony na płytce czułéj; dzięki temu powstał wyraźny obraz strony nienaruszonéj. Gdyby pozostały obie strony, otrzymalibyśmy jeden na drugim obrazy obu stron, przez co rysunek byłby mniéj wyraźny. Przykład ten pokazuje nam, że fotografie za pomocą promieni Röntgena znaléźć mogą zastosowanie przy badaniu jednostajności blach i odlewów; każdy pęcherz wewnętrzny, okiem niedostrzegalny, każda szczelina wystąpi na fotografii wyraźnie. Prócz tego różne metale przepuszczają nowe promienie niejednakowo. Dzięki temu fotografia za pomocą promieni Röntgena wykazuje wyraźnie obecność miejsc wypełnionych metalami obcemi. Dość cienka płytka mosiężna z otworami, wypełnionemi cyną z ołowiem, była następnie przewalcowana, co jéj nadało grubość jednostajną, i pokryta dość grubą stosunkowo warstwą miedzi, tak że miejsca wypełnione cyną zostały dla oka ukryte zupełnie; na fotografii za pomocą promieni Röntgena wystąpiły one jednak bardzo wyraźnie.

Fotografia zwyczajna daje obrazy powierzchni ciał, fotografia zaś za pomocą promieni Röntgena, jak to widzimy z przykładów przytoczonych, wskazuje nam wewnątrz ciał miejsca gęstsze lub rzadsze od reszty, bardziéj lub mniéj przezroczyste dla tych promieni.

Zastosowania, jakie dzięki temu, ten nowy sposób fotografowania znaleść może, są oczywiste. Za pomocą niego wykrywać z łatwo-

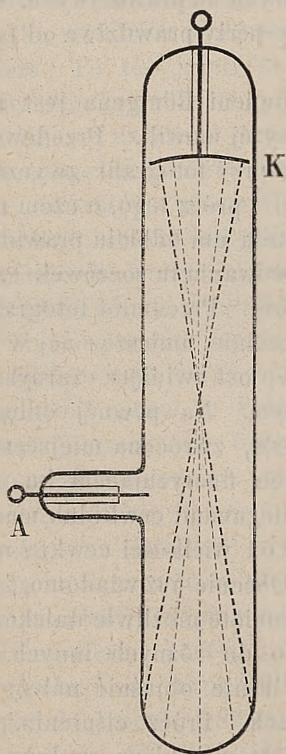
ścią można w ciele obecność ciał obcych, np. szkła, metali, które przepuszczają promienie *X* gorzéj jeszcze, aniżeli kości, złamania, zwichnięcia, zgrubienia i zwyrodnienia kości, pruchnienie ich i t. d.; udało się już nawet otrzymać fotografie kamieni żółciowych i pęcherzowych. Przyznać jednak należy, że zastosowania promieni Röntgena w chirurgii muszą być dość ograniczone. Większe korzyści, zdaniem naszém, osiągnąć tu może przemysł metalowy, przy badaniu blach, na co rzecz dziwna, zwrócono mniéj baczną uwagę.

Węgiel we wszystkich jego odmianach, jak węgiel kamienny, grafit i dyament, przepuszcza promienie Röntgena dobrze, lepiéj aniżeli szkło i metale. Można więc posługiwać się nowym sposobem fotografowania dla odróżnienia dyamentów fałszywych od prawdziwych. W podobny sposób odróżniać się również dają perły prawdziwe od fałszywych.

Sposób fotografowania za pomocą promieni Röntgena jest nader prosty i oczywisty już z tego, cośmy powyżéj mówili. Przedewszystkiém, ponieważ soczewki szklane, używane przy fotografii zwyczajnéj, są nieprzezroczystemi dla nowych promieni i prócz tego, o czém mowa jeszcze późniéj będzie, promienie te załamaniu ani odbiciu prawidłowemu nie ulegają wogóle, więc téż o zastosowaniu tu soczewek czy téż zwierciadeł skupiających mowy być nie może. Przedmiot fotografowany układa się na płytce czułéj, zakrytéj szczelnie, umieszczonéj w kasecie drewnianéj, pudełku tekturowém, lub wprost owinięty czarnym, dla światła zupełnie nieprzezroczystym papiérem. Na pewnéj odległości nad przedmiotem ustawia się rurka Crookes'a, zwrócona miejscem najmocniéj pod wpływem promieni katodalnych fluoryzującém ku przedmiotowi. Elektrody rurki łączą się z biegunami cewki lub maszyny elektrycznéj. Długość ekspozycyi zależy od wielkości cewki i w większéj jeszcze mierze od własności rurki. Obecnie już wiadomo, że rozrzedzenie wewnątrz rurki powinno być posunięte możliwie daleko. Nie wszystkie téż rurki Crookes'a poprzednio do różnych innych celów używane, nadają się w tym celu. Tém właśnie objaśnić należy wiele prób niepomyślnych w różnych pracowniach. Prócz ciśnienia, zdaje się że i własności szkła, z jakiego rurka jest wyrobiona, wpływają na natężenie promieni przez nią wysyłanych.

Przy użyciu téj samej rurki długość ekspozycyi może być tém mniejsza, im większe jest napięcie wyładowań przez rurkę przepuszczanych, a więc przy użyciu cewki potężniejszéj, czas ekspozycyi skrócić można znacznie. Wreszcie zwrócić tu należy uwagę na jedną jeszcze, niedość dobrze przez wszystkich rozumianą okoliczność. Wyładowania cewki indukcyjnéj nie są ciągłe, lecz przerywane. Wskutek tego

i czynność rurki pod wpływem tych wyładowań jest przerywana. Częstość przerw, zależy, rzecz oczywista, od częstości przerywań prądu pobudzającego cewkę, a więc od przerywacza cewki. Otóż im częstsze są te przerwy: im szybciéj drga przerywacz, tém dłużéj właściwie mówiąc rurka jest czynną w pewnym okresie czasu, tém krótszą może być ekspozycya. Dla tego téż cewki ze zwyczajnymi przerywaczami sprężynowemi nadają się tu lepiéj, aniżeli cewki ze znanemi fizykom przerywaczami rtęciowemi [1]). W pracowni Siemens'a i Halske'go w Berlinie przy zastosowaniu osobliwego przerywacza, dającego bardzo wiele przerw w sekundzie, zdołano po raz pierwszy otrzymać zdjęcia przy ekspozycyi stosunkowo bardzo krótkiéj [2]).



Wyrazistość fotografii w sposób opisywany otrzymanéj, zależy od tych samych przyczyn, od jakich zależy wyrazistość cieni wogóle. Cień jest tém wyraźniejszy, im mniejsze jest ciało świecące, i im daléj źródło światła jest umieszczone. Promienie Röntgena są wysyłane przez fluoryzujące części ścianek rurki. Im lepiéj są skupione promienie katodalne na ściance rurki, tém mniejsza jéj powierzchnia (za to tém mocniéj) fluoryzuje, i obrazy otrzymywane są tém wyraźniejsze. Promienie katodalne z łatwością skupiać się dają przez użycie katodu wklęsłego. Dokładne jednak skupienie tych promieni w pewném miejscu na ściance rurki nie jest pożądaném, gdyż miejsce to ogrzewa się przy dłuższém działaniu promieni bardzo mocno, tak że szkło roztopić się może. Jakkolwiek przy dokładném rozrzedzeniu powietrza w rurce ogrzewanie

---

[1]) Mieliśmy sami sposobność przekonać się, że wielka cewka z przerywaczem rtęciowym wymagała dłuższéj ekspozycyi, aniżeli cewka niewielka z przerywaczem sprężynowym, jakkolwiek cewka pierwsza dawała iskry o długości 10, mała o długości zaledwie 3 centymetrów.

[2]) Tém również objaśnić należy, dlaczego wahania elektryczne, wytwarzane przez transformator Tesli, bardzo często do tych doświadczeń używany, wymagają ekspozycyi krótszéj, aniżeli zwykłe wyładowania cewki indukcyjnéj nawet przy jednakowéj długości iskry, mierzącéj wielkość napięcia wyładowań.

się jéj jest słabsze, mimo to lepiéj nadają się rurki, w których promienie katodalne działają bardziéj równomiernie na większą powierzchnię rurki; wówczas można posługiwać się ekranem metalowym z niewielkim otworem, przepuszczającym promienie wychodzące z niewielkiéj tylko części powierzchni ścianki fluoryzującéj. Myśmy sami otrzymali wyniki najlepsze (bez ekranu) z rurką walcową o średnicy 2—3 centymetrów i o takiém skupieniu promieni katodalnych, że całe dno rurki fluoryzowało jednostajnie. Rurka ta przedstawiona jest na rycinie załączonéj; *K* oznacza katod, *A* anod; linie kropkowane oznaczają kierunek promieni katodalnych. Co się zaś tyczy powiększania odległości rurki od przedmiotu fotografowanego i płytki czułéj, to pamiętać należy, że wygrywając na wyrazistości obrazów otrzymywanych, tracimy na czasie ekspozycyi, ponieważ natężenie działania promieni Röntgena jest mniéj więcéj odwrotnie proporcyonalne do kwadratu z odległości od rurki, tak że powiększając odległość dwa razy, długość ekspozycyi powiększyć należy cztery razy. Ze wzmiankowaną rurką, przy posługiwaniu się cewką ze zwyczajnym przerywaczem sprężynowym, dającą iskrę o długości 4 — 5 centymetrów, otrzymaliśmy zupełnie dobre zdjęcia po ekspozycyi 10-ciominutowéj, przyczém odległość przedmiotu fotografowanego od rurki wynosiła 10 centymetrów. Czas ekspozycyi zmniejszyć znakomicie można przez użycie cewki potężniejszéj, przerywacza, dającego przerwy częstsze i t. d. Jak wpływają te warunki na długość ekspozycyi, za dowód niechaj posłuży, że w wielu miejscach zdołano już otrzymać wyraźne zdjęcia po ekspozycyi kilkusekundowéj.

W braku cewki indukcyjnéj posługiwać się można również maszyną elektryczną Holtz'a lub Voss'a; maszyny takie są tańsze, a wskutek tego bardziéj rozpowszechnione, aniżeli cewki indukcyjne.

Przy wielkich napięciach wyładowań zdarza się niekiedy, że rurka pęka, od zbytniego rozgrzania się, lub téż przez działanie iskier, przebiegających pomiędzy elektrodami po powierzchni szkła. Wskutek tego zamiast stosunkowo kosztownych rurek Crookes'a, używają niekiedy zwyczajnych lampek elektrycznych żarowych, łącząc jeden biegun cewki (lub maszyny elektrycznéj) ze szczepionymi razem końcami platynowymi włókienka węglowego, drugi zaś z kawałkiem cynfolii, nalepionym w odpowiedniem miejscu na powierzchni rurki. Powietrze zawarte wewnątrz lampki bywa rozrzedzone tak znacznie, że przy opisaném połączeniu pod wpływem wyładowań elektrycznych ścianki lampki fluoryzują i wysyłają promienie Röntgena. Wprawdzie z powodu nieprzygotowania do doświadczeń podobnych, lampki ulegają

nader często uszkodzeniu przez iskry; w wielu jednak razach posługują się niemi z pomyślnym skutkiem.

W tych razach, gdy nie chodzi o utrwalenie obrazu cienia, wielkie korzyści oddać może ekran, pokryty substancyą fluoryzującą. Osławiony „kryptoskop” prof. Salvioni'ego składa się wprost z rurki tekturowéj, z poprzeczną przegródką papierową, pokrytą substancyą fluoryzującą. Rurka ta ustawia się tak, by promienie Röntgena w nią trafiały; na ich drodze, przed przegródką, umieszcza się przedmiot badany i ogląda się cień na niéj powstały przez drugi koniec rurki. Jak widzimy, przyrząd ten nie stanowi żadnego nowego odkrycia, jak o tém pisma codzienne głosiły, gdyż i Röntgen przedewszystkiém wytwarzał cienie na ekranie fluoryzującym. Jeszcze mniéj ścisłe jest twierdzenie, że prof. Salvioni uczynił promienie Röntgena widzialnemi dla oka, ponieważ i w jego „kryptoskopie” nie promienie te bezpośrednio, lecz fluorescencya przez nie sprawiana działa na siatkówkę oka.

Aby wyczerpać wiadomości dotychczasowe o własnościach promieni Röntgena, nadmienimy tu jeszcze o rozpraszaniu przez nie ładunków elektrycznych. Ciała naelektryzowane dodatnio lub ujemnie, pod działaniem tych promieni tracą bardzo szybko ładunek niezależnie od tego, czy są otoczone powietrzem, czy téż jakimbądź innym nieprzewodnikiem elektryczności, np. siarką, parafiną i t. d. Widocznie pod wpływem promieni Röntgena nieprzewodniki poczynają przewodzić elektryczność z ciała naelektryzowanego na przewodniki sąsiednie, a więc i do ziemi. Wiadomo, że w podobny sposób działają na ciała naelektryzowane ujemnie promienie po-za-fiołkowe. Właściwie mówiąc, nie jest jeszcze stanowczo wiadome, czy działanie to promieni nowych na ładunki dodatnie i ujemne jest jednakowo energiczne, czy téż nie. Promienie Röntgena sprawiają obfitsze skraplanie się pary wodnéj, zawartéj w powietrzu przy szybkiém jego rozprężaniu, a znany powszechnie radiometr, składający się z lekkiego wiatraczka, umieszczonego w opróżnioném naczyniu szklaném i obracający się pod wpływem promieni cieplikowych, zatrzymuje się w swym ruchu pod działaniem promieni Röntgena i poczyna wahać się około pewnego położenia równowagi.

Na tém poprzestać możemy w opisie poznanych dotychczas własności tych nowych i ciekawych promieni. Wzbudziły one zaciekawienie całego świata naukowego; to téż pisma specyalne są zapełnione wiadomościami o nowych nad niemi spostrzeżeniach, odkrywającemi powoli tajemnicę ich istoty.

Röntgen sam podał myśl, że promienie X są objawem podłużnych drgań w eterze. Inni uczeni widzą w nich promienie podobne do po-zafiołkowych, lecz o znacznie krótszych falach; niektórzy (Salvioni) przypuszczają, że cząsteczki katodu i resztek gazu zawartego w rurce Crookes'a przenikają przez ścianki rurki i sprawiają na zewnątrz jéj działania przez Röntgena dostrzeżone; pewna wreszcie część uczonych chce widziéć tu działania elektryczne, coś w rodzaju wyładowań, tak zwanych cichych.

Że promienie Röntgena nie są promieniami katodalnemi, jak niektórzy pierwotnie przypuszczali, wątpliwości obecnie nie ulega żadnéj. Promienie katodalne wydostawać się nie mogą z rurki przez grube stosunkowo jéj ścianki; promienie katodalne odchylają się pod wpływem magnesu, czego z promieniami Röntgena nie dostrzega się wcale; promienie katodalne, jak to wynika z badań Lenard'a, ulegają większemu pochłanianiu i rozpraszaniu w powietrzu, aniżeli promienie Röntgena, które przebiegają w powietrzu, jak wykazały najnowsze badania Perrin'a, ściśle po liniach prostych i których natężenie podlega prawie zupełnie dokładnie prawu odwrotnych kwadratów odległości. Promienie katodalne nie przenikają przez zasłony dla promieni X przezroczyste. I. I. Thomson umieścił wewnątrz rurki Crookes'a na drodze promieni katodalnych płytkę czułą, okrytą szczelnie zasłoną, przezroczystą dla promieni Röntgena, działających na zewnątrz rurki; klisza nie wykazała wcale działania promieni katodalnych. Wątpliwości obecnie nie ulega żadnéj, że ścianki rurki, fluoryzujące pod wpływem promieni katodalnych, wysyłają na wszystkie strony, prócz promieni widzialnych, jeszcze i promienie Röntgena.

Röntgen przypuszczenia swe co do istoty promieni X opiéra na tém, że promienie X nie ulegają załamaniu, ani téż nie okazują objawów polaryzacyi. Tak istotnie, jak to już wiemy z poprzedniego, zachowywać się winny fale podłużne. Jednak fakty te nie przeczą wcale hypotezie, według któréj mamy tu do czynienia z bardzo krótkiemi falami poprzecznemi. Widzieliśmy powyżéj, że promienie świetlne załamują się wogóle tém mocniéj, im krótsze są odpowiadające im fale. Nie jest to jednak prawo ogólne, gdyż dla ciał, pochłaniających pewne części widma, zależność spółczynnika załamania światła od długości fali w tych i sąsiednich częściach widma jest inna. Długość fali widzialnych promieni świetlnych, jakkolwiek bardzo mała, jest jednak bardzo jeszcze wielka w porównaniu z odległościami międzycząsteczkowemi ciał; z zachowania się więc fal promieni widzialnych wnioskować jeszcze nie możemy o zachowaniu się fal znacznie krótszych, o długości np. mniéj więcéj równéj odległościom międzycząsteczkowym. W pierw-

szym razie fala zawadzi niezbędnie o eter o własnościach odmiennych [1]), otaczający bezpośrednio cząsteczki ciał; szybkość więc jéj wewnątrz ciała będzie inna, aniżeli przed wejściem w ciało i fala w skutek tego ulega załamaniu. Fala zaś nader krótka, o długości mniejszéj lub równéj odległościom międzycząsteczkowym, może o eter pozostający w bezpośredniém zetknięciu z cząsteczkami nie zawadzić wcale, szybkość jéj po wejściu w ciało nie zmieni się i załamania nie będzie. Dla tych samych powodów, skoro przyjmiemy, że promienie Röntgena polegają na bardzo krótkich falach eteru poprzecznych, pojmiemy z łatwością, że i polaryzacyi mogą one nie ulegać wcale, jak to wykazują szczególniéj doświadczenia I. I. Thomsona. Przypuśćmy, że długość tych fal pozostaje w takim stosunku do długości fal promieni świetlnych widzialnych, jak długość fal tych ostatnich promieni do długości fal promieni elektromagnetycznych [2]). Środki, polaryzyjące odpowiednio promienie Hertz'a (siatki druciane), nie są w stanie polaryzować promieni świetlnych; zrozumiéć więc możemy, że środki, polaryzujące promienie świetlne, mogą nie polaryzować promieni X. Röntgen dostrzegł, a badania późniejsze potwierdziły, że nowe promienie nie ulegają prawidłowemu odbiciu od powierzchni zwierciadlanych dla promieni świetlnych: powierzchnie takie rozpraszają promienie X, jak powierzchnie chropowate rozpraszają promienie świetlne. I to wynika łatwo z postawionéj hypotezy, bo skoro blacha metalowa, najzupełniéj prawidłowo odbijająca promienie Hertz'a, promienie świetlne rozprasza, dziwić się nie należy, że powierzchnie, prawidłowo odbijające promienie świetlne, rozpraszają promienie o falach znacznie krótszych.

Hypoteza fal poprzecznych, bardzo krótkich, nie przeczy poznanym dotychczas własnościom promieni Röntgena, ich działaniu na ciała fluoryzujące, na ciała naelektryzowane, na płytki czułe i t. d., skoro wiemy, że i promienie po-za-fiołkowe własności te posiadają. Pewną trudność nastręcza objaśnienie ich działania na radyometr; być może, że i inne działania w grę tu wchodzą.

Uczyniliśmy tu do pewnego stopnia wybór pomiędzy hypotezami fal poprzecznych i fal podłużnych. Nie zatrzymując się nad hypotezą prof. Salvioni'ego, o któréj dla jéj oryginalności tylko uczyniliśmy wzmiankę, nadmienimy jeszcze, że hypoteza, według któréj objawy przez Röntgena dostrzeżone przypisać należy działaniom podobnym do

---

[1]) Eter zawarty wewnątrz ciał materyalnych posiada własności zmienione tylko w pobliżu cząsteczek; większa jego część pozostaje niezmieniona.

[2]) Promienie te, wykryte i zbadane przez Hertz'a, różnią się od promieni świetlnych jedynie tylko długością fali.

wyładowań elektrycznych cichych, obejmuje sobą, właściwie mówiąc, odmienny szereg dostrzeżeń. Hypoteza ta opiéra się na dostrzeżeniu, że można otrzymać fotografie przedmiotów metalowych, umieszczonych wraz z kliszą w szczelnie zamkniętém pudełku, przez działanie wyładowań (tak zwanych cichych) potężnéj maszyny elektrycznéj lub cewki indukcyjnéj. O ile nam wiadomo, w sposób podobny otrzymywać można fotografie tylko przedmiotów metalowych, złożonych bezpośrednio na płytce czułéj. Prawdopodobnie wyładowania elektryczne, w tych przedmiotach wzbudzone, działają na czułe płytki fotograficzne.

Aż do dni ostatnich zdawało się, że dla powstania promieni Röntgena niezbędne są promienie katodalne, wzbudzające fluorescencyę w szkle rurki. Okazało się jednak, że niektóre ciała fluoryzujące i fosforyzujące, pobudzone do świecenia przez jakiekolwiek źródło światła, wysyłają prócz widzialnych również i niewidzialne promienie o własnościach dotychczas znanych tylko dla promieni Röntgena. Becquerel wykazał, że niewidzialne owe promienie, wysyłane przez fluoryzujące sole uranowe, przenikają przez papier dla światła nieprzezroczysty, przez cienkie płytki glinowe, działają na czułe płytki fotograficzne i rozpraszają ładunki elektryczne. Sole uranowe nie przestają wysyłać owych niewidzialnych promieni i w ciemności, wówczas gdy świecić widzialnie już przestały.

Każdy dzień przynosi nowe w téj dziedzinie odkrycia; zakres ciał fluoryzujących i fosforyzujących, wysyłających owe niewidzialne promienie, rozszerza się coraz bardziéj. Zdaje się, że nawet istoty świata organicznego są zdolne do wysyłania tych promieni. Przynajmniéj Le Bon przedstawił akademii nauk ścisłych w Paryżu fotografię żaby, otrzymaną, jak twierdzi, przez umieszczenie jéj w pokoju ciemnym na kasetce, zawierającéj płytkę czułą.

H. Poincaré w styczniu jeszcze r. b. stawiał pytanie, czy wogóle wszystkie ciała fluoryzujące nie wysyłaję prócz promieni widzialnych również i promieni Röntgena? Można już obecnie na pytanie to dać odpowiedź potakującą. A więc rola, jaką w doświadczeniach Röntgena promienie katodalne posiadają, przedstawi się nieco inaczéj, aniżeli dotychczas: stanowią one tylko środek najpotężniejszy ze wszystkich znanych do wzbudzania fluorescencyi. Znajdźmy środek inny, równie potężny, lecz prostszy, a wówczas sposób fotografowania, dostępny obecnie tylko dla fizyków, uprości się i rozpowszechni.

Niedługo zapewne czekać na to będziemy, sądząc z licznych badań i usiłowań w tym celu podjętych. Lecz i obecnie już pojąć możemy całą wartość naukową tych nowych wiadomości: zakres widma został znacznie rozszerzony. Z pewnych dostrzeżeń wynika, że istnieją pro-

mienie Röntgena różnorodne, różniące się zdolnością przenikania przez warstwy pochłaniające. Być może — o ile się godzimy z przyjętą powyżéj hypotezą — że różnią się one długościami fal. Są to wszystko pytania, na które tylko ścisłe badania naukowe stanowczą odpowiedź dać mogą. W każdym razie przy schyłku wieku XIX stoimy wobec odkrycia wielkiego, z którego korzyści uzyskać zapewne dopiero wiek XX zdoła.

Wiktor Biernacki.

Warszawa, w marcu 1896 r.



Swit XIX stulecia.

Kiedy mianowicie wiek nasz się rozpoczął? — Pod względem najszerzéj pojętych stosunków politycznych, urodził się on o kilka lat wcześniéj od chronologicznéj daty swojego przyjścia na świat. W chwili, gdy na chrześciańskim zegarze świata wybiła pierwsza tego wieku godzina, wszystkie donioślejsze, zasadnicze współczesne zagadnienia były już od lat pięciu i sześciu zapoczątkowane w rysach swych znamiennych, trwających podziś dzień, wykreślających drogi dalszym przeznaczeniom dziejowym. Najpierw, ugody petersburskie z 3 stycznia i 24 października 1795 r., stwierdzone następnie ogólnym aktem rozgraniczenia z d. 26 stycznia 1797, położyły kamień węgielny pod gmach owych przeznaczeń na gruncie terytoryalnego i moralnego zbliżenia się trzech mocarstw wschodnio-europejskich, Austryi, Prus i Rosyi, których związek zachowawczy, naturą pomienionych aktów wytknięty, objął w sobie dobrą połowę faktycznéj historyi okrągłego okresu lat stu [1]). W tymże samym czasie dwa inne rozległe prądy rozsunęły zakres przeobrażeń wszechludzkich na najdalsze od Europy krańce: amerykański ku zachodowi, azyatycki ku wschodowi. Z jednéj strony, jakby dla zrównoważenia strat poniesionych na starym lądzie, za-

[1]) T. Martens „Recueil, des traités et conventions conclus par la Russie avec les puissances étrangères, publié d'ordre du Ministère des affaires étrangères": St. Petersburg. t. II, 1895, str. 214 i nast., 261 i nast., t. VI, 1883, str. 163, 244.

atlantycki ląd nowy wyłonił z siebie potęgę niezawisłą, własnemi siłami starczyć sobie powołaną, o hasłach i uroszczeniach odrazu zrozumianych przez cywilizacyę europejską; w latach 1794 — 95 zwiedzał nową tę ziemię najrzetelniejszy przedstawiciel ustalonych w Europie porządków i był świadkiem pierwszego jéj wystąpienia na zewnątrz (w Indyach) w charakterze przyszłego współzawodnika wszechwładztwa Anglików na morzach, a okoliczność ta wydała się mu o tyle ważną, że ją opatrzył uwagą: „trudno przewidzieć jaka stąd wywiąże się przyszłość; niepodobna jéj ogarnąć ani ująć w karby" [1]. Z drugiéj znów strony—a zawsze w téjże granicznéj, przełomowéj dobie 1794 — 95, zmienił się do gruntu układ sił w najzawilszéj, najcięższéj do rozwiązania „kwestyi wschodniéj", pojętéj jako sukcesya po „chorym człowieku", u którego łoża, po szeregu klęsk zamkniętych na razie pokojem w Jassach (1792), stanęły: z tytułami do spadku—zamiast Austryi—Rosya, zaś w roli strażniczéj, zamiast osłabionéj na morzu Francyi — Anglia, wyparta z głównych kolonialnych swych siedzib w Ameryce. Akurat w sierpniu 1795 najwybitniejszy z mężów stanu Wielkiéj Brytanii, Pitt, skréślił wstępny zarys olbrzymiego planu, którego urzeczywistnienie wypełnić miało po sam wierzch niemal drugą z rzędu połowę faktycznéj historyi wieku XIX. „Zaczynam nabierać przekonania — pisał Pitt do swego brata, — że wypadnie całkowicie zmodyfikować nasze widoki, i że odtąd wielkie posłannictwo nasze przenieść trzeba będzie do Indyi wschodnich, gdzie jak sądzę zdobyć się możemy na tyle jeszcze powodzeń, ażeby zrównoważyć zdobycze Francuzów na lądzie europejskim".

Trzy tak szerokie widownie wypadków, zataczających się dokoła jednéj daty wspólnéj, (mniéj więcéj dokoła r. 1795), nie obejmują przecież jeszcze i nie wyczerpują całości. To dopiéro zewnętrzność powstającego świata, jego nieożywiona materya, jego geografia i anatomia zdarzeń powszechnych; historyozofia zaś tych zdarzeń wraz ze wszystkiemi jéj dźwigniami fizyologicznemi i psychologicznemi, gdzieindziéj obrała swe siedlisko, w innym punkcie osadziła środek swéj ciężkości. Według znanego orzeczenia Gervinusa, dzieje wieku XIX są tylko wydłużonym i rozcieńczonym dalszym ciągiem wielkiéj rewolucyi francuskiéj z końca wieku XVIII-go, odgłosem i odblaskiem krwawego dramatu lat 1789—92. I nie jest-że to dziwne, że ostatni akt tego dramatu, ostatnia scena tego aktu, ostatnie słowo téj sceny dopełniły się również w r. 1795", w pierwszéj jego połowie?..." [2]).

---

[1]) Memoires de Talleyrand, t. I, str. 243.

[2]) Sorel, „L'Europe et la Revolution", t. IV, str. 438—441.

Musimy przynajmniéj parę kartek poświęcić tak górującemu zjawisku. Bez obejrzenia środkowéj téj sprężynki ruchu, bez dotknięcia się do niéj, nie tylko ówczesne początki, ale téż i dzisiejsze końce boskiéj czy nieboskiéj komedyi znikającego za nami stulecia, wyglądałyby jak młyn bez wody, jak pociąg bez lokomotywy, albo raczéj — według wyrażenia Heinego, byłyby podobne do kapeli wojskowéj, któréj trębacze przyłożyli flejty do ust, dobosze w górę pałeczki wznieśli, muzyki zaś pomimo to nie słyszymy...

W dniu 20 kwietnia 1792 r. Francya wypowiedziała wojnę reszcie państw Europy. Odbyło się to w okolicznościach nie pozbawionych znaczenia, wobec typowo już późniéj w ciągu lat stu powtarzających się wystąpień tego rodzaju. Ludwik XVI, który od chwili zaprzysiężenia organicznych ustaw kraju (14 września 1791) był tylko wskazówką barometryczną na tarczy uchwał Konstytuanty i postanowień swojego gabinetu, wówczas, gdy te postanowienia i uchwały odbywały się pod ciśnieniem otaczającéj atmosfery, zwanéj opinią publiczną i zależnéj, w ostatecznem obliczeniu, od stopnia nagrzania izb klubowych i stancyek redakcyjnych, — Ludwik XVI oznajmił w przeddzień reprezentantom narodu, że ich odwiedzi nazajutrz w południe. Jakoż, stawiwszy się najpunktualniéj w oznaczonéj porze, król w cichości przeznaczone zajął dlań skromne miejsce konstytucyjne obok przewodniczącego. W sali panowało milczenie grobowe. Trybuny przepełnione były wspaniałemi strojami dam. Na ulicach i dokoła gmachu posiedzeń huczały tłumy, wołające o usunięcie tyranów i uwolnienie wprzężonych do ich jarzma ludów. Na wezwanie króla, jenerał Dumouriez, minister spraw zagranicznych, odczytał memoryał o stosunkach Francyi do mocarstw zagranicznych, — długi szereg oskarżeń i wywodów polemicznych, skierowanych głównie przeciwko Austryi, właściwie zaś przeciwko domowi rakuzkiemu i cesarskiemu bratu królowéj Francyi, Maryi-Antoniny. W zarysie embryologicznym, w oświetleniu najzupełniéj lokalnem, zastosowanem do nastroju danéj chwili i danego otoczenia, pomieniony referat był zwięźle streszczoną historyą rewolucyi od daty zwołania w maju 1789 Stanów jeneralnych, od daty stopienia się ich w jedno ciało przedstawicielskie pod nazwą Zgromadzenia narodowego, aż do ogólnych wyborów na Konstytuantę (wrzesień-październik 1791) i odtąd aż do ostatniego okólnika kanclerza austryackiego Kaunitza z d. 17 lutego 1792, poprzedzonego szeregiem dokumentów téjże wagi i tegoż pochodzenia, a powodujących jakoby wojnę. Powoływał się mianowicie Dumouriez: 1) na wezwanie cesarza Leopolda (brata Maryi-Antoniny) wystosowane w d. 6 lipca 1791 do dworów europejskich i nakłaniające mocarstwa do wspólnéj obrony

od „motłochu paryskiego” rodziny królewskiéj, uwięzionéj po jéj mimowolnym powrocie z ucieczki w czerwcu tegoż roku; 2) na deklaracyę cesarza Leopolda i króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II z d. 27 sierpnia (1791) z Pillnitz, zapowiadającą, że w razie przedłużającego się stanu rzeczy we Francyi i niewoli Ludwika XVI, Austrya i Prusy, za zgodą innych, gotowe są wysłać swe wojska ku granicom Francyi; 3) na notę Kaunitza z d. 21 grudnia 1791 i na wspomniane już *ultimatum* z d. 17 lutego 1792, wymagające, pod groźbą represyi państw sprzymierzonych: a) wynagrodzenia możnowładców i szlachty alzackiéj za straty poniesione w skutek zniesienia przez zgromadzenie narodowe praw feudalnych; b) oddania Papieżowi zabranéj mu dziedziny avignońskiéj; wreszcie c) ustanowienia we Francyi rządu, zabezpieczającego państwa europejskie od propagandy demokratycznéj i jakobińskiéj [1]).

Dumouriez przyćmił lub zretuszował w swym wywodzie szczegóły dotyczące: po pierwsze, usunięcia z dyskusyi odezwy padewskiéj; powtóre, cofnięcia deklaracyi pillnitzkiéj po przystąpieniu Ludwika XVI do konstytucyi; po trzecie zamilczał, że noty Kaunitza w sprawie alzackiéj i avignońskiéj ogromnie złagodzone zostały na podstawie rokowań prowadzonych przez księcia de Noailles w Wiedniu i Segur'a w Berlinie. Uległy trawestacyi, szczególnie ostatnie, ustępstwa i modyfikacye Kaunitza (np. z d. 18 marca 1792), sprowadzające spór i nieporozumienie niemal do rozmiarów czczéj formalistyki dyplomatycznéj. Należy to dziś zresztą do faktów ostatecznie stwierdzonych, że w zamętnych i okropnych tych czasach ani Austrya, ani Prusy bynajmniéj nie pragnęły zbrojnego zatargu z Francyą, jako pochłonięte całkowicie wypadkami na wschodnich i północnych swych granicach, gdzie nieskończenie więcéj było wtedy do stracenia przez jednych, do wygrania przez drugich, niźli w obronie „platonicznego” honoru córki Cezarów i „poltroneryi” królewskiego jéj małżonka, jak się w przystępie złego humoru wyrażał niekiedy Kaunitz [2]).

Na mocy wszystkich tych sztucznie zamglonych lub krzywo oświetlonych przesłanek, referat francuskiego ministra spraw zagranicznych kończył się na wniosku o nieuniknioności wojny... Grzmot oklasków. Poczém wraz Ludwik XVI powstał i głosem matowym, spokojnym, jak gdyby chodziło o stracenie kilku rzezimieszków lub o zapłacenie kilku-

---

[1]) Zob. zbiór aktów z epoki rewolucyjnéj, ogłoszonych przez Bucher'a i Roux'a, t. XIII, 340 i nast., t. XIV, 24 i nast.; cytaty w Ch. A. Fyfe'a „Historya Europy“, tłóm. ros., Moskwa, 1889, t. I, str. 3, 8.

[2]) Sorel, II, 410—436.

nastu dukatów przegranych w karty, stwierdził w obliczu rozpromienionych nareszcie członków Konstytuanty, że sam on i jego gabinet zgadzają się na konkluzyę memoryału; ponieważ zaś — dodał — wszelkie usiłowania jego rządu na rzecz pokoju spełzły na niczém, zgodnie tedy z konstytucyą uważa za swój obowiązek zaproponować wydanie wojny monarsze austryackiemu... Po krótkiéj odpowiedzi przewodniczącego, król opuścił salę wśród nieskąpych tym razem wiwatów, a posiedzenie zawieszono do godziny 5-éj z południa. Na zebraniu wieczorném, odświeżonem w nurtach zapału ulicznego i klubowego, daremnie kilku ludzi roztropnych, odłamanych z krańców białych i czerwonych, usiłowało głos zabrać. Wniosek o odroczeniu rozpraw na dzień następny odrzucono, narady przez aklamacyę zamknięto, propozycya zaś królewska, w głosowaniu imienném, utrzymała się większością wszystkich głosów przeciwko siedmiu. Roczniki przechowały nam nazwiska lilipuciéj téj mniejszości; zapiszemy je tutaj, bez względu, a raczéj dla tego właśnie, że głucho o nich w historyi późniejszéj: Baërt, Becquet, Dumas (M.), Gentil, Hua, Jaucourt, Lameth (Th.) [1]).

Jakie były istotne do wojny powody, problemat ten jest za dni naszych prawie bez obiektu. Każdy z historyków wynajduje inne za lub przeciw; roztrząsanie tego materyału ma taki pozór, jak gdybyśmy położnicę zapytywali przed samym połogiem, skąd przesilenie powstało. Narodami, w epokach niezwykłego wezbrania w nich sił żywotnych, zmierzających do wyłonienia i okazania światu czegoś nowego, tak samo jak i rodzicielką rzuconą na łoże boleści, wstrząsają i targają niepodzielnie dwa tylko uczucia: pragnienie czém rychlejszego rozwiązania i jego obawa, przyczém pragnienie zawsze i niemal bez wyjątku bierze górę, zwycięża. Lękali się wojny przedewszystkiém stronnicy Ludwika XVI, ażeby nie pochłonęła ona fortuny Francyi i z nią resztek władzy monarchicznéj; lękali się jéj wszechmocni teraz konstytucyonaliści, ażeby nie wyrzuciła z siebie jakiego Monka lub Kromwela; lękali się republikanie wszelkich odcieni, ażeby szczęk broni nie zgłuszył ich programatów i teoryi o wszechrówności obywatelskiéj i społecznéj, zyskujących coraz szerszy posłuch w masach proletaryatu wiejskiego i miejskiego. I wszyscy jednocześnie na wyścigi parli się ku tej wojnie: biali dla zrzucenia z siebie podejrzeń, że kiedykolwiek wchodzili w konszachty z emigracyą i nieprzyjaciółmi kraju; błękitni w widokach pchnięcia w ogień bojowy szumowin rewolucyjnych, pnących się na wyżyny państwowe; czerwoni wreszcie wołali o wojnę w niepłonnéj nadziei, że po wymarszu na granicę wojsk regularnych, tém pewniéj

---

[1]) Sorel, II, przypisek na str. 434.

i szybciéj dorwą się do steru z pomocą niedorostków, kobiet i gwardyi narodowéj. Najgoręcéj atoli dopominał się o odpowiednie zbrojne wystąpienie Robespierre — on, dla którego wojna najbardziéj była wstrętna. „Wojna? — Tak jest, wojna! — huczał rozpalony. — Ja również żądam wojny, ja również do niéj wzdycham z głębin méj duszy, ale do wojny takiéj, jakąby z siebie wylał geniusz wolności, jakąby ją stworzył sam lud francuski, nie zaś jakiéj pożądać mogą intryganci nędzni... Ale cóż? Oto spostrzegam mówców poprzednich, jak mi znak dają, żebym zaprzestał, oto pan Brissot (przywódca konstytucyonalistów) zapewnia mię, że całą tę sprawę prowadzić powinien pan hrabia de Narbonne, że się zaciągać mamy pod chorągwie pana margrabiego de Lafayette... Ach, Francuzi! na odgłos tych słów urok cały znika i zapada w ziemię, pierzchają marzenia wszelkie... Bądź zdrowa wolności ludów!..." Albert Sorel, przytoczywszy ciekawy, prześliczny ten kawałek krasomówstwa jakobińskiego, dodaje zaraz: „Od tego jednego uderzenia maczugi z trybuny rząd i stronnictwo konstytucyjne (Żyronda) uczuły się przygniecione i jakby zmiażdżone. Odtąd nie sposób już było obliczać, rozmyślać, oglądać się na to, co robić należy lub nie należy; wszystko, co żyło, zaczęło sztukować się entuzyazmem, udawać gwałtowność i wściekłość, wykrywać zamachy na swobody narodowe, parskać od nienawiści na dwór królewski. Na tém się obecnie zasadzała popularność, to dawało władzę. Konstytucyonaliści, wielce dbający o jedno i drugie, na oślep od téj pory rzucili się do ataku" [1]).

A wszakże stało się coś niezwykłego, niedostępnego pospolitemu trybowi naszych rozumowań w przedmiocie ścisłéj zawisłości skutków od przyczyn, sumy od składających się na nią części. Przyczyny były błahe i lekkie, jak piórko, skutki wypadły ciężkie, jak ołów. Wojna zapowiadała marny i bezcelowy krwi rozlew, wydała zaś najcenniejszy balsam na rany kiedykolwiek przez nią zadane. Ludzie żarli się z sobą o plewy powszedniego bytu, wypadki przyniosły im owoc po dziś dzień niespożyty. Jak przed trzema laty z zamętu wzajemnych niechęci i uprzedzeń rozmaitych warstw społecznych wysnuł się poemat ofiarnego ustępstwa z przywilejów rodowych i uroczystego obwieszczenia „praw człowieka", tak znów teraz, w 20-m dniu kwietnia 1792, ze starcia się egoizmów, zasadzek i nienawiści stronniczych trysnąć miał strop świateł, jutrzenka tychże „praw człowieczych" już nietylko dla jednostek, lecz dla ludów. Utopia, tylko promienna, czy też najcenniejszy kryształ mądrości zbiorowéj, przekazany w spuściznie prawnukom naszym przez początki wieku XIX, w każdym razie wylać się to

[1]) II, 359.

mogło jedynie z ust „najszlachetniejszego z filozofów przewrotu",— z ust Condorcet'a. Zrana, w oczekiwaniu na przybycie króla, rozwijał on przed deputowanymi swój projekt o „wychowaniu narodowém", niespożyty pomnik wszechstronnéj pomysłowości tych czasów, tak obfitych w idee płodotworne. Wieczorem, kiedy już doszczętnie wygorzał zapas szaleństw wojowniczych i szalbierstw politycznych, wszedł on ponownie na trybunę, wydobył spory rękopis i czytał. Sądzono z początku, że to dalszy ciąg przedpołudniowéj rozprawy,—o ile-że wydział wykonawczy usunął się już był z izby dla sformułowania postanowień Zgromadzenia. Ale wyrazy: „wojna—i ludzkość", „wojna—i postęp", „wojna—i ludzkość", „wojna—i sprawiedliwość" za często się w sprawozdaniu powtarzały. Zwrócono uwagę na mówcę. Po kwadransie — komisyę redakcyjną wypadło napowrót do sali przywołać. Przedstawiciele Francyi powstali ze swych siedzeń. Jeden okrzyk wydobył się ze wszystkich piersi... W uchwale wypowiadającéj wojnę, odbił się on następującym wiekopomnym wykładem motywów: „Zgromadzenie narodowe oznajmia, że naród francuski, wierny zasadom swéj konstytucyi nie podejmowania wojny w widokach podboju i nie podnoszenia oręża przeciwko swobodom jakiegokolwiek ludu, bierze się do broni jedynie w obronie swéj niepodległości — i że wojna, którą Francya zmuszona jest obecnie przedsięwziąć, nie jest wojną narodu z narodem, lecz słusznem wolnego ludu odparciem niesprawiedliwéj napaści postronnego władcy"... Bezwątpienia, orzeczeniu temu nie sądzono było wytrwać bez skazy do końca. Któż kiedy we krwi się nie pośliznął? Za mocnym na razie, nazbyt rażącym jeszcze blaskiem zajaśniał duch przyszłości, a drogi przed nim—jak się wyraził jeden z tegoczesnych uczniów Condorceta—wszystkie zawalone były gruzem ciemnoty i grudą przesądów. Świętości natchnień ożywczych nie wcielić w dniu jednym w opróżniony nabój instynktów zwierzęcych, nie zamknąć w zbutwiały frazes obłudy tradycyjnéj... Ale, cóżkolwiek bądź, stało się, cośkolwiek okroiło się z uchwały 20 kwietnia i dla pokoleń potomnych, za nami idących, — ocalało coś niecoś z tylu doświadczeń i klęsk [1]).

A klęski i doświadczenia, przez jakie Francya i Europa brnęły od kwietnia 1792 do listopada 1795, zdawały się przechodzić możliwą oporność wrażliwości istot najbardziéj znieczulonych, na skamienienie bodaj skazanych. Sto lat powszedniéj słoty, nędzy i kurzawy nie starło

---

[1]) F. Laurent. „Le Philosophie de l'histoire", Paryż i Gandawa, 1870, str. 531—539.

podziś dzień z tego obrazu —plam jaskrawych i płomiennych. Szczególnie gwałtowna, błyskawiczna w nim zmienność przejść i przeskoków od nadziei do rozpaczy, od upadku do tryumfu, od ożywienia do martwoty, mąci zmysły, nęka wyobraźnię, przytłacza umysł. Prawdziwa nawałnica niespodzianek, istny kataklizm zwrotów potwornych. Wczoraj zwycięzka bitwa głodnych paryskich odartusów pod Valmy, rejterada wyćwiczonych pułków Fryderyka W-go, wtargnięcie Dumouriez'a w posiadłości rakuzkie nad dolnym Renem, zajęcie Sabaudyi, zajęcie Moguncyi przez Custine'a, i słońce Jemappy — nazajutrz dzika napaść czerni na majestat wszechwładztwa narodowego, wrześniowe rzezie szlachty i księży po więzieniach, hańba proskrypcyjnych dekretów Konwencyi, błocko procesu Ludwika XVI-go, nikczemne pastwienie się nad nieletnim, chorowitym dziedzicem korony i ponura noc z 20 na 21 stycznia 1793. I znów po złowrogiém jęknięciu szafotowego pieńka, radośna, wesoła pieśń ochotników spieszących na odsiecz zagrożonego pogranicza alzackiego. Nieszczęścia spiknęły się zewsząd, chmury dokoła zasnuły windnokrąg. Z wyzwanym do boju wrogiem zareńskim, łączy się odwieczny wróg z tamtéj strony Lamanszy. Zdradza Dumoriez, powstaje Wandea, gdy tymczasem wewnątrz kraju, w samém sercu urodzonéj wśród walk i na zgliszczach Rzeczypospolitéj, wre nierząd i rozterka, na noże przeciwko sobie stają jakobini z żyrondystami, Komuna z Konwencyą. To nic. Na gmachach publicznych powiewa już chorągiew czarna, „ojczyzna w niebezpieczeństwie", — z chaosu wyłania się komitet ocalenia publicznego. Od marca do września 1793 Francya ugina się pod ciężarem przegranych bitew, niewypłacalnych długów, samowoli tysiąca drobnych despotów i rozpasania się żywiołów wojny domowéj Nieprzyjaciel znowu wkracza na jéj terytoryum. Naród wytęża ostatki sił, ścina, wypędza wodzów nieudolnych lub niemających szczęścia i na ich miejsce, pod niezłomnym kierunkiem Łazarza Carnot, powołuje młodych, prosto z szeregów ściągniętych. Walne zwycięstwo Jourdana nad Austryakami pod Wattignies (15 paźdź. 1793), szereg fortunnych potyczek Hoche'a z Prusakami, świetna wygrana pod Wissenbourgiem (26 grudnia), poskromienie Wandei przez Klebera i Marceau (12—23 grudnia), morderczy odwet na zbuntowanym Lyonie późniejszego ministra policyi burbońskiéj Fouchégo, odebranie Anglikom Tulonu przez przyszłego cesarza Francuzów Bonapartego (18 grudnia),—oczyściły i wygładziły pole... pod nowy tylko huragan strat i ciosów. Powstaje upiór terroryzmu robespierre'owskiego i ssie, dusi Francyę do współki z coraz groźniéj i gromadniéj tłoczącemi się wieściami najścia i zagłady od północy, od wschodu, od południa, ze strony Anglików, ze strony Prusaków, ze strony Austryaków, ze strony Hi-

szpanów. Wandeę raz jeszcze ogarnia płomień. Głód, bezrobocie, zaraza, rozboje po gościńcach, grabieże na urzędach, powódź fałszywych banknotów, rozpościerają panikę wzdłuż i wszerz najodleglejszych zakątków kraju. Ale i z tém jeszcze jakoś poradzi się sobie. Upiora zwali niebawem i zastąpi mniéj posępna lecz rozpustniejsza i swawolniejsza zmora thermidoryzmu (27 lipca 1794), połączone armie Anglii i Austryi zaszachuje Pichegru, utarczkami nad Sambrą (maj—czerwiec 1794), z głodem upora się gilotyna, pociągająca do odpowiedzialności każdego, kto drzwi swojego kramu zamknął lub w rozwartych sprzedawał żywność powyżéj ustanowionego przez urząd *maximum*, z Wandeą załatwią się Hoche i Tallien, zbyt późno wprawdzie w lipcu 1795, ale za to skutecznie i ostatecznie—na dnie morza, uwiązawszy pobitéj kamień do szyi. Co do reszty... — straszna to była reszta. Pod koniec roku 1794 (październik-grudzień) dochodziło do tego, że już po stolicach Europy dawano na mszę św. za duszę arcy-chrześciańskiego niegdyś państwa i narodu. Zajęta aż dotąd bliższemi od siebie sprawami, głównie chronicznemi niesnaskami z Turcyą, Rosya, na mocy ugody zawartéj z Anglią w d. 25 marca 1793 r., ponowionéj następnie w Petersburgu d. 18 lutego 1795, zdecydowała się nareszcie położyć kres „gospodarce opryszków nad Sekwaną” i siły swe, tak lądowe jak morskie, połączyć z koalicyą. Flocie południowéj, na morzu Śródziemném, wysłano już rozkaz odpowiedni; flota północna, baltycka, oczekiwała tylko na spłynięcie lodów z pod Kronsztatu. Na odgłos błogiéj téj nowiny, w Madrycie zapalono parę stosów, w Londynie sprawiono Pittowi siarczystą owacyę... [1]). Naraz, na alzackich i flandryjskich kresach Francyi zaległa cisza, jak makiem posiał. Jeszcze w lipcu 1794 zwąchali szpiegi, następnie doniosły przednie czaty wojsk Jourdana i Pichegru, że na całéj przestrzeni — jak daleko zajrzéć — do Renu, do Antwerpii, do Kolonii, błąka się zaledwie kilka nieprzyjacielskich brygad, szukających przeprawy. W mgnieniu oka uderzono w bębny... Cóż się to stało? — Odpowiedź w tym punkcie historyków jest jednozgodną, jednomyślną: Prusacy nie dotrzymali placu. Lud to ubogi, pracowity, wychowany na moczarach pomorskich, na piaskach brandenburskich, łatwo przeto zniechęcił się do ciągłego widoku zamożności, zamków, wzgórzy, winnic nadreńskich, obmierził sobie krajobraz suto uprawnéj, tłustéj gleby burgundzkiéj i szampańskiéj. Od początku przenosił on nad te skarby i piwnice — chudą, równą, bagnistą, zaniedbaną, sponiewieraną, a w nieskończoność się ciągnącą nizinę nad-

---

[1]) T. Martens „Recueil des traités“, t. IX (X), „traités avec l'Angletterre“, St. Petersburg, 1892, str. 310—379.

wiślańską, z podgniłemi na niéj zrębami chat, z łatanemi na chatach strzechami, z wynędzniałym po zapadłych drogach dobytkiem. Kilka miesięcy przedtém, stało tam jeszcze parę rogatek, więc próba, na razie, nie zupełnie się powiodła. Ale, gdy i to wreszcie upadło, —w czwał ruszono z pod Moguncyi, z taborem, z końmi, z ciurami i dziećmi [1]).

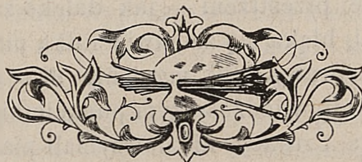
Francya drgnęła. Ocalona była. Grubsze fale potopu odpłynęły od niéj. Zagadnienie to sprowadza się do prostszego, prościéj i prozaiczniéj postawionego kilka lat temu przez najnowszego angielskiego historyka wieku XIX, a mianowicie: „Ponieważ rok 1795 zamknął stanowczo, nieodwołalnie rodzajny, twórczy i burzliwy okres wielkiéj Rewolucyi francuskiéj, zachodzi tedy pytanie zasadnicze, nad którém baczniéj zastanowić się należy: co téż świeżego i pożądanego wylał ten wulkan na Europę i na świat?..." [2]).

Józef Tokarzewicz (Hodi).

---

[1]) S. Sołowjew, „Istoria padienia", Moskwa, 1863, str. 289, 291, 295, 299, 315, 342, 350. N. Kostomarow „Bumagi Repnina" w „Sbornik Imperatorskawo Ruskawo istoriczeskawo obszczestwa," t. XVI, str. 19 przedmowy i 215—222 tekstu

[2]) Ch. A. Fyfe, I, 77.



ZADANIA PANSTWA

na polu gospodarstwa społecznego.

(Dokończenie).

III.

W gospodarstwie rządzimy się przedewszystkiém korzyścią osobistą, egoizmem, do którego nakłania nas już sam instynkt samozachowawczy, wspólny wszystkim tworom organicznym. Teorya ta, wprowadzona do naszéj nauki przez klasyków angielskich, spotkała się z namiętną opozycyą przeciwnych obozów. W czasie gdy doktryna liberalna, zwyciężywszy na całéj linii, doprowadziła w praktyce do bardzo smutnych stosunków socyalnych, starano się obalić wszystkie jéj podstawy; w miejsce praw przyrody wprowadzono wszechwładzę ludzką, w miejsce egoizmu wzajemną miłość, altruizm. Twierdzenia te, o wiele błędniejsze i zgubniejsze od zasad liberalnych, przyczyniły się znakomicie do ugruntowania socyalizmu i anarchizmu. Marx oparł swój ustrój przyszły na wszechmocy ludzkiéj; jego zdaniem, stosunki dzisiejsze zawdzięczają swe powstanie naszemu systemowi gospodarczemu, obranemu dowolnie; Proudhon domaga się zniesienia wszystkich praw i wszelkiéj władzy, gdyż człowiek jest z natury dobrym, ma wrodzoną miłość bliźniego, wszystkie zaś błędy i braki, jakie dostrzegamy w obecnéj chwili, zawdzięczamy jedynie szkodliwym prawom, nieszczęsnemu rozwojowi historycznemu.

Konsekwencyą idei wszechwładzy ludzkiéj jest, jak widzimy, socyalizm, normujący z góry wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów, na altruizmie i wzajemności opiera się anarchizm, walczący sztyletem i dynamitem. Skutki te, wręcz sprzeczne ze swemi przesłankami, wskazują już same przez się ich błędy i nieprawdziwość, a tém bardziéj jeszcze potępia podobne doktryny ścisła teorya. Szkoła liberalna, mówiąc o egoizmie, popełniła jedynie błąd formalny, nie znalazła dokładnéj nań definicyi; cała krytyka opiéra się głównie na zwykłych, codziennych poglądach na treść egoizmu, nie zaczepia bynajmniéj jego istoty.

Interes osobisty, zwany krótko egoizmem, jest jedyną pobudką wszelkiéj gospodarczéj działalności ludzi. Każdéj pracy, każdego trudu podejmujemy się w przekonaniu, że rezultaty zwiększą nasz dobrobyt, dadzą nam korzyści, których nie mieliśmy przed tém. W życiu codzienném nazywamy egoistą samoluba, który wszystko poświęca dla swoich, najczęściéj materyalnych tylko interesów, który nie posiada żadnych szlachetniejszych uczuć, żadnych wznioślejszych myśli. Ekonomia przywiązuje do tego wyrazu zupełnie inne znaczenie. Nie chodzi tu o egoizm w zwykłém, trywialném znaczeniu, nie chodzi o sobkowstwo i miłość własną, owszem cel i pobudki mogą być bardzo szlachetne, gospodarz może się poświęcić dla drugich lub dla ogółu, może hołdować zaparciu się samego siebie, idącemu jak najdaléj. Mimo tego czyny jego będą ściśle egoistyczne, dąży bowiem zawsze do zwiększenia swego szczęścia, do spotęgowania swego zadowolenia, a tylko odmiennie niż inni na nie się zapatruje, innych potrzebuje rzeczy, by swą egoistyczną potrzebę zaspokoić. Słowo egoizm obejmuje w gospodarstwie bardzo obszerną dziedzinę, schodzi się mniéj więcéj z pojęciem r o z u m u. Korzyścią osobistą nazywamy w ekonomii wypadkową ze wszystkich pobudek decydujących o naszéj woli; egoizm jest rezultatem, powstałym z obliczenia wszystkich okoliczności, które wpływają na podmiot gospodarczy. Gdy po zastanowieniu się dochodzimy do przekonania, że w danéj chwili takie a nie inne postępowanie jest wskazane, gdy obieramy drogę, która według naszych subiektywnych zapatrywań wydaje się najodpowiedniejszą, natenczas kierujemy się korzyścią osobistą, egoizmem. Lecz i saméj korzyści nie należy brać w znaczeniu materyalném, lecz zupełnie ogólnie, jako największe zadowolenie, które na razie można uzyskać. Może ona być tak dobrze materyalną, jak i moralną, mogą na nią wpłynąć niższe i wyższe pobudki, może być poświęceniem drugich dla siebie i siebie dla drugich. Egoizm i korzyść osobista oznaczają pobudkę, która ostatecznie kieruje naszém postępowaniem, nie określają jednak jéj fizycznéj

lub etycznéj wartości. Skąpiec widzi swój cel w posiadaniu jak największéj ilości pieniędzy, rozrzutnik cieszy się, gdy może ich wydać jak najwięcéj, a chociaż dążenia ich są zupełnie różne, jeden i drugi, goniąc za szczęściem, będzie się starał o zwiększenie swych dochodów, jeden i drugi rządzi się egoizmem, gdyż wspólnym ich celem jest osobiste zadowolenie. Człowiek, którego w codziennném życiu nazywamy egoistą, i filantrop-marzyciel, poświęcający się zawsze dla drugich, działają zarówno pod wpływem korzyści osobistéj, albowiem obaj pracują dla swego szczęścia, chociaż pierwszy widzi je w sybarytyzmie, drugi w dobrobycie swego otoczenia. Zawsze i wszędzie kierującym motywem działalności gospodarczéj jest egoizm, interes osobisty podmiotu ekonomicznego.

Każde uczucie egoistyczne okazuje się na zewnątrz w dwojakim kształcie, rozszczepia się niejako na dwie gałęzi: z jednéj strony chodzi o utrzymanie obecnych stosunków, o zapobieżenie klęskom, zepsuciu, zniszczeniu, z drugiéj zaś dążymy do postępu, do polepszenia swojéj sytuacyi. Pierwszy odruch jest niższy, ściśle instynktowny, nikt nie chce stracić tego, co już posiada, każdy broni wszystkiemi siłami swéj własności; dążność do poprawienia swych stosunków opiera się na zupełnie naturalném pragnieniu coraz wygodniejszego życia, coraz dogodniejszego zaspokojenia swych potrzeb. Stąd też każdy człowiek pracuje w dwojakim celu; chodzi mu o utrzymanie i polepszenie swego bytu.

Skoro tylko zapytamy, jak daleko idą obowiązki rodziców względem dzieci, zawsze otrzymamy tę samą odpowiedź: ojciec winien dać swym synom przynajmniéj takie środki utrzymania, takie wychowanie, jakie sam otrzymał i posiada. Prawdziwość tego zdania uznano tak powszechnie, że w każdym prawie języku spotykamy się z wyrazem technicznym, który obejmuje je, jak gdyby jakieś pojęcie przyrodnicze, zupełnie stałe i pewne; takie znaczenie przywiązuje Anglik do swego *standard of life*, tak myśli Niemiec, używając wyrazu *standesgemäss;* my również hołdujemy temu poglądowi, mówiąc o „życiu według stanu.” W tym wypadku zapatrywania ogólne godzą się najzupełniéj z wywodami nauki, która w powyższych zdaniach widzi również całą istotę utrzymania swego bytu. Rzeczywiście, chcąc zapewnić dzieciom, a więc generacyom przyszłym, te same warunki rozwoju, należy przedewszystkiém umieć utrzymać swój byt społeczny. Niepodobna dać więcéj niż się posiada, dla tego téż mając przekazać drugim to wszystko, co się dostało od swych rodziców, musi się mieć prawo rozporządzania temi dobrami, muszą one wchodzić w skład naszego majątku; chcąc utrzymać swe dzieci na równém nam stanowisku, nie można dać

się wyprzedzić innym, należy jednakowym z nimi iść krokiem. Ktokolwiekby sądził, że dopełnił swych obowiązków, dając swym synom 300 złr. rocznie, ponieważ sam tylko tyle od swych rodziców otrzymał, myliłby się niewymownie, gdyż stosunki zmieniły się zupełnie. Dochód, który przed laty trzydziestu zapewniał znośne życie, dzisiaj nie wystarcza na pokrycie nawet połowy potrzeb, drabina społeczna wzrosła nieniesłychanie. Chcąc pozostać na téj saméj wysokości, należy postąpić kilka szczebli naprzód, niewolno zatrzymać się bezmyślnie w miejscu zajętém przed laty. Ojciec, dający dzieciom ilościowo tylko te same środki do życia, spycha je w warstwę niższą, gorzéj uposażoną, nie czyni zadość swym obowiązkom. Jak żaden kupiec nie zechce na podwodzie sprowadzać swych towarów, chociaż czynił to dawniéj, tak też nikt nie utrzyma się dzisiaj za to, co mu wystarczało poprzednio. W gospodarstwie nie chodzi nigdy o arytmetyczne, absolutne tylko cyfry, zajmujemy się bowiem stosunkiem człowieka do rzeczy; celem naszym nie jest pewna wysokość poprzednika lub następnika, lecz korzystny dla ludzi wykładnik, bez względu na to, z jakich on cyfr powstaje. Zatrzymując wyraz pierwszy, czyli dochód, w pierwotnéj wysokości, a pozwalając równocześnie rosnąć drugiemu — potrzebom, zmieniamy stosunek na szkodę człowieka, rozmijamy się ze swém zadaniem. *Byt swój utrzymujemy tylko wtedy, gdy pokrywamy swe potrzeby do téj saméj co dawniéj granicy, a zarazem nie dając wyprzedzić się innym, zachowujemy swe pierwotne stanowisko społeczne.*

Jak każda jednostka, tak i społeczeństwo kieruje się egoizmem w swém postępowaniu. Cokolwiek narody czynią, jakiekolwiek obierają drogi, zawsze przyświeca im myśl własnéj, niejako społeczno-osobistéj korzyści. Wszelkie deklamacye o altruistycznych obowiązkach państwa, wszelkie żądania, by ono przedsiębrało pewne czyny i kroki, nie bacząc na swój zysk lub szkodę, nie mają żadnéj podstawy. Przecież naród nie jest żadnym odrębnym tworem, oddzielonym chińskim murem od człowieka, mającym odmienne organy, sobie tylko właściwe zmysły i uczucia; przecież społeczeństwo jest zbiorem jednostek, połączonych jedną potężną nicią — językiem, historyą, religią, czy cywilizacyą — czuje i działa za ich pośrednictwem, nie może się więc uwolnić od wad i zalet swych członków, nie może zachować się obojętnie wobec popędów i pobudek wstrząsających jego obywatelami, nie może poddawać się innym, odmiennym. Naród składa się z ludzi, jest zbiorem jednostek działających egoistycznie, egoizm więc musi kierować jego postępowaniem. Lecz społeczeństwo nie jest jednolitą całością, nie jest posągiem wykutym z jednego odłamu, stąd też egoizm społe-

czny ma pewne cechy charakterystyczne, które nie zmieniają wprawdzie jego natury, lecz wpływają na jego zewnętrzną formę, nie naruszając jego treści, naznaczają mu częstokroć odmienny sposób postępowania, wskazują nowe drogi, prowadzące do tego samego celu. Jak trójkąt ostrokątny i równoboczny są trójkątami, chociaż mają swe specyalne cechy, tak i egoizm indywidualny i społeczny, zgadzając się co do swéj istoty, różnią się najczęściéj swym kształtem. Lecz jak między trójkątami różnice są tylko wewnętrzne, na zewnątrz zaś przedstawiają się jednolicie jako figury o trzech bokach i kątach, a 180 stopniach, tak i egoizm społeczeństwa różni się od egoizmu jego obywateli, lecz w stosunku do obcych narodów pozostaje zawsze tą samą sprężyną, takim samym egoizmem.

Oznaczenie tych różnic nie spotyka prawie żadnych trudności, gdyż wszystkie mają swe wspólne źródło w odmiennéj budowie obu podmiotów gospodarczych, wszystkie wynikają z tego, że jednostka jest jednolitą całością, naród ciałem zbiorowém. Społeczeństwo jest pojęciem abstrakcyjném, niemającém swych własnych organów, działającém za pośrednictwem swych części składowych; jest istotą, która się ciągle odnawia, prawniczém *universitas rerum*. Życie jego nie zależy od istnienia téj lub owéj części; naród pozostaje i nadal, chociaż giną niektórzy jego członkowie, chociaż bieg czasu zmienia jego skład bezustannie. O ile jednak społeczeństwo jest zbiorem jednostek w stosunku do swych obywateli, o ile na wewnątrz przedstawia się jako niezliczony szereg samoistnych ilości, o tyle jest znowu odrębną, samoistną cząstką pojęcia wyższego — ludzkości, o tyle występuje na zewnątrz jako jednolita, zamknięta w sobie całość. Naród francuski był zawsze tém samém społeczeństwem, tak w czasie, gdy jego dziedziny dzieliły się na liczne lenności i państewka, jak i dzisiaj, gdy zjednoczył się zupełnie; w stosunkach międzynarodowych był zawsze jednolity, czy przemawiali w jego imieniu królowie, czy cesarz, czy prezydent lub zgromadzenie narodowe. W ten sposób ujęliśmy wszystkie zasadnicze znamiona egoizmu społecznego. Na czele społeczeństw stoją wprawdzie śmiertelne jednostki, lecz społeczeństwa są wieczne; jakkolwiek urządzają się u siebie w domu, na zewnątrz występują zawsze zgodnie, wobec innych narodów są nierozerwalną całością. Stąd téż społeczeństwa niezawsze oglądają się na korzyści ogółu, lecz częstokroć działają jedynie w interesie klas rządzących, które identyfikują swój egoizm z egoizmem narodowym; jako wieczne, patrzą na bardzo daleką metę, łożąc znaczne nawet koszta dla bardzo odległych zysków; jako część ludzkości, starają się o polepszenie swego położenia międzynarodowego, kosmopolitycznego. Egoizm prywatny spogląda zawsze na potrzeby

jasno i dokładnie oznaczonéj jednostki, a licząc się z krótkością jéj życia, stara się jedynie o bardzo bliskie zyski; egoizm społeczny działa przedewszystkiém dla ciągle zmieniających się sfer miarodajnych, nadaje jutro przywileje tym, których dziś upośledza; stara się równomiernie o teraźniejsze i przyszłe korzyści, a jedynie w stosunkach z zagranicą upodabnia się zupełnie z egoizmem prywatnym, jest równie jasny i stały. Egoizm prywatny jest co do swych celów stały, co do czasu ograniczony; egoizm społeczny nie zna granic czasu, a nie zapominając o swém ostatecznem zadaniu, dobrobycie ogółu, zmienia niejednokrotnie swe drogi i bliższe, chwilowe tylko cele.

Społeczeństwo działa przeto pod wpływem egoizmu, który wprawdzie widzi dokładnie swój cel ostateczny, częstokroć jednak zbacza odeń pod wpływem mylnych poglądów, jak i jednostka nierzadko sobie szkodzi w przekonaniu, że działa jak najlepiéj. Wskutek tego niepodobna poprzestać na ogólném tylko wskazaniu sprężyny, poruszającéj życiem społecznem, musimy koniecznie oznaczyć jéj drogę, rozpatrzyć bliżéj zadania i cele społeczeństwa. Jak żaden ekonomista nie zadawala się traktatem o egoizmie, lecz obok niego umieszcza gospodarność i inne prawa ekonomiczne, tak i nam wypada zbadać dokładniéj skutki i prawidla, jakie wypływają z egoizmu społecznego.

Społeczeństwo ma przedewszystkiém obowiązki względem siebie samego, potrzebę utrzymania swego bytu, przynajmniéj w dotychczasowym, dzisiejszym swym stanie. W tym wypadku zadania społeczne są zupełnie analogiczne do zagadnień życia prywatnego. Jak ojciec winien zapewnić swym dzieciom utrzymanie odpowiadające jego stosunkom, tak i społeczeństwu niewolno pogarszać warunków życia dla przyszłych generacyi; jak jednostka nie powinna pozostać w tyle po za innymi, tak i społeczeństwo musi się oglądać na obce narody, z równą szybkością iść naprzód; wreszcie jak człowiek osiągnie swój cel tylko wtedy, gdy zdoła utrzymać się w posiadaniu swego majątku, tak i społeczeństwo nie może pozbawić się swych dóbr, bez narażenia się na upadek. Zachowanie swych środków do życia, a więc terytoryum i ludności, zapewnienie przyszłym pokoleniom tych samych warunków rozwoju, w końcu równorzędny postęp z innemi narodami, oto istotne warunki, bez których nie może być mowy o utrzymaniu bytu społecznego. Historya stwierdza na każdéj karcie, że nie ma w tych żądaniach najmniejszéj przesady. Gdzie tylko nie uczyniono zadosyć chociażby jednemu z tych zadań, gdzie tylko społeczeństwo ich nie uwzględniało, gdzie ich nie zrozumiało, tam naród

upadał natychmiast, tracił swe dawne znaczenie, stawał się łupem ludów ościennych. Bogate sztuką i cywilizacyą kwitnące niegdyś krainy Azyi mniejszéj i północnéj Afryki odznaczają sią dzisiaj tylko ubóstwem i ciemnotą, gdyż ciągłe wojny i niszczące rządy zburzyły wiekową pracę, odebrały następnym generacyom warunki egzystencyi na całe stulecia. Z potężnéj, ogólny postrach wzbudzającéj Turcyi pozostał skrawek, trzymający się jedynie dzięki wzajemnéj zazdrości państw sąsiednich, bo utrata jednéj za drugą prowincyi przyprawiła ją o chroniczną, niemal nieuleczalną chorobę. Jak straszliwy obraz upadku przedstawia dzisiejsza Hiszpania w porównaniu z monarchią Ferdynanda, Karola V i Filipa II, jak okropnie pomściło się na niéj wygnanie przemysłowéj ludzkości maurytańskiéj, wyludnienia kwitnącéj Andaluzyi, Murcyi i Grenady. A cóż dopiéro powiedziéć o Egipcie, Chinach i Indyach, o kolebce naszéj cywilizacyi, o krajach przodujących dawniéj całéj ludzkości. Nic się tam nie zmieniło, niczego nie zapomniano. Dzisiejsze Chiny widzimy w miejscu, w którém stały przed tysiącem laty, a jednak najmniejsze nawet państewko europejskie ma więcéj od nich wpływu, a jednak kilkadziesiąt tysięcy Anglików ujarzmiło prawie trzystu milionowe Indye. Gdzież szukać przyczyn tego upadku? Oto inne narody szły naprzód, południowy wschód stał ciągle na miejscu, a kto nie postępuje, ten się cofa, tego energiczny rywal prześcignie z podwójną szybkością. Tak jak ginie człowiek tracąc dochód, majątek, sposobność do pracy, rzutkość i przedsiębiorczość, tak zamierają narody niszcząc zasoby, mające służyć dalszym pokoleniom, pozostając w tyle poza innemi. Kto chce utrzymać swój byt, musi bronić tego co posiada, musi bezustannie iść naprzód, czy jest jednostką, czy téż społeczeństwem.

Utrzymanie terytoryum i troska o wysokość ludności stanowią dla polityki państwowéj dwa odrębne zagadnienia, wiążą się w jedną całość w nauce gospodarstwa społecznego. Znowu nie chodzi nam tu o pewne absolutne cyfry, lecz jedynie o względną ich wielkość, nie chodzi o pewną ilość kilometrów kwadratowych lub milionów ludzi, lecz o racyonalny stosunek między obszarem kraju a jego zaludnieniem. Naturalnie, nie możemy się tu zajmować wszystkiemi zagadnieniami, wiążącemi się z rozmiarami krajów i stanem ich ludności, wiele z nich wchodzi w zakres prawa państwowego, polityki, a nawet etyki, tam więc należy szukać ich rozwiązania; tutaj zatrzymamy się tylko przy zadaniach, bezpośrednio wpływających na gospodarstwo społeczne.

IV.

Naturalne ukształtowanie kraju ma doniosłe dla gospodarstwa znaczenie, od niego bowiem zależą warunki ściśle przyrodnicze, w których pracujemy na swe utrzymanie. Są to rzeczy, od których zależy zarówno produkcya jak i zużycie uzyskanych wytworów, od których zawisł rozwój każdego przedsiębiorstwa. Materyalne te podstawy gospodarstw rozpatrywano już od dawna, wszystkie szkoły dla których głównym celem nauki ekonomii był wzrost produkcyi, jakotéż cała technika gospodarcza zajmowały się i zajmują się niemi dokładnie. Badano szczegółowo znaczenie natury, miejsca i t. p. rzeczy dla poszczególnych gospodarstw, analizowano skutki jakie wynikają z rozmaitego położenia, pominięto jednak prawie zupełnie wpływ terytoryum całego kraju na rozwój jego gospodarstwa społecznego, mówiono o części, zapomniano o całości. A przecież sama powierzchnia, sam skład dziedziny, w któréj żyje naród, ma dla jego dobrobytu doniosłe znaczenie, od utrzymania terytoryum zależy niekiedy pomyślność całych państw i ludów. Społeczeństwa, które dobrze pojęły swe zadanie, które nie chcą pogarszać swego bytu, muszą starać się przedewszystkiém o utrzymanie swych krajów w całości; ograniczenie się jedynie do pewnych częściowych ulepszeń, staranność o niektóre tylko okolice, nie może zapobiec klęskom i upadkowi, społeczeństwa rozwinęły się na całém terytoryum, winny więc jego całość otaczać swą opieką. Specyalne warunki materyalne związane z naturą nie wchodzą w zakres naszych badań, należą do innych działów naszéj nauki, tutaj musimy się tylko zatrzymać przy drugiéj kwestyi, przy oznaczeniu wpływu terytoryum na całość gospodarstwa społecznego.

Gospodarstwa społeczne nie powstały w jednéj chwili, jakby za uderzeniem rószczki czarodziejskiéj, lecz rozwijały się powolnie pod wpływem czynników naturalnych i historycznych. Z pierwotnego gospodarstwa izolowanego, które pokrywało wszelkie potrzeby swego podmiotu, przeszła ludzkość w epokę wymienną, dla któréj podział pracy był już niezbędnym warunkiem. Początkowo tylko techniczny, rozszerzył z biegiem czasu w podział społeczny, terytoryalny i międzynarodowy. Dwór feudalny przedstawiał jeszcze obraz gospodarstwa izolowanego o technicznym podziale pracy, każdy mieszkaniec miał tu oznaczone zatrudnienie, każdy przyczyniał się swą pracą do zaspokojenia potrzeb ogółu, nikt prawie nie pracował na zbyt i sprzedaż. Wkrótce jednak praca skupiona na miejscu, chociaż rozdzielona technicznie, odgraniczyła się i terytoryalnie; powstały miasta o handlu i przemyśle,

powstały wsie rolnicze, powstały różne rzemiosła, produkcya zaczęła się rozpadać na rozmaite gałęzie. Z tą chwilą zniknęła na zawsze dawna samoistność; nikt nie mógł pokryć wszystkich swych potrzeb, każdy musiał oglądać się na drugich, spieniężać swe wytwory, nabywać cudze. Lecz tak jak różniczkowanie zawodów szło coraz daléj, tak jak z pierwszych kilku rozmaitych rzemiosł, wytworzyły się ich setki i tysiące, tak i wymiana, ograniczona początkowo na najbliższą tylko okolicę, obejmowała w miarę postępu cywilizacyi, ulepszeń prawnych i komunikacyjnych coraz szersze kręgi, liczyła się z potrzebami coraz znaczniejszéj i odleglejszéj ludności. W ten sposób powstał terytoryalny podział pracy, rozciągający się na całe prowincye, kraje i państwa. Gospodarz zmuszony w drodze kupna zaopatrywać się w potrzebne mu rzeczy, starał się nabywać je jak najłatwiéj; wytwórcy chcąc pozbyć swe towary, ofiarowywali je po możliwie najniższych cenach. Dopóki istniały jeszcze przywileje, statuty cechowe, cła i opłaty wewnętrzne, dopóty produkcya z konsumpcyą były ściśle związane; wytwórca mógł liczyć na pewną, stałą niemal liczbę odbiorców, nabywca ma zgóry oznaczone ceny, prawie zawsze taką samą liczbę towarów i kupców. Skoro jednak władza państwowa, złamawszy przywileje stanowe, zniosła pod wpływem merkantylistów ograniczenia wewnętrzne, pozostawiając je jedynie w stosunkach z zagranicą, podział pracy musiał pójść jeszcze daléj. Do konkurencyi stanęli na każdym targu wszyscy producenci krajowi, a chcąc pozyskać odbiorców, musieli rywalizować między sobą tak co do jakości, jak i ceny swych towarów. Oczywiście zwyciężyli ci, którzy ofiarowywali kupującym najkorzystniejsze warunki, a więc najlepsze wytwory po najniższych cenach. Nie każdy jednak mógł dojść do tego celu. Kto pracował w okolicach, gdzie surowiec znajdował się w obfitości, gdzie przyroda darzyła go swą pomocą, kto rozporządzał dostateczną liczbą zdolnych a tanich robotników, ten musiał zwyciężyć gospodarzy, którzy sprowadzali potrzebne materyały i narzędzia z odległych okolic, którzy nie mieli odpowiednich robotników, albotéż drogo musieli im płacić. Rozmaitość warunków naturalnych powodowała różność kosztów produkcyi, a tém samém wielkie różnice w cenach. Państwa ówczesne były już skonsolidowane, wytworzyły się już silne społeczeństwa, rozsiadłe na znacznych przestrzeniach, podzielonych na liczne prowincye, z których niemal każda odznaczała się pewnemi właściwościami naturalnemi, sprzyjającemi rozmaitym gałęziom produkcyi. Nic więc dziwnego, że wszędzie rzucono się przedewszystkiém do takich przedsiębiorstw, które w owém miejscu znajdowały najkorzystniejsze warunki, że zarzucano gałęzie, natrafiające w téj okolicy na trudności, których nie

było w innéj, słowem że powstał terytoryalny podział pracy, który objął swą siecią całe państwo, że dana okolica, kraj lub prowincya była tylko cząstką całości, z którą ciągle należało się liczyć, bez któréj nie podobna było istnieć. Na tym stopniu rozwoju można porównać społeczeństwo do wielkiego właściciela ziemskiego, który w jednym folwarku ma gorzelnię, w drugim browar, w innym znowu uprawia chmiel i ziemniaki, w innym ma spichrze i stodoły. Tracąc część swéj posiadłości, ponosi on straty, przechodzące znacznie wartość odpadłego folwarku, gdyż wskutek takiéj zmiany uniemożliwia się, przynajmniéj utrudnia dalszy byt i tych gałęzi produkcyi, które wprawdzie prowadzi się w innem miejscu, których przyszłość jednak zależy od utraconego folwarku. Sprzedawszy gorzelnię, nie ma już odbytu na ziemniaki, pozbywszy gruntów przeznaczonych pod uprawę chmielu, nie rozporządza się surowcem potrzebnym browarowi, utraciwszy zabudowania gospodarcze skupione w jedném miejscu, nie ma gdzie zwieść i przechować swych plonów. Praktyka zrozumiała to już od dawna, dostarczá licznych dowodów na stwierdzenie opisanego zjawiska. Wiadomo jak rzadko tylko można korzystnie rozparcelować większy majątek, mimo że za niektóre jego części uzyskuje się nader wygórowane ceny, gdyż pozostała reszta, pozbawiona niezbędnych swych przynależności, bardzo nieznaczną tylko przedstawia wartość; wiadomo, że przy wywłaszczeniu przymusowém wynagradza się nie tylko za rzeczywiście odstąpioną część posiadłości, lecz i za straty w całém gospodarstwie, jakie się wskutek tego ponosi; wiadomo wreszcie, że prawo uznaje nie tylko wynagrodzenie szkody, lecz i zapłatę za zysk, który się przez nią utraciło, zna zarówno *damnum emergens* jak i *lucrum cessans*.

W zupełnie takiém samém położeniu znajduje się społeczeństwo o rozwiniętym podziale pracy. Jak nasz gospodarz dostarcza ziemniaków swéj gorzelni z jednego tylko folwarku, a dla wszystkich plonów jeden buduje spichlerz, tak i społeczeństwo zaspakaja wszelkie swe potrzeby pewnego rodzaju wytworami jednéj tylko okolicy, pracując w innych miejscach w odmiennych gałęziach produkcyi. Utrata takiéj prowincyi niszczy w jednéj chwili równowagę całego gospodarstwa narodowego, gdyż nie ma już środków na pokrycie pewnéj ilości potrzeb, nie podobna już utrzymać dotychczasowéj organizacyi wytwórczéj. Producenci innych części kraju tracą część popytu na swe towary, które nabywała odpadła prowincya, a równocześnie nie mając czém zastąpić jéj płodów, narażeni są na brak pokrycia swych potrzeb. Wskutek tego powstaje zmiana całéj produkcyi, albo też zależność od obcych narodów. Społeczeństwo utraciwszy część środków na swe utrzy-

manie, utraciwszy część dawniejszych odbiorców, musi zreformować swą działalność gospodarczą, musi starać się o odzyskanie w inny sposób niezbędnych dóbr i targów. Część przedsiębiorstw zajmujących się dotąd czém innném, rzuca się do gałęzi, uprawianych głównie w utraconéj prowincyi i w ten sposób zapobiega grożącemu niedoborowi. Niestety podobna przemiana nie odbywa się nigdy bez strat bardzo znacznych. Terytoryalny podział pracy umieścił każdą gałąź produkcyi w miejscu dla niéj najkorzystniejszém, wyrobił jéj odpowiednie stosunki, wykształcił robotników. Obecnie wypada zmieniać to wszystko, porzucić zakłady, sytuowane do niedawna bardzo dobrze, założyć gospodarstwa nowe, bez przygotowanego gruntu, skazane na walkę z licznemi trudnościami. Wskutek utraty dotychczasowych odbiorców powstaje nadprodukcya, powodująca znaczną zniżkę cen, a co za tém idzie, liczne upadłości, obniżenie wynagrodzenia pracy i bezrobocia, z drugiéj zaś strony widzimy nowe przedsiębiorstwa, wytwarzające, dla braku odpowiedniego przygotowania, gorsze a droższe przedmioty: konsumenci tracą tak samo jak i producenci. A jednak nie ma innego wyjścia; należy zaspokoić koniecznie potrzeby, pokrywane dotąd przez odpadłą prowincyę, nie można utrzymać nadal produkcyi reszty kraju na dawnéj wysokości, nie ma już bowiem dawnego zapotrzebowania, dawnego popytu. Co więcéj, należy jeszcze mówić o szczęściu, jeżeli podobna przemiana jest możliwą, o wiele gorsze zapanują stosunki, gdy się nie zdoła jéj przeprowadzić. Skoro państwo utraci brzegi morza, musi upaść jego handel z innemi częściami świata, gdy musi się wyrzec swych pokładów węgla, nie podobna nawet zamarzyć o przemyśle fabrycznym. Kraj staje się zależnym od zagranicy; prawa, cła, taryfy i ograniczenia jakie ustanawia obce państwo, są dla niego warunkami, w których musi żyć i pracować, których nie może zmienić, tak jak ludzie prywatni nie mogą usunąć przeszkód, jakie im stawia rząd i społeczeństwo. A jasną jest rzeczą, że warunki te nie będą wcale łatwe; każdy naród działa jedynie w swym własnym interesie, każdy normuje stosunki wyłącznie dla siebie, a rywalizując z innemi ludami, stara się je zwyciężyć wszelkiemi siłami. Wyobraźmy sobie dzisiejsze Prusy bez Szląska, Westfalii i Nadreńskiéj prowincyi, wyobraźmy sobie położenie Holandyi, odciętéj od morza chociażby tylko dwumilowym pasem nadbrzeżnym. Przemysł Prus dla braku węgla, a handel Holandyi dla braku wybrzeży rozwiałyby się z dymem, bogactwo ich i dobrobyt przemieniłyby się w ubóstwo, może nawet w nędzę. Jak każda jednostka musi zginąć bezwarunkowo, jeżeli jéj byt zależy wyłącznie od człowieka, który ma interes w jéj zniszczeniu, tak i społeczeństwo ginie materyalnie, gdy o jego położeniu gospodarczém

decydują obce narody i to tém więcéj, że egoizm państwowy jest zawsze silniejszy, nie zna żadnych praw, żadnego hamulca.

Lecz nie tylko utrata kraju przyprawia o podobne straty gospodarstwo społeczne; do takich samych wyników doprowadza nierównomierne traktowanie różnych cząstek swego terytoryum, niedbałość o ich jednolity rozwój materyalny. Jest to rzeczą zupełnie naturalną. W chwili gdy terytoryalny podział pracy przeprowadzono stanowczo, dana okolica zaspakajała swemi wytworami pewne potrzeby całego narodu. Wkrótce jednak zmieniły się stosunki. Inne prowincye rozwijały się prędzéj, szybszym krokiem szły naprzód, a licząc na jéj płody, uprawiały odmienne, stosowniejsze do swych warunków naturalnych gałęzie produkcyi. Tymczasem nasza kraina, która stanowiła niejako podstawę małéj organizacyi gospodarczéj pozostała znacznie w tyle, wytwory jéj nie wystarczają już na pokrycie wszystkich potrzeb, zawodzą rachuby na siłę kupna jéj mieszkańców, powstają braki, niedobory i przesilenia. Skutki są takie same, jak gdyby obszar kraju zmniejszył się faktycznie, bo téż gospodarczo biorąc, nastąpiła rzeczywista jego utrata, albowiem ilość płodów i wysokość popytu jest tak nieznaczna, jak gdyby nie gospodarowała cała prowincya, lecz jedynie mała jéj cząstka. Znowu więc należy się uciekać do zmiany produkcyi, do pracy w warunkach cięższych, znowu stoimy wobec stosunków, które skreśliliśmy poprzednio.

Takie znaczenie ma terytoryum dla gospodarstwa narodowego, bez względu na swe zaludnienie, jedynie wskutek swych warunków naturalnych. Jak w rodzinie każda jednostka musi przyłożyć swą cegiełkę do ogólnéj pracy, a odłączenie którejkolwiek z nich zmienia cały tryb życia, tak i w społeczeństwie każda część kraju ma swe zadanie, od którego spełnienia zależy dobrobyt ogółu, tak i naród odczuwa silnie utratę każdéj prowincyi, jeżeli na nią liczył, jeżeli na jéj posiadaniu oparł swe rachuby gospodarcze. Nie dość na tém; jak dochód rodziny, który wystarczał dla niéj, gdy się składała z dzieci i dorosłych, nie będzie już dostateczny, gdy mają zeń korzystać sami ludzie dojrzali, tak i gospodarstwo społeczne nie zapewni utrzymania całéj ludności, jeżeli nie wszystkie okolice równie szybko się rozwijają, jeżeli niektóre pozostają w tyle. Zaniedbana kraina podobna jest do człowieka, który wzrósł wprawdzie w lata, nie nauczył się jednak pracować. Jako dziecko przyczyniał się on według sił do swego utrzymania, obecnie potrzebuje znacznie więcéj, a nie daje w zamian niczego; z pomocy stał się ciężarem. Zaniedbany kraj stoi w tym samym stosunku do reszty państwa. Dawniéj stojąc na równym stopniu z innemi, razem z niemi współdziałał w gospodarstwie społecznem, pokrywał

odpowiednią część ogólnych potrzeb, nabywał odpowiednią ilość wytworów; dzisiaj płody jego już nie wystarczają, nie ma on środków na kupno towarów innych okolic, zmusza do kosztownéj i szkodliwéj zmiany ustroju gospodarczego, zamiast pomagać, zawadza i przeszkadza. Stąd téż państwo winno się starać o utrzymanie całego swego terytoryum, chronić naród przed jego utratą, a zarazem równomiernie rozwijać wszystkie swe dziedziny, nie faworyzować jednych, nie upośledzać drugich, lecz traktować wszystkie jednakowo. Inaczéj szkodzi się już nie części, lecz całości, naraża się swój byt, który przecież zależy w znacznéj mierze od rozwoju ekonomicznego, rozmija ze swém powołaniem. Nie wchodzi w zakres naszych badań kwestya, o ile państwo ma obowiązek utrzymywać, ewentualnie nawet rozszerzać cały swój obszar, na to pytanie winna odpowiedziéć polityka, ze stanowiska ekonomicznego mamy jednak prawo domagać się *utrzymania i równomiernego rozwoju wszystkich tych okolic, które wskutek przeprowadzenia terytoryalnego podziału pracy, utworzyły jednolitą całość gospodarczą.*

V.

Drugą kwestyą związaną nierozłącznie z bytem państwa jest troska o utrzymanie ludności. Tak jak ochrony terytoryum można się domagać ze stanowiska polityki i w imię gospodarstwa narodowego, tak i piecza o zaludnienie kraju wchodzi w zakres obu tych nauk, winna uregulować nader doniosłe warunki gospodarczego bytu, podział ludności na warstwy społeczne i wzajemny ich do siebie stosunek.

Ktokolwiek przypatrzy się dokładniéj życiu narodów, musi dostrzec natychmiast wiele podobieństwa między ukształtowaniem się przyrody, a gospodarczym ustrojem społeczeństwa. W naturze nie dzieje się nic bez powodu, w gospodarstwie skutek wiąże się ściśle z przyczyną; w naturze nic nie ginie, w życiu ekonomiczném straty indywidualne rzadko tylko powodują szkody dla majątku ogólnego; w naturze strata, zniszczenie lub nawet śmierć jednostek daje częstokroć innym tworom zdrowie, szczęście lub życie, w gospodarstwie straty jednych, tworzą zyski dla drugich, nasze trudy i wydatki zaspakajają potrzeby innych ludzi. Producent żyje z wydatków konsumenta, który nie mógłby uzyskać środków do życia bez pracy wytwórczéj; człowiek bogaty utrzymuje swemi przyzwyczajeniami do zbytku całe szeregi pracowników, którzy inaczéj nie mogliby pokryć swych potrzeb; ubogi oddaje swym potem i trudem usługi, bez których zamożni nie zwykli

się obywać, których brak odczuliby dotkliwie. W naturze i w gospodarstwie panuje wzajemna, chociaż mimowolna i nieświadoma pomoc; wszystkich łączy wspólny, zasadniczo identyczny, chociaż formalnie sprzeczny interes: dążność do jak najlepszego zaspakajania swych potrzeb, do najwyższego dobrobytu.

Wskutek tego powstaje z biegiem czasu społeczny podział pracy, w zupełności taki sam sposób jak i terytoryalny. Podnosi on wprawdzie rezultaty pracy ludzkiéj, lecz odbiera zarazem możność samoistnego gospodarowania, życia izolowanego, zmusza gospodarza by zawsze i wszędzie stwierdzał swém postępowaniem prawdziwość znanego aksyomatu, nazywającego człowieka zwierzęciem towarzyskiém. Każdy podmiot ekonomiczny musi dziś pamiętać, że nie wszystko zależy od jego pracy i woli, że i inni wyrokują o jego losie, że musi się oglądać za ich pomocą i poparciem. Z drugiéj strony władza człowieka nie kończy się wraz z jego własnością i osobą, lecz rozciąga się na szerokie warstwy ludności, które żyjąc w jego widnokręgu gospodarczym, korzystają z jego działalności, ofiarując mu w zamian owoce własnéj pracy. Jak kupiec, lekarz lub adwokat nie mogliby istniéć mimo największych wysiłków, mimo wszelkich zdolności, gdyby nie znaleźli uznania u publiczności, gdyby nie zdołali sobie wyrobić imienia i klienteli, tak i rolnik lub przemysłowiec, urzędnik czy uczony, producent i konsument, słowem każdy gospodarz, zależy od swych współobywateli, musi szukać u nich poparcia.

Gdybyśmy nie odczuwali materyalnych potrzeb, praca ekonomiczna nie miałaby najmniejszego celu, nie byłoby mowy o gospodarowaniu. Wytwarza je dopiéro odczucie potrzeby i dążność do jak najlepszego jéj zaspokojenia; uzyskanie sposobnych po temu środków jest jedyném zadaniem gospodarza. Dwie drogi stoją mu tu otworem: potrzeby swe pokrywa bezpośrednio z własnego gospodarstwa, albotéż używa drogi pośredniéj, za swe wytwory nabywa dobra cudze. W obu wypadkach dochody są konieczne, albowiem przedmioty, które gospodarz zużywa, tworzą właśnie jego dochód, bez którego nie mógłby zaspokoić bezpośrednio swych potrzeb, nie zdoła zaś bez posiadania pewnych wytworów zakupić niezbędnych towarów, gdyż nie będzie mógł niczego w zamian ofiarować. Chcąc przeto osiągnąć cel gospodarczy, należy przedewszystkiém pracować na dochód, który się następnie zużywa czy to bezpośrednio, czy téż za pomocą wymiany, kupna i sprzedaży. Stąd téż każdy człowiek jest zarazem producentem i konsumentem; wytwórcą w chwili uzyskiwania dochodów, spożywcą w czasie ich zużywania. W ten sposób tłumaczy się wzajemne oddziaływanie rozmaitych warstw społecznych. Gospodarz pracujący na swe docho-

dy oddaje usługi drugim, zużywając je, daje zarobek tym, których dóbr lub usług potrzebuje, zapewnia im zyski, na które pracują. Krawiec kupując igły i nici ponosi koszta dla zaspokojenia swych potrzeb, jest konsumentem w stosunku do kupca i fabrykanta, którzy mu dostarczają tych przedmiotów i swemi wydatkami zwiększa ich dochody; na odwrót ten sam fabrykant zaopatrując się w ubranie, popiéra przemysł krawiecki, przyczynia się do jego dobrobytu. Koszt jednych jest zyskiem drugich, indywidualne wydatki są zarazem indywidualnemi dochodami dla innych osób.

Zupełnie taki sam obraz przedstawia społeczeństwo. Już nie jednostki, lecz całe zawody i warstwy społeczne żyją we wzajemnéj zależności, jedna wpływa bezustannie na drugą, od dobrobytu tych, zależy szczęście tamtych. Z drugiéj strony taki sam stosunek zachodzi między państwem a społeczeństwem. Wzajemny wpływ jest tu widocznym na każdym kroku, występuje tém silniéj, że po obu stronach stoją jednostki potężne, rozporządzające ogromnemi zasobami, odczuwające olbrzymie potrzeby. Państwo czerpie z łona społeczeństwa swe dochody, ustrój państwowy jest kosztowny lecz i potrzebny społeczeństwu, gdyż zapewnia mu bardzo dużo korzyści, zwraca drugą ręką to, co wzięło jedną; społeczeństwo pracuje na państwo, które bez rozwoju gospodarstwa narodowego nie miałoby żadnych dochodów, nie mogłoby opędzić swych wydatków, od dobrobytu społeczeństwa zależy istnienie i potęga państwa.

Lecz ten dobrobyt łączy się ściśle z rozwojem wszystkich warstw społecznych, zależy od położenia wszystkich zawodów gospodarczych. Już Adam Smith porównał społeczeństwo do olbrzymiego łańcucha, złożonego z niezliczonéj ilości większych i mniejszych ogniw. Skoro tylko jedno z nich się złamie lub zepsuje, przerywa się cały łańcuch; równomierna staranność o każde, najdrobniejsze nawet kółeczko jest niezbędnym warunkiem do utrzymania całości. Porównanie jest rzeczywiście doskonałe. Społeczeństwo to ciało zbiorowe, to całość złożona z wielu cząsteczek, z których każda żyje podwójném życiem: indywidualném, sobie tylko właściwém i ogólném, społeczném. Którekolwiek z nich zaginie, cząstka żyć przestaje, a cierpi na tém całe społeczeństwo, bo staje się niezdrowém, bo brak mu niezbędnéj, przedtém tętniącéj, dziś już obumarłéj komórki. Popieranie jednéj kosztem drugiéj, forytowanie téj na niekorzyść tamtéj, sprowadza najzgubniejsze rezultaty: giną ogniwa upośledzone, nie tylko bez zysku lecz nawet ze stratą cząstek uprzywilejowanych, gdyż ze śmiercią tamtych społeczeństwo nabawia się nieuleczalnéj choroby. Nawet najbardziéj chronionym warstwom brakuje niezbędnego warunku dobrobytu, życia spo-

łecznego; potęgujemy tylko połowę ich sił żywotnych, niszcząc równocześnie drugą, osłabiamy je chcąc wzmocnić, zadajemy im cios śmiertelny, chcąc się im przysłużyć, słowem, jednych zabijamy bezpośrednio, drugich pośrednio, lecz wyrok śmierci wykonywamy równocześnie na obu klasach.

Nic więc dziwnego, że domagamy się powszechnie wprowadzenia równowagi ekonomicznéj, równomiernego traktowania wszystkich obywateli pod względem gospodarczym. Widzieliśmy jednak, że najróżnorodniejsze panują zapatrywania, co do oznaczenia owéj równowagi, że od zupełnego zniwelowania wszelkich różnic społecznych, od matematycznie równego podziału środków utrzymania, aż do przyjęcia miary psychologicznéj, do rozdziału według potrzeb, pojęcie równowagi przybiera rozmaite kształty i formy. Wszyscy jednak godzą się na to, że bez odpowiedniego rozdziału własności i dochodów nie może być mowy o równouprawnieniu ekonomiczném, wszyscy stwierdzają jednogłośnie, że dzisiejsze stosunki nie odpowiadają temu ideałowi, wszyscy wreszcie domagają się od państwa reform, któreby zbliżyły nas do tego celu. Niewiadomo jednak, dlaczego państwo ma się podjąć tego zadania, dlaczego nie pozostawi się tutaj wolności jednostkom, jak to chciała szkoła liberalna. Powody, o jakich zwykle słyszymy, brak sił u jednostek, obok potęgi państwa i etycznych jego obowiązków nie wytrzymują krytyki. Państwo i społeczeństwo kierują się egoizmem, gdzie nie widzą korzyści dla siebie, tam nie mają potrzeby działania, tam nie mają żadnych obowiązków. Bez względu na to, czy równowaga ekonomiczna jest wykonalną czy nie, czy zapewni szczęście jednostkom, czy też pogorszy ich położenie, czy wprowadzenie jéj przechodzi siły jednostek, a możliwe jest dla państwa i ogółu, czy też niedostępne jest dla jednych i drugich, państwo nie podejmie się téj pracy, jeżeli nie leży ona w jego interesie, jeżeli jest dla niego szkodliwa, a chociażby tylko obojętna. Przedewszystkiém winniśmy przeto zbadać, o ile ekonomiczna równowaga może być dla państwa korzystną, a tém samém odpowiemy na pytanie, czy państwo ma obowiązek starać się o jéj przeprowadzenie. Co więcéj przekonamy się poniżéj, że jak przy omawianiu kwestyi utrzymania terytoryum wraz z wykazaniem interesu państwa określiliśmy zarazem granice, jakich dosięga wpływ obszaru na gospodarstwo, tak też badając znaczenie równowagi ekonomicznéj ze stanowiska egoizmu państwowego, poznamy zarazem jéj zakres, warunki i istotne cechy, zobaczymy, że jak utrzymanie i równomierne traktowanie swych posiadłości wynika z potrzeby utrzymania swego bytu, tak też wprowadzenie właściwéj równowagi jest konieczne dla utrzymania ludności, bez któréj państwo nie może się obyć.

Nie podlega najmniéjszéj kwestyi, że każde państwo musi się starać o utrzymanie swéj ludności na wyżynie odpowiadającéj zaludnieniu krajów ościennych. Jest to pierwszém zadaniem każdego rządu, każdego męża stanu, uzasadnionêm tak w nauce jak i w praktyce. Francya, która znajduje się w têm smutném położeniu, że ludność jéj wzrasta najpowolniéj w całéj Europie, żyje w ciągłéj obawie utraty swego stanowiska mocarstwowego, gdyż przewiduje już chwilę, w któréj ludność jéj w stosunku do zagranicy będzie tak nieznaczna, że nie zdoła zapewnić jéj głosu w koncercie państw europejskich, że państwo nie będzie miało dość sił finansowych i militarnych, że wejdzie w szeregi państw drugorzędnych, podzieli losy Szwecyi, Hiszpanii i średniowiecznych miast włoskich. Utrzymanie ludności jest więc dla każdego państwa niezbędnym warunkiem bytu i rozwoju, podobnie jak posiadanie władzy i terytoryum. Wieloma, bardzo wieloma środkami rozporządza państwo, spełniając tutaj swą rolę, zarządzenia higieniczne i gospodarcze, etyczne i prawne przyczyniają się w równym stopniu do utrzymania ludności, zaniedbanie ich jednakowo ją zmniejsza i niszczy. Stąd też o wszystkie musi państwo się starać w dobrze zrozumianym interesie własnym, wszystkim poświęcać równąż dbałość i opiekę. Nie wszystkie jednak wchodzą w zakres naszych badań; prawo, higiena i etyka tworzą nauki odrębne, wypada więc tylko zastanowić się, o ile stosunki gospodarcze wpływają na zaludnienie, o ile ludność państwa od nich zależy, jaka organizacya społeczna jest najodpowiedniejsza, by państwo mogło utrzymać swą ludność, w niezbędnéj dla swego bytu wysokości.

Wychodźctwo jest dzisiaj jednym z najważniejszych problemów tak politycznych, jak i społecznych. Wszystkie prawie państwa europejskie tracą corocznie znaczną część swych obywateli przez emigracyę zamorską, wszystkie starają się jéj zapobiec, a przynajmniéj odpowiednio ją zorganizować. I nic w têm dziwnego, emigrują najczęściéj jednostki jeżeli już nie najlepsze, to w każdym razie najsilniejsze i najenergiczniejsze, które czują w sobie dość siły, by w obcym kraju, pomiędzy nieznanymi ludźmi, wywalczyć dla siebie miejsce, utrzymanie i stanowisko. Państwo nie może przypatrywać się obojętnie temu prądowi, który osłabia jego siły, odbierając mu najlepszy pod względem gospodarczym i militarnym materyał ludności, a równocześnie wzmacnia przypływem tych czynników państwa obce, zmienia na niekorzyść pierwszego równowagę międzynarodową. Stany Zjednoczone dają nam obraz niebywałego dotąd rozwoju politycznego i ekonomicznego, dzięki emigracyi europejskiéj, Irlandya dla téj saméj przyczyny

utraciła w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu połowę swéj ludności, Włochy i Niemcy widzą corocznie setki tysięcy obywateli, opuszczających ojczyznę. Stąd powstaje u państw europejskich polityka kolonialna, dążność do skierowania nadwyżki ludności do kolonii, zostających pod tym samym rządem, lecz jest to tylko środek połowiczny, który nie prowadzi do zamierzonego celu. Emigracya przynosi zarówno straty państwu i jego władzy, odbierając mu ludność, a więc materyał wojskowy i skarbowy, część opłat i podatków, jak i społeczeństwu, wpływając szkodliwie na jego gospodarstwo, najpierw na konsumpcyę, potém i na produkcyę. Zakładanie kolonii nie może zapobiec tym rezultatom, raz że, jak uczy doświadczenie, wychodźcy opuszczając ojczyznę, chcą zarazem uchylić się z pod jéj władzy, powtóre dlatego, że państwo nie może tak dowolnie rozporządzać siłami swych kolonii, jak zasobami pierwotnych swych posiadłości, że kolonie doszedłszy do pewnego rozwoju ekonomicznego, politycznego i cywilizacyjnego, dążą do uzyskania niepodległości jeżeli nie formalnéj, to w każdym razie materyalnéj, walczą w imię swych interesów przeciw gospodarstwu metropolii. Mimo że Anglia posiada olbrzymie obszary we wszystkich częściach świata, wychodźcy jéj zwracają się głównie ku Stanom Zjednoczonym, Niemcy nie zdołali zachęcić swych obywateli do osiedlania się w Afryce, Francuzi idą do Kanady i południowéj Ameryki, Hiszpanie i Włosi do Argentyny i Brazylii, chociaż każdy z tych krajów ma posiadłości zamorskie, chociaż Kuba i Algier odznaczają się wielką urodzajnością, a bardzo słabo są zaludnione. Wszelkie zachęty i ułatwienia, nawet pomoc pieniężna nie zdołały wydać spodziewanych rezultatów, emigracyą nie można kierować, państwo tworzeniem kolonii nie utrzyma w swéj władzy obywateli, którzy je opuszczają. Z drugiéj strony rozwój polityczny kolonii angielskich dowodzi najlepiéj, że władza państwowa nie może być tam równie potężną, jak w Europie. Każda z nich jest prawie niepodległém państwem, nieliczne tylko nici łączą je z Anglią, każda samoistnie urządza swe stosunki. A cóż dopiéro mówić o życiu gospodarczem. Kolonie angielskie prowadzą z krajem macierzystym zaciętą wojnę cłową, starają się ograniczyć wszelkiemi sposobami handel angielski, walczą z nim częstokroć namiętniéj, niż kraje zupełnie obce. Organizacya wychodźctwa nie może mieć dobrych skutków ani politycznych ani ekonomicznych, należy się przeto uciec do innego środka, należy starać się o uchylenie przyczyn powodujących emigracyę, a dopiéro gdyby się to okazało niemożliwém, można w imię zasady, że z dwojga złego należy wybierać mniejsze, zająć się odpowiednią jéj organizacyą.

Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że głównym powodem emigracyi jest brak chleba, któremu towarzyszy nadzieja lepszéj przyszłości. Jednostki energiczne i przedsiębiorcze widząc, że w kraju nie zdołają zapracować na utrzymanie, szukają szczęścia za granicą, opuszczają ojczyznę, która nie daje im środków do życia. Wszędzie téż widzimy to samo zjawisko, emigracyę rozpoczynają warstwy pozbawione własności i zatrudnienia, proletaryat społeczny. Lecz w społeczeństwie tak jak i w przyrodzie, każda klasa ma swe przeznaczenie, rozmijając się z niém narusza dobrobyt całości. Z jednéj strony szczęście nie wielu chociażby tylko emigrantów zachęca do wychodźctwa innych, z drugiéj zaś utrata znacznéj części ludności burzy podstawy gospodarstwa narodowego. Gdy w Europie rozeszła się wieść o odkryciu złotodajnych pokładów w Australii i Kalifornii wszystko podążyło na daleki zachód, chociaż niewielu tylko górników mogło się pochwalić rzeczywistém zdobyciem bogactwa. Lecz nadzieja szczęścia leży już w naturze ludzkiéj, zapomniano o tych, którzy utracili na szukaniu złota całe swe mienie, którzy zginęli w nędzy na obczyźnie, widziano tylko szczęśliwców znajdujących olbrzymie bryły szlachetnego kruszcu, gorączka emigracyjna wzmagała się coraz bardziéj, zataczała coraz większe kręgi, obejmowała coraz liczniejsze warstwy i okolice. W naszym kraju można dostrzec i dzisiaj pokrewne stosunki szczególniéj po wsiach. Wieśniak, który znalazł utrzymanie w Ameryce przysyła piéniądze pozostałéj w kraju rodzinie i w ten sposób wywołuje w niéj chęć pójścia w jego ślady, za rodziną idą krewni, znajomi, mieszkańcy téj saméj wioski, kraj wyludnia się coraz więcéj. A jednak stwierdzono statystycznie, że niemal trzecia część wychodźców europejskich ginie z nędzy i głodu już w portach, w których wylądowuje, że nieliczne tylko jednostki dobijają się chleba i majątku. Lecz nigdzie przykład nie jest tak zaraźliwy jak przy emigracyi, nigdzie bowiem nie popiéra go motyw silniejszy, egoizm, pogoń za szczęściem.

Byłoby jeszcze dobrze, gdyby na tém kończyły się już skutki emigracyi, gdyby wpływały jedynie na ludzi nie mogących się w kraju utrzymać, nie dotykały natomiast tych, którzy w nim pozostali. W takim razie wychodźctwo byłoby jedynie sporadycznym objawem; nadwyżka ludności opuściłaby dane państwo szukając chleba za granicą, pozostali mając go podostatkiem na miejscu, pracowaliby jak przedtém, a nie mając powodu do niezadowolenia, nie myśleliby o emigracyi; odpadłby główny jéj motyw, brak środków do życia, wychodźctwo byłoby niejako regulatorem ludności. Niestety rzeczywistość nie pozwala nam w to uwierzyć. Emigracya nabrała już oddawna charakteru stałego zjawiska, jest objawem społecznym, z którym musimy się

liczyć, jako z faktem nieodłącznym od naszych stosunków, występuje jako wypływ naszego ustroju gospodarczego. Inaczéj téż być nie może. Emigracya szkodzi podwójnie, odbiéra bowiem krajowi część ludności, odbiéra mu zarazem możność utrzymania pozostałych obywateli.

To cośmy powiedzieli o utracie prowincyi, da się zastosować w całéj pełni i do wychodźctwa. Ludność opuszczająca swój kraj, pokrywała jego płodami przynajmniéj najniezbędniejsze swe potrzeby; brała udział w jego produkcyi. Wskutek emigracyi zmniejszyło się zapotrzebowanie pewnych wytworów, zmniejszyły się siły do pracy. Stąd koniecznem jest ograniczenie produkcyi, a zarazem wzrost jéj kosztów wskutek zwiększonego popytu na robotnika, a zatém powiększenia jego płacy. W spadku po okresie poprzedzającym emigracyę pozostaje nam nadprodukcya, gdyż dawniejsza wytwórczość musiała się liczyć z potrzebami znaczniejszéj ludności, a więc nagły spadek cen, częściowe przesilenia. Przedsiębiorstwa, które upadły, lub zmniejszyły swą produkcyę, wyrzucają na bruk licznych robotników, pozbawiając ich utrzymania, zmniejszając tém samém liczbę konsumentów, zwiększając wychodźców. Stosunki gospodarcze kształtują się coraz niepomyślniéj dla producentów i konsumentów, przesilenia zabijając słabszych, nadają monopol produkcyi silniejszym, wzmaga się niezadowolenie, gorączka emigracyjna przenosi się do klas średnich, którym wskutek panującéj drożyzny, nie wystarczają już ich dochody. Wreszcie i ludzie bogaci, nie mogąc dla braku rąk obracać korzystnie swych kapitałów, nie mając zbytu dla swych wytworów, starają się wycofać kapitały, oglądają się za odpowiedniejszém ich umieszczeniem, opuszczają nieprzyjazne okolice i niszczą w ten sposób resztki dobrobytu. We wszystkich krajach, odznaczających się silną emigracyą, dostrzegamy rozwój tego rodzaju. Wychodźctwo z Irlandyi rozpoczęło się przed pół wiekiem wskutek klęski głodowéj, objęło przedewszystkiém klasy bezpośrednio interesowane, proletaryat wiejski, a wkrótce rozszerzyło się na kraj cały, wyludniło go prawie zupełnie, zabiło jego handel i przemysł. W Niemczech prowincye wschodnie, Pomorze, Prusy i Mecklemburg, dostarczają emigracyi największego kontyngensu, bo też na nie najsilniéj oddziałała konkurencya zbożowa Ameryki, bo chociaż ludność rozsiadła się u nich bardzo szeroko, niema komu uprawiać ziemi, nikt nie może rzucić się do przemysłu, bo nie pozbędzie swych wytworów. Włochy dostarczają całéj Europie robotników, a emigracya wzmaga się bezustannie, gdyż własnym swym ciężarem nie pozwala na podniesienie produkcyi rolniczéj lub przemysłowéj, odbiera im pracę i targi zbytu.

W pierwszéj połowie naszego stulecia starały się państwa, widząc całą doniosłość emigracyi, przeszkodzić jéj wydawaniem absolutnych zakazów wychodźctwa. Środek ten jednak nie mógł doprowadzić do celu; w najlepszym nawet razie, gdyby podobny zakaz był rzeczywiście wykonany, mógł on chyba zmienić zewnętrzną formę utraty ludności, nie zdołał usunąć jéj skutków, odebrać jéj charakter niezdrowego objawu społecznego. Przecież emigracya, jako taka nie jest szkodliwa, przynosi ona straty jedynie wskutek wpływu swego na wysokość ludności i bogactwa narodowego. Zakaz emigracyi nie może temu przeszkodzić, nie zdoła bowiem wywołać racyonalnego wzrostu ludności. Emigruje się dla braku chleba, jeżeli więc państwo uniemożliwia wychodźctwo, nie dając równocześnie swym obywatelom środków do życia, skazuje ich na nędzę i śmierć głodową, zwiększa ciężary publiczne przez nadmierne wydatki na utrzymywanie ubogich. Skutki będą takie same, jak przy emigracyi. Ludność nie wzrośnie, gdyż proletaryat bezwłasnościowy nie będzie mógł zakładać rodziny, nie mając jéj czém utrzymać; nadwyżka mieszkańców, nie znajdując zatrudnienia zginie wskutek przyczyn ściśle przyrodniczych, głód, nędza i epidemie podejmą się zadania, które dziś ciąży na wychodźctwie. Produkcya narodowa nic na tém nie zyska, ludność będzie się zmniejszać a z nią potrzeby i siły robocze, zobaczymy przesilenia ekonomiczne, nadmiar produkcyi i jéj ograniczenie; państwo nie odniesie również żadnych korzyści, gdyż fizycznie i ekonomicznie wycieńczeni mieszkańcy nie będą zdolni do służby wojskowéj, nie podniosą, dla niemożliwości opłacania podatków, jego finansowéj potęgi. Stosunki będą jeszcze gorsze niż za panowania wolności emigracyi, albowiem zakaz jéj nie usuwa żadnych jéj skutków, natomiast przyprawia społeczeństwo o nowe braki: nędzę, głód, epidemie, niezadowolenie u wielkich mas ludności, gotowe każdéj chwili wybuchnąć, wreszcie nadmierny ciężar podatkowy, spowodowany potrzebą utrzymywania ubogich i odpowiednich środków zaradczych higienicznych i politycznych. Zobaczylibyśmy stosunki francuskie z epoki poprzedzającéj bezpośrednio wielką rewolucyę, stosunki tak politycznie jak i gospodarczo jak najbardziéj zgubne.

Należy przeto poszukać innych środków, a można je jedynie znaleść w zapewnieniu wszystkim mieszkańcom odpowiednich środków do życia, *minimum* e g z y s t e n c y i. W instynkcie samozachowawczym leży już dążność do konserwacyi raz nabytych rzeczy, rzadko tylko znajdzie się jednostka, która dla przyszłych, niepewnych zysków, zechciałaby poświęcić podstawy swéj egzystencyi. Kto nie rozporządza żadnym majątkiem, nie pobiéra żadnych dochodów, ten oczywiście

łatwo zdecyduje się na zmianę, na wychodźctwo, nie pozostawia bowiem niczego, nie ma nic do stracenia, wiele do zyskania. Człowiek bogaty może również zaryzykować część swych dochodów, dla osiągnięcia bardzo znacznych korzyści, gdyż nawet gdyby jego nadzieje się nie spełniły, pozostanie mu jeszcze dosyć, będzie mógł z łatwością powetować swe straty, natomiast gdy stosunki dopiszą, osiągnie zyski bardzo doniosłe. Lecz cała ludność żyjąca w średnich warunkach, wszyscy, którzy nie cierpią wprawdzie niedostatku, lecz najmniejszą stratę odczuliby natychmiast, gospodarują bardzo przezornie i ostrożnie, nie rachują na przypadek, nie poświęcają nigdy miernéj teraźniejszości, chociażby dla świetnéj lecz niepewnéj przyszłości, która może być wprawdzie bardzo dla nich hojną, lecz może również odebrać im to, co już posiadają. Warstwy średnio zamożne są zawsze najkonserwatywniejszym elementem, najbardziéj przywiązanym do panujących stosunków, gdyż od nich zależy ich byt i położenie. Wszelkie przewroty, wszelkie radykalne reformy i zmiany tak polityczne jak i społeczne natrafiają u nich na najsilniejszą opozycyę, u nich zarazem spotykamy najwięcéj przywiązania do kraju, okolicy i ludzi, pomiędzy którymi wzrośli i żyją. Dlatego téż i emigracya najmniéj ma między nimi zwolenników, godzą się na nią dopiéro wtedy, gdy wskutek wychodźctwa warstw skrajnych, nie mają już dawnych środków utrzymania, gdy z średniéj zamożności przeszli już do ubóstwa, stali się proletaryatem żyjącym w niedostatku.

Rządy zrozumiały to już od dawna, dlatego téż wszędzie widzimy dążność do wytworzenia silnéj warstwy średniéj, w rolnictwie i przemyśle starają się państwa popiérać małych producentów, którzy posiadając nie wielki majątek, nie łączyliby się z proletaryatem i zwycięsko walczyli z naporem wielkich kapitałów, równie jak socyalizm niebezpiecznych dla władzy państwowéj. Co jednak robi się w niektórych tylko gałęziach produkcyi, należy rozszerzyć na całe społeczeństwo, chcąc utrzymać zdrowe stosunki socyalne, należy wszystkim obywatelom dać środki do życia. Wtedy nie będzie potrzeba zakazów emigracyjnych, zbyteczną będzie kosztowna polityka kolonialna, gdyż cały naród żyjąc w średniéj zamożności, nabierze cech warstw średnich, nabierze przywiązania do kraju, ojczyzny, państwa i stosunków w nim panujących.

Państwo przeto w imię własnego interesu winno zapewnić każdéj jednostce, pracującéj gospodarczo, najniezbędniejsze środki utrzymania, czyli t. zw. *minimum* e g z y s t e n c y i. Domagając się tego, zbliżamy się bardzo do teoryi, nakazującéj rozdział dóbr według potrzeb ludzkich, lecz znacznie ściśléj i dokładniéj określamy granicę naszych

żądań. Kiedy powoływanie się na potrzeby doprowadza do samowoli, podporządkowuje całą organizacyę społeczną woli jednostek, *minimum* egzystencyi jest ilością, którą można oznaczyć z góry dla całych warstw ludności; kiedy rozdział według potrzeb wyjątkowo tylko dałby się przeprowadzić, środki bowiem, któremi społeczeństwo rozporządza, pospolicie nie wystarczają na zaspokojenie wszystkich możliwych wymagań,— *minimum* egzystencyi może istnieć w praktyce, gdyż każde gospodarstwo społeczne winno pokrywać wszystkie niezbędne potrzeby: gdzie tego nie zdoła uczynić, ustrój jest zły, należy go poprawić lub zmienić.

Kilkakrotnie już zaznaczyłem, że potrzeby ludzkie zależą w znacznéj mierze od epoki i miejsca, w których żyjemy, jakotéż od poglądów swych podmiotów. Istnieją wprawdzie pewne potrzeby nieodbicie konieczne, bez których niepodobna utrzymać zdrowia lub życia, które każdy człowiek jednakowo odczuwa, lecz i ta równość jest tylko rodzajową, ocena poszczególnych objawów tych potrzeb, rozmiar ich i doniosłość różnią się między sobą, zmieniają się wskutek okoliczności zewnętrznych, czasu, stosunków przyrodniczych, zatrudnienia i stanowiska społecznego. Potrzeby jedzenia, mieszkania, ubrania, snu i t. p. odczuwa każda jednostka, każdy musi je zaspokoić, każdy jednak ponosi w tym celu odmienne koszta, a zupełna równość jest tu niemożliwa, gdyż jak uczy medycyna, zmiana raz przyjętego trybu życia odbija się na zdrowiu częstokroć nader niekorzystnie. Z drugiéj strony, dostrzegamy pewne równomierne traktowanie wszystkich niezbędnych potrzeb u ludzi żyjących w tych samych warunkach naturalnych i społecznych, należących do téj saméj sfery. Gdybyśmy sobie wyobrazili dwóch gospodarzy rozporządzających równemi dochodami, przeznaczonemi wyłącznie na pokrycie najniezbędniejszych wydatków, zobaczylibyśmy natychmiast, że o ile rozporządziliby zupełnie odmiennie swemi dobrami, gdyby należeli do sfer rozmaitych, o tyle poglądy ich i wydatki byłyby niemal jednakowe, jeżeli zaliczają się do téj saméj warstwy społecznéj i gospodarczéj. Równość ta i rozmaitość dadzą się wytłumaczyć częścią stosunkami ściśle gospodarczemi, częścią zaś wychowaniem, nawyknieniami i otoczeniem. Lekarz, adwokat, uczony potrzebuje większego mieszkania niż urzędnik, tamci bowiem pracują w domu, bez osobnéj pracowni nie mogą się obejść, urzędnik zaś otrzymuje ją już od swego pracodawcy. Potrzeby zmieniają się wskutek stanowiska społecznego, jak tego dowodzą nam koszta reprezentacyjne wszystkich naczelników urzędów centralnych, zmieniają się według różnicy klimatu, według epoki i miejsca zamieszkania. Na północy potrzebujemy znacznie więcéj na jedzenie, ubranie i mieszkanie niż na

południu, dzisiaj nie potrafilibyśmy żyć bez bardzo wielu rzeczy, o których nikt nawet nie myślał przed kilkudziesięciu laty, w miastach żyjemy inaczéj niż na wsi. Przyjrzyjmy się tylko modzie. Ludność miejska ubiera się mniéj więcéj wszędzie jednakowo, bardzo niechętnie tylko zgodzimy się na używanie ubrania, którego już nikt nie nosi, ludność wiejska zachowała dotąd prawie powszechnie swój strój pierwotny, nie odczuwa tak bardzo potrzeby jego zmiany.

W każdéj warstwie znajdujemy przeto odmienny układ potrzeb, inną ich ocenę, lecz zarazem wszystkie jednostki należące do téj saméj sfery żyją mniéj więcéj jednakowo, posługują się temi samemi środkami. Na dowód można tu przytoczyć nasze stosunki towarzyskie. Społeczeństwo dzieli się na koła towarzyskie, złożone prawie wyłącznie z ludzi, należących do téj saméj sfery, gdyż odczuwając te same potrzeby, mając jednakowe zapatrywania, najwięcéj sobie odpowiadają, najlepiéj się rozumieją. Różnice powstają dopiéro wtedy, gdy po pokryciu potrzeb niezbędnych, pozostają jeszcze środki na zaspokojenie wymagań mniéj ważnych. Natenczas subiektywizm, nie natrafiając już na żadne zapory w przyrodzie, opinii, zatrudnieniu i stosunkach z ludźmi, odzyskuje całą swą niezależność, wtedy gospodarz kieruje się wyłącznie swą własną wolą, wybiera to, czego najbardziéj pragnie, a ocena jest już najzupełniéj indywidualna, nie zna żadnych motywów ogólnéj natury, jest ściśle osobista.

Dlatego też nie można domagać się rozdziału według indywidualnych potrzeb, albowiem miara ich byłaby niewiadomą, natomiast możemy oznaczyć wysokość potrzeb niezbędnych, *minimum* egzystencyi dla każdéj warstwy społecznéj. Niejednokrotnie też przedsiębrano to w praktyce, chociaż zawsze błędnie i niewłaściwie. Rozliczne państwa nakładając podatki dochodowe, uwalniały od nich pewne dochody, jako konieczne do utrzymania życia, jako *minimum* egzystencyi, w wielu krajach starano się oznaczyć rozmiary ziemi niezbędnie potrzebnéj do utrzymania rodziny, zabraniając dalszego jéj rozdziału, zawsze jednak zadawalano się jednakową cyfrą dla wszystkich podatników, czy też dla wszystkich rolników całego kraju, stąd też pozostawiano jednym za wiele, innym zabierano tyle, że z pozostałéj reszty nie mogli już opędzić swych wydatków. Niejednokrotnie wykazywano już wady podobnego postępowania, spotykano się jednak zawsze z zarzutem, że przeprowadzenie postulatów naukowych na tém polu napotkałoby w praktyce na niezwalczone prawie trudności, wymagałoby pracy i kosztów, któreby przyprawiły państwo o straty znacznie większe od korzyści, jakich się można spodziewać z racyonalnego zastosowania praw gospodarczych co do *minimum* egzystencyi. Zarzut ten nie zaczepia przeto zasadniczo naszego żądania, zarzuca mu tylko niepraktyczność,

możemy go więc obalić jedynie powołaniem się na stosunki życia. Rzeczywiście też znajdujemy w niém wiele przykładów dowodzących niezbicie, że praktyka może również specyalizować potrzeby i wydatki. Niektóre podatki starają się oznaczyć dochód indywidualny, uwzględnia się przy nich, jak np. przy podatku gruntowym, wszystkie okoliczności, wpływające na położenie gospodarza, właściwości gruntu i okolicy, w któréj on leży, ceny płodów i robocizny, koszta produkcyi i obdłużenie. W niektórych państwach, jak np. w Austryi, bierze się w rachubę w niektórych wypadkach wprost stosunki pewnéj warstwy społecznéj. Kto chce wstąpić do służby rządowéj, musi się wykazać pewnym dochodem, którego wysokość oznaczono odmiennie w miarę wydatków związanych z danem zatrudnieniem, urzędnicy czynni dostają na koszta reprezentacyi rozmaite sumy, według wymagań ich stanowiska, pensye funkcyonaryuszy państwowych zmieniają się według miejscowości, w któréj mają pełnić swą służbę. Praktyka uznaje przeto niejednokrotnie różnice potrzeb, wywołane miejscem zamieszkania, zatrudnienia, stanowiskiem społecznem i stosunkami zewnętrznemi, może więc uznać je zarazem co do *minimum* egzystencyi, rozszerzyć stanowisko, na którém stanęła w niektórych wypadkach specyalnych.

Z powyższych wywodów wynika, że niepodobna jest podać stałéj cyfry, któraby odpowiadała *minimum* egzystencyi. Oznaczenie jéj należy do polityki ekonomicznéj, odmiennéj dla każdego kraju, państwa i czasu, uzbrojonéj znajomością stosunków, panujących w danem miejscu, epoce i warstwie społecznéj. Jednakże jak wszędzie, tak i w téj kwestyi może nauka postawić pewne zasady ogólne, wskazać czynniki, z których *minimum* egzystencyi winno się składać, podać wskazówki, wedle których można je ocenić, pozostawiając polityce praktyczne wykonanie tych praw i przepisów.

Każda jednostka przechodzi w życiu gospodarczém trzy fazy. W młodości niezdolna zarobić na swe utrzymanie, musi się oglądać na pomoc drugich, w sile wieku opiéra się na swéj własnéj działalności, starość nie pozwala jéj znowu pracować, winna pokrywać swe potrzeby z rezultatów uzyskanych w pełni sił życia. Stąd też każdy gospodarz zapobiegliwy, bacząc nietylko na teraźniejsze, lecz i na przyszłe potrzeby, powinien zabezpieczyć swą starość, odkładając część swych dochodów na lata niemocy. Z drugiéj strony ma on zwrócić to wszystko, co otrzymał w swéj młodości, powinien dać swym dzieciom wychowanie i wykształcenie, jakie sam dostał od rodziców. Leży to w interesie całego społeczeństwa, gdyby się bowiem zużywało natychmiast wszelkie rezultaty swéj pracy, starość stałaby się ciężarem dobroczynności publicznéj, produkcya narodowa nie mogłaby się odnawiać, gdyż na-

stępne generacye nie miałyby do pracy odpowiednich kwalifikacyi, musiałyby zginąć, zanimby się do niéj uzdolniły.

Takie są ogólne zasady co do *minimum* egzystencyi wszystkich członków społeczeństwa. Jednakże w społeczeństwie istnieje jedna, zwyczajnie najliczniejsza klasa ludzi, utrzymujących się wyłącznie z pracy rąk swoich, pozbawionych własności i stałych dochodów, którym nie wystarcza zabezpieczyć starość i wychowanie w dzieciństwie. Okres, w którym mogą zarobić na swe utrzymanie, nie jest u nich stały, nie mogą nań liczyć z pewnością. Choroba, klęska, przypadek, wreszcie brak sposobności do pracy, odbiera im środki do życia, równa ich ze starcami i dziećmi. Kto posiada jakikolwiek majątek, może z jego dochodów, a w najgorszym razie z samego kapitału pokryć nieprzewidziane straty; kto go nie ma, skazany jest bezwarunkowo na nędzę. Wprawdzie, gdy na potrzeby bieżące narusza się swój majątek, niszczy się tém samém źródło dochodów przyszłych i pogarsza późniejsze położenie, lecz gdy w społeczeństwie każdy przy pracy może dojść do pokrycia swych niezbędnych potrzeb, utrata majątku nie odbiera mu *minimum* egzystencyi. Wypadek taki szkodzi niewątpliwie gospodarstwu społecznemu, lecz nie stoi na równi z pozbawieniem pracy ludzi, wyłącznie z niéj żyjących. Utrata własności, nawet jeżeli nie pozostaje szkodą ściśle indywidualną, gdy ma charakter straty ogólnéj, obniża jedynie środki produkcyi, któremi społeczeństwo rozporządza, zmniejsza jego majątek, lecz nie odbija się na ludności, która mimo tego może posiadać dość środków utrzymania; bezrobocie odbiera wprost utrzymanie pewnéj grupie ludzi, zmusza ich do wychodztwa lub skazuje na śmierć głodową. Ochrona własności, jeżeli rzeczywiście wchodzi w zakres zadań państwowych, opiéra się na zupełnie innych podstawach niż kwestya przesileń robotniczych, nie ma nic wspólnego z utrzymaniem zaludnienia w pewnéj wysokości, lecz jak się przekonamy poniżéj, wypływa z potrzeby odpowiedniego społecznego podziału pracy.

Tém wyczerpujemy wszystkie czynniki, wchodzące w skład *minimum* egzystencyi. Bez względu na położenie majątkowe gospodarzy, winno ono zabezpieczać wychowanie pokoleń przyszłych, utrzymanie siebie samego i swéj rodziny w sile wieku, wreszcie pokrycie potrzeb starości, w klasach zaś pozbawionych majątku i stałych dochodów, przybywa nadto potrzeba zaspokojenia potrzeb w czasach, gdy mimo zdolności i chęci do pracy podmiot ekonomiczny skazany jest na bezczynność z przyczyn od niego niezależnych. Oczywiście byłoby zupełnie niewłaściwe domagać się, by państwo zapewniło to wszystko rzeczywiście każdéj jednostce, wystarcza zupełnie, jeżeli organizacya społeczna umożliwia każdemu osiągnięcie tego celu. Kto nie chce

się starać o swe potrzeby, kto woli żyć w niedostatku, byleby nie pracować, ten dla państwa i społeczeństwa jest jeżeli już nie szkodliwy, to w każdym razie zbyteczny, nie ma potrzeby starać się o jego utrzymanie. Państwo nie działa tutaj w imię etyki, lecz własnego interesu, w danym wypadku nie ma żadnéj korzyści, nie ma więc obowiązku. Zupełnie inną jest rzeczą kwestya utrzymania *minimum* egzystencyi w pewnéj wysokości u ludzi biorących udział w gospodarstwie społeczném. Tutaj interes ogółu schodzi się z interesem prywatnym, tak państwo jak i jednostka winny się o nie starać. Lecz państwo widzi daléj i lepiéj niż jednostka, szczególniéj, jeżeli ta nie stoi na dość wysokim stopniu cywilizacyi, naturalną jest rzeczą, że człowiek najczęściéj nie ma dość siły woli, by zapanować nad chwilowemi wrażeniami. Szczególniéj w klasach niezamożnych panuje powszechnie wielka nieopatrzność, poświęca się dla chwilowéj przyjemności bardzo doniosłe interesy nawet najbliższéj przyszłości. Ciągła walka z troskami codziennemi, rzadkość jakiejkolwiek odmiany nadaje przyjemnościom wielki urok, któremu niekażdy umié się oprzéć. Późniejsze braki i cierpienia karzą ciężko podobną chwilę niemocy, lecz nie zdołają jéj usunąć, leży ona bowiem w naturze ludzkiéj, opiera się na słabości naszéj woli. Gdyby nieopatrzność jednostek wpływała jedynie na ich położenie, państwo nie miałoby ani prawa, ani obowiązku starać się jéj przeszkodzić; ponieważ, jak widzieliśmy, z utrzymaniem *minimum* egzystencyi związany jest byt ogółu, przeto w zakresie władzy państwowéj leży piecza o rzeczywiste jego zabezpieczenie, państwo, kierując się egoizmem, powinno zmusić jednostki pracujące do racyonalnego gospodarowania, do pokrywania z dochodów niezbędnych swych potrzeb. Jak nie ma obowiązku do utrzymywania indywiduów zbytecznych, tak z drugiéj strony nie wystarcza wytworzenie samé j możności życia dla pożytecznych członków społeczeństwa, niewolno jest składać na nich całéj winy, opuścić ich zupełnie, gdy nie umieli skorzystać ze stosunków, gdy wskutek swéj słabości popadli w nędzę. Od ich dobrobytu zależy pomyślność ogółu, państwo rozminęłoby się ze swém powołaniem, gdyby pozwoliło na zależność swych losów od postępowania jednostek. Jak nieopatrzność leży w naturze ludzkiéj, jak się usuwa przeszkody przyrodnicze, tak téż powinno się wykorzeniać błędy leżące w charakterze narodowym. Państwo winno zapewnić *minimum* egzystencyi jedynie użytecznym członkom społeczeństwa, tych jednak ma zarazem zmusić, by je posiadali.

Widzieliśmy, że zapewnienie wszystkim obywatelom pokrycia najniezbędniejszych potrzeb leży w egoistycznym interesie państwa, że

domaga się tego byt państwowy, nierozłącznie związany z utrzymaniem ludności. Nie podlega również najmniejszéj kwestyi, że społeczeństwo jest w téj sprawie tak samo interesowane, jak i państwo, gdyż od ilości jego członków zależy rozwój produkcyi narodowéj, praca potrzebna do jéj powodzenia i zbyt jéj rezultatów. Nie wszyscy atoli odczuwają jednakowo tę potrzebę, u jednych występuje ona silniéj, u drugich słabiéj, na jednych działa bezpośrednio, na innych dopiéro pośrednio. Robotnik, niemający środków do życia, pozna najlepiéj błędy naszéj organizacyi, która nie daje mu sposobności do utrzymania siebie i swej rodziny, odczuwa je tak potężnie, że najchętniéj opuszcza wówczas swe strony rodzinne; fabrykant, który wskutek emigracyi utracił swych robotników, i kupiec, u którego zaopatrywali się w potrzebne im towary, będą już mniéj, lecz zawsze jeszcze dość silnie tym faktem dotknięci; inne warstwy dostrzegą go dopiéro wtedy, gdy jego skutki odbiją się na ich gospodarstwie, gdy wskutek przesilenia ekonomicznego, spowodowanego nadprodukcyą, utracą swe oszczędności, albo téż gdy brak robotnika, podnosząc koszta pracy, sprowadzi ogólną drożyznę. *Minimum* egzystencyi wpływa najsilniéj na człowieka, który go potrzebuje, decyduje bowiem o całym jego losie; słabiéj już, lecz zawsze jeszcze bezpośrednio na ludzi, których pomyślność zależy od dobrobytu, a przynajmniéj od istnienia warstw korzystających z *minimum* egzystencyi, pośrednio dopiéro na wszystkie inne klasy. W tym téż stosunku winno państwo rozdzielić koszta, jakieby spowodowało zaprowadzenie *minimum* egzystencyi. Największą ich część winni ponosić bezpośrednio interesowani, a więc w znaczniejszéj mierze ci, którzy zeń korzystają, w cokolwiek niższym stopniu ludzie od nich zależni w swym bycie gospodarczym, reszta winna się pokryć kosztem całego społeczeństwa, wszyscy bowiem mają w tém interes, aby każdy mógł korzystać z dochodów wystarczających na najniezbędniejsze przynajmniéj potrzeby. Jak sądownictwo utrzymuje się z dochodów ogólnych, z podatków, gdyż każdemu zależy na tém, by mógł w razie potrzeby bronić swego prawa, prócz tego zaś strony rzeczywiście spór wiodące muszą w drodze opłat pokrywać jego koszta, tak i na *minimum* egzystencyi winni się składać wszyscy i jednostki bezpośrednio interesowane.

Wszystkie czynniki, z których winno się składać *minimum* egzystencyi, dadzą się rozdzielić na dwie części: 1) dostateczne dochody w okresie pracy; 2) zapewnienie utrzymania w czasie, gdy człowiek nie może się starać o swe potrzeby. Do pierwszéj kategoryi należy zabezpieczenie bytu gospodarza i jego rodziny, a więc także odpowiedniego wychowania dzieci, do drugiéj piecza o starość, a u klas bezwłasnościowych utrzymanie w razie przypadkowéj niezdolności do pracy

wskutek choroby lub przypadku, jako téż w czasie bezrobocia. Dla tego téż zadanie państwa na tém polu jest dwojakie; winno się starać o zapewnienie obywatelom dostatecznego wynagrodzenia za ich działalność i o zabezpieczenie ich bytu w chwili, gdy z jakiegokolwiek słusznego powodu pracować nie mogą. Zadanie to można spełnić albo przez objęcie całéj działalności gospodarczéj w zarząd państwa, albo téż przez odpowiedni wpływ na gospodarstwa prywatne. Idąc pierwszą drogą, musiałyby państwa zmienić przedewszystkiém radykalnie naszą organizacyę na ustrój projektowany przez kolektywistów. Nie wchodząc w pytanie, o ile on jest wskazany i wykonalny, musimy podobny projekt odrzucić już z tego powodu, że dla wprowadzenia *minimum* egzystencyi jest on zupełnie zbyteczny, a sam egoizm nakazuje starać się o osiągnięcie wszystkiego jak najmniejszym kosztem i trudem. Jeżeli więc istnieją inne środki, wymagające mniejszych wydatków i skromniejszéj pracy, natenczas należy bezwarunkowo dać im pierwszeństwo. Posiadamy je téż rzeczywiście. Państwo może przeprowadzić wszystkie postulaty, odnoszące się do *minimum* egzystencyi, nie naruszając podstaw naszéj organizacyi, służy mu do tego odpowiednia regulacya płac i cały system zabezpieczeń wszelkiego rodzaju. Zobaczymy to najlepiéj, przechodząc kolejno wszystkie czynniki, z których składa się *minimum* egzystencyi.

1. Dostateczne utrzymanie gospodarza i jego rodziny w sile wieku. Chcąc je zapewnić każdemu obywatelowi, należy dać mu dochody, któreby wystarczyły na jego potrzeby. Bez kwestyi najtrudniéj przeprowadzić to u warstw pozbawionych własności, pracujących w cudzém gospodarstwie. Gospodarz, rozporządzający pewnym majątkiem, ma już w nim samym oparcie, może żyć z kapitału, cała trudność rozpoczyna się dopiéro z chwilą, gdy zużył całą swą własność na pokrycie wydatków bieżących, gdy musi utrzymać się wyłącznie z pracy. Wynagrodzenie jéj, podobnie jak cena każdego towaru, układa się na podstawie dwustronnéj, formalnie dobrowolnéj umowy, państwo więc nie ma żadnego środka, by wpłynąć na jéj rezultaty. Znajduje jednak tutaj potężnego sprzymierzeńca w naturze człowieka i jego egoizmie. Każda praca jest w zasadzie nieprzyjemnością, na którą się godzimy niechętnie, działając w myśl korzyści osobistéj, podejmiemy się jéj tylko pod warunkiem, że przyniesie nam zyski, przewyższające trud, jaki wywołuje. Stąd téż nikt nie zgodzi się na zapłatę, któraby nie pokrywała przynajmniéj najniezbędniejszych jego potrzeb, gdyż pracując lub nie, nie zdoła się w tych warunkach utrzymać przy życiu, a woli zginąć w spokoju niż umrzéć po bezużytecznych trudach i przykrościach. Zrozumiała już to klasyczna szkoła angielska,

tworząc t. zw. spiżowe prawo płacy, rozumié to i praktyka: nie próbując nigdy obniżyć wynagrodzenia poniżéj kosztów utrzymania, uznaje *minimum* egzystencyi dla robotnika. Różni się ono jednak znacznie od zasad przez nas przyjętych, a różni się pod dwoma względami, z jednéj strony obejmuje jedynie utrzymanie samego tylko robotnika, bez względu na jego rodzinę, z drugiéj zaś zapewnia mu środki do życia tylko na czas rzeczywistéj pracy, nie patrząc na okresy, w których on zarabiać nie może, czy to dla swego wieku dziecięcego, czy to dla choroby, przypadku, kalectwa lub starości, czy wreszcie bezrobocia. Lecz zmysł familijny i rodzicielski, tak silny w naszéj naturze, nie zgodziłby się nigdy na podobny stan rzeczy, gdyby gospodarz, nie mając czém utrzymać swéj rodziny, musiał patrzéć na nędzę swych ukochanych; stąd téż starano się zapobiedz oporowi robotników, płynącemu z tego źródła, rozszerzając jak najbardziéj pracę kobiet i dzieci. Wtedy każdy członek rodziny pracuje sam na siebie, każdy przyczynia się do jéj utrzymania, głowa jéj może się zgodzić na niższe wynagrodzenie, gdyż uzupełnią je żona i dzieci. U nich nie gra już roli kwestya utrzymania życia, najmniejsze nawet wynagrodzenie jest czystym zyskiem, gdyż gdyby nie pracowali, cały ciężar utrzymania domu spoczywałby na głowie rodziny, która w ich pracy znachodzi znaczne ulgi. W ten sposób powstaje praca kobiet i dzieci, która z podwójną szybkością pogarsza stanowisko robotników, albowiem pewnéj ich części odbiera sposobność zarobku przez swe rozszerzanie się, a zarazem uwalniając robotników od konieczności utrzymywania całéj familii, godzi ich z myślą niższéj płacy, obejmującéj *minimum* egzystencyi dopiéro w połączeniu z pracą swéj rodziny. Zawsze mamy tu do czynienia z *minimum* egzystencyi, koniecznym skutkiem egoizmu ludzkiego, widzimy je tylko znacznie zredukowane, sprowadzone do możliwie najniższych granic.

Państwo, mając wprowadzić na tém polu zdrowe stosunki, potrzebuje jedynie uchylić powody, deprymujące pierwotne żądania robotników. Zakaz pracy dzieci, ograniczenie pracy kobiet i nieletnich, wzmoże popyt za robotnikiem dorosłym, zmusi przedsiębiorców do ofiarowania lepszych warunków. Z drugiéj strony robotnik, nie mogąc już liczyć na pomoc swéj rodziny w utrzymaniu domu, nie zgodzi się na zapłatę, którąby nie wystarczała na pokrycie najniezbędniejszych potrzeb, wynagrodzenie jego będzie musiało odpowiadać rzeczywistemu *minimum* egzystencyi w epoce sił do pracy. W ten sposób zastosowuje się praktyka do dwóch pierwszych warunków: utrzymania rodziny i wychowania dzieci; w ten sam sposób można uzyskać i inne czynniki. Służą do tego przymusowe ubezpieczenia. Gdyby państwo przerzuciło cały ciężar utrzymania w czasie wypadku, choroby, starości i bezrobo-

cia na ogół ludności, nie wpłynąłby on wcale na wysokość wynagrodzenia. Nie miałby również w tym kierunku żadnéj doniosłości, gdyby ubezpieczenie było dobrowolne, albowiem w takim razie robotnik, znajdujący się w przykrém położeniu, zgodziłby się na płacę niższą, odpowiadającą jedynie potrzebom teraźniejszym, nie bacząc na przyszłość, która, jak wiadomo, przedstawia się nam zawsze mniéj lub więcéj zamglona, słabiéj oddziaływa na wolę i postępowanie. Lecz, jak widzieliśmy, ciężar ubezpieczenia winne ponosić przedewszystkiém klasy bezpośrednio interesowane, a więc sami robotnicy. Wskutek tego przyszła potrzeba, domagająca się zapewnienia sobie życia w latach późniejszych, staje się w praktyce teraźniejszą, przemienia się w obowiązek płacenia premii asekuracyjnych w obecnéj chwili. Obowiązek ten jest wydatkiem koniecznym, gdyż ściąga się natychmiast przy wypłacie wynagrodzenia, zmniejsza więc środki, jakiemi w danéj chwili rozporządza robotnik. Jeżeli jego płaca była ściśle oznaczona według niezbędnych potrzeb, nie zdoła już ich pokryć po odjęciu premii, a tém samém nie zdoła się z niéj utrzymać. Znowu zachodzi wypadek omówiony już wyżéj, wynagrodzenie nie wystarcza na niezbędne *minimum* egzystencyi, nie zgodzi się więc na nie żaden gospodarz, płaca musi być odpowiednio zwiększona. W ten sposób tworzy państwo prawdziwe *minimum* egzystencyi, bez uciekania się do ustroju socyalistycznego, korzystając jedynie z instynktu samozachowawczego. Wskutek przerzucenia ciężarów przymusowych na głowę rodziny, zakazu pracy jéj członków i przymusowego ubezpieczenia, nie pozwala mu się na przyjęcie płacy poniżéj *minimum* egzystencyi, podnosi się ją odpowiednio w górę.

2. Zwrot kosztów wychowania i wykształcenia, czyli środki na utrzymanie dzieci. Wynagrodzenie, pobierane przez robotnika, winno mu wystarczyć na wychowanie dzieci. Wprawdzie dzisiejszy rozwój przemysłu pozwala, a nawet pragnie zatrudniać nieletnich, gdyż w ten sposób zmniejszają się koszta produkcyi, jednakże państwo nie może tego dopuścić. Jako wieczne, ma ono obowiązki wobec przyszłych generacyi, powinno im pozostawić te same warunki rozwoju, jakie zastały pokolenia dzisiejsze. Zezwalając na pracę dzieci, rozmija się ze swém zadaniem, gdyż nie pozostawia im dość czasu na rozwój fizyczny i fachowy, nie daje im się wykształcić w swym zawodzie. Dla tego téż zakaz pracy dzieci, a ograniczenie pracy nieletnich, leży w zakresie obowiązków państwowych, ściśle już związanych z bytem społecznym.

3. Ubezpieczenia wszelkiego rodzaju (starości, choroby, przypadku i bezrobocia), przeprowadzone już dzisiaj prawie powszechnie, dadzą się również usprawiedliwić interesem ogólnym, zatrzymują bowiem ludność dla państwa we wszystkich wypadkach. Jak

widzieliśmy, część kosztów pokrywa tu ogół obywatelski, druga rozdziela się między pracodawców a ubezpieczonych. Wskutek przymusowego obowiązku uiszczania premii, wynagrodzenie pracy musi być odpowiednio wyższe, aby nawet po potrąceniu tych wydatków wystarczyła na utrzymanie całéj rodziny. Szczegółowe rozpatrywanie ubezpieczeń przechodzi zakres naszéj pracy, nasuwa się tu tylko jedna uwaga. Ponieważ robotnik może płacić premie tylko wtedy, gdy ma zatrudnienie, przeto w czasie bezrobocia nie mógłby podołać temu zadaniu. Wskutek tego ubezpieczenie jego na czas bezrobocia winno być tak wysokie, aby obejmowało zarazem koszta wszystkich innych ubezpieczeń, innemi słowy, aby po potrąceniu premii na zabezpieczenie od starości, choroby i przypadku, pozostawało mu jeszcze dość środków na opędzenie wydatków niezbędnych jego rodziny. Tutaj też występuje najlepiéj potrzeba udziału całego społeczeństwa w ubezpieczeniu pracy. Gdyby obowiązek ten spoczywał jedynie na robotnikach i pracodawcach, cały ciężar ubezpieczenia w epoce najkrytyczniejszéj, w czasie bezrobocia, spadłby na robotnika, wówczas bowiem nie byłoby przedsiębiorców, którzyby się przyczyniali odpowiednio do tych kosztów. Stąd też albo płaca w czasie bezrobocia musiałaby przewyższać zwykłe wynagrodzenie robotnika o premie płacone przez przedsiębiorców, po potrąceniu premii na bezrobocie, albo też nie otrzymywaliby oni wówczas *minimum* egzystencyi. Jedno i drugie byłoby nieracyonalne i dla społeczeństwa niekorzystne, gdyż w pierwszym wypadku ciężar ubezpieczenia byłby dla pracodawców i robotników bardzo znaczny, musieliby sami pokrywać potrzeby ogólne tego rodzaju, koszta produkcyi niepomiernieby wzrosły, w drugim nie istniałoby *minimum* egzystencyi, nie osiągniętoby głównego celu całéj działalności, nie zdołanoby utrzymać ludności.

W ten sposób przedstawia się kwestya *minimum* egzystencyi dla wszystkich członków społeczeństwa, którzy znajdują dość sposobności do zużycia swych sił do pracy. Pozostaje jeszcze do rozstrzygnięcia pytanie, czy społeczeństwo zdoła zapewnić *minimum* egzystencyi jednostkom zupełnie pozbawionym utrzymania, niezatrudnionym. Wchodzimy tu w kwestyę p r a w a d o p r a c y. Z chwilą, gdy robotnik znalazł już miejsce, można mu zapewnić *minimum* egzystencyi przez odpowiedni nacisk na wysokość wynagrodzenia, przez właściwy system ubezpieczeń. Jeżeli jednak nie ma on żadnego zatrudnienia oba te sposoby nie dadzą się zastosować, nie ma płacy, nie ma skąd pobierać premii asekuracyjnych. W społeczeństwie jednak nie powinny się przecież znajdować osoby, skazane wprost na śmierć głodową, wzdryga się na tę myśl każde szlachetniejsze uczucie, stąd też starano się znaleźć inne drogi, postawiono zasadę, że każdy ma prawo do utrzymania, prawo do

pracy. Z tego stanowiska jednak nie zdołamy nigdy zaradzić tym brakom. Chociażbyśmy nawet przyjęli powyższą zasadę, pozostanie ona dopóty niepraktyczną, dopóty nie przyniesie żadnych korzyści, dopóki nie wskażemy zarazem, w jaki sposób i przeciw komu można tego prawa dochodzić. Zrozumiano to natychmiast, dla tego téż starano się na państwo przerzucić obowiązek dostarczenia pracy każdemu, prawa do pracy można było przeciw państwu dochodzić. Podobna doktryna nie da się jednak utrzymać ani w teoryi, ani w praktyce. Gdyby państwo musiało się kierować interesami każdego ze swych obywateli, gdyby w jego postępowaniu etyka grała decydującą rolę, możnaby się zgodzić na prawo do pracy, skierowane przeciw państwu. Lecz nawet w takim wypadku bardzo trudno byłoby orzec, czy państwo może spełnić ten obowiązek, czy zastosowując się do niego, nie narusza innych, równie lub więcéj ważnych praw i interesów. Wszystkie próby praktyczne zawiodły, dość wspomnieć tu tylko warsztaty narodowe we Francyi w r. 1848. Teorya oświadczyła się również przeciwko temu. Jedynie w ustroju ściśle socyalistycznym, w którymby istniał, obok prawa do pracy, przymus do niéj, możnaby na państwo nałożyć podobny obowiązek; lecz i tutaj nie dałby się on przeprowadzić w życiu, jeżeliby nie nie pociągnął za sobą normowania z góry całéj produkcyi, wszelkich potrzeb, jednolitego wychowania i wykształcenia, słowem, najzupełniejszéj fizycznéj i społecznéj równości. W przeciwnym razie, każdy mógłby się domagać nie pracy wogóle, lecz pewnego jéj rodzaju, odpowiadającego jego upodobaniom, państwo mogłoby mieć w pewnych zawodach za wiele, w innych za mało robotników, byt jego zależałby, jak przy rozdziale według potrzeb, od samowoli jednostek. Konieczna byłaby najzupełniejsza równość, która, jak widzieliśmy, omawiając różne zasady rozdziału, jest niewykonalna; prawo do pracy nie da się przeprowadzić nawet w ustroju socyalistycznym.

Musimy się więc zwrócić znowu do naszéj myśli zasadniczéj, do egoizmu państwowego. Jak o *minimum* egzystencyi stara się państwo tylko o tyle, o ile ono służy użytecznym jednostkom, tak téż zapewnia tylko potrzebną pracę, stara się utrzymać jedynie konieczną ludność, nie dba o zbyteczną. Wszystkie jednostki chętne do pracy znajdą w społeczeństwie o tyle zatrudnienie, o ile społeczeństwo potrzebuje ich działalności, o ile siły do pracy odpowiadają warunkom naturalnym, innym środkom produkcyi. Jeżeli ludność kraju przejdzie te granice, natenczas jest za wielka w stosunku do zajętego obszaru, ukazują się wszelkie braki nadmiernie gęstego zaludnienia, państwo powinno się starać we własnym interesie o jego odpływ, o wychodztwo. Wtedy dopiéro powstaje potrzeba polityki kolonialnéj i emigracyjnéj, nie ma mo-

wy o prawie do pracy: Odpowiednia organizacya emigracyi jest tu jednak konieczna, albowiem niezatrudnieni nie zdołają może dla braku środków opuścić kraju, wskutek czego stają się ciężarem dla dobroczynności publicznéj, a zarazem swym naciskiem obniżają wynagrodzenie pracy, zmuszają państwo do znaczniejszych wysiłków dla utrzymania *minimum* egzystencyi. Prawo do pracy, którego domagają się niektórzy od państwa, jest zawsze nieusprawiedliwione: dla jednostek społeczeństwu potrzebnych zbyteczne, znajdą one bowiem zawsze zatrudnienie, dla bezużytecznych zaś nie ma ani powodu, ani też nie można go przeprowadzić. Państwo, wkraczając w sferę gospodarstwa społecznego, czyni to zawsze w imię swych interesów; korzyści, jakie z tego odnoszą poszczególne warstwy, nie są ich prawem, płyną dla nich jedynie przypadkowo, jedyném prawem jest dobro państwa.

Państwo wreszcie może rzeczywiście przeprowadzić *minimum* egzystencyi w tych granicach, jakieśmy oznaczyli. Wobec tego, że nie uznajemy ogólnego prawa do pracy, lecz jedynie obowiązek odpowiedniego utrzymywania tych osób, które dla społeczeństwa są pożyteczne, których udział w produkcyi i konsumcyi jest konieczny, przeto muszą one znaleźć zatrudnienie, muszą otrzymywać wynagrodzenie za swą pracę, a tém samém państwo może wpływać na wysokość płacy. Wzrosną wprawdzie wskutek tego koszta produkcyi, a tém samém i ceny wytworów, lecz zarazem *minimum* egzystencyi, zabezpieczone wszystkim obywatelom, zapewni zbyt wytworów, pozwoli na stałą uregulowaną produkcyę, uchyli nieprzewidziane przesilenia. Wyższym cenom odpowiedzą u robotników wyższe dochody, inne zaś warstwy będą w nich płaciły, obok podatków, przypadającą na nie część pokrycia wydatków, sprowadzonych nową organizacyą; ta i im również zapewnia znaczne korzyści, ustalając ich byt gospodarczy, któryby musiał znacznie ucierpieć, gdyby niedostatek, panujący u klas bezwłasnościowych, zmuszając je do wychodztwa, wstrząsnął wszelkiemi podstawami urządzonego już od dawien dawna systemu gospodarstwa społecznego.

VI.

Dzisiejsze państwa przyjęły za zasadę zupełną równość prawną wszystkich swych obywateli. Dopóki istniały w tym względzie różnice, dopóki każda klasa miała sobie tylko właściwe prawa i obowiązki, dopóty rząd mógł utożsamiać interes całego państwa z interesami téj warstwy, która zajęła stanowisko zwierzchnicze, która na mocy swych przywilejów miała wyłączne prawo do udziału w sterowaniu całém

społeczeństwem. Z chwilą jednak, gdy zrównano wszystkich obywateli, gdy państwo uznało ich wszystkich za członków społeczeństwa, powstał dla państwa nowy obowiązek: równego rozkładania swych ciężarów i korzyści. Od téj chwili interes państwa nie da się odłączyć od interesów ogółu obywateli, wszyscy bowiem są równouprawnieni, wszyscy mają prawo domagać się takiéj saméj troskliwości. Zależy od tego byt całego państwa. Oparł się on na zasadzie równości, naruszając ją, burzy się fundamenta organizmu państwowego, niszczy się warunki jego życia. Rzeczywiście posiadamy formalną równość wobec prawa, nie ma jednak mowy o równości materyalnéj. Gdyby państwa, organizując się na nowych podstawach, zastały wszędzie jednakowe stosunki, wtedy równouprawnienie szablonowe wystarczyłoby zupełnie. Tak jednak nie było. Poszczególne warstwy społeczne w rozmaitém znajdowały się położeniu, równość prawna musiała więc na nie rozmaicie oddziałać. Nacisk tego samego faktu na odmienne stosunki musiał dać rozmaite wyniki, bo różna była suma przyczyn, z których powstała wypadkowa. Praktyka zrozumiała to w jednym wypadku, w kwestyi uwłaszczenia gruntów włościańskich. Nie zadowolono się samém uznaniem ich wolności, nadano im również grunta na przystępnych warunkach, inaczéj bowiem nie mogliby pracować. Dawniejsza organizacya upośledziła ich pod względem gospodarczym, chcąc im zapewnić równość, należało usunąć upośledzenie, nie wystarczało zniesienie ograniczeń prawnych.

Tak samo należało postąpić wszędzie, tymczasem wszystkie ustawodawstwa poprzestały na ogłoszeniu równości wobec prawa, nie troszcząc się wcale o to, czy ich postulat uzyska praktyczną doniosłość, czy podobny przepis prawny może wytworzyć rzeczywistą, społeczną równość obywatelską. Nic téż dziwnego, że szczytna ta myśl pozostała martwą literą, że wywołała swém istnieniem nowe braki, nowe niezadowolenie Przedtém nierówność społeczna miała swe usprawiedliwienie w całéj organizacyi państwowéj, z mocy prawa istniały klasy uprzywilejowane, potężne, mające przewagę w społeczeństwie, i poddani, zależni, ograniczeni tak politycznie, jak i socyalnie. Obecnie prawnie wszyscy są równi, gospodarczo istnieją różnice znaczne, może silniejsze od dawniejszych, nic więc dziwnego, że słyszymy głośne skargi na obecny ustrój. Dawniejsza organizacya tłómaczyła zupełnie istniejące różnice, tak klasom wyższym, jak i niższym przedstawiały się one jako zupełnie naturalne, konieczne, wywoływały co najwyżéj uczucie nieszczęścia i zawiści; dzisiaj każdy ma teoretycznie równe prawa, w życiu jednak codzienném każdy w inném znajduje się położeniu, w razie jakiegokolwiek ucisku czuje się nietylko nieszczęśliwym, lecz i pokrzy-

wdzonym, domaga się nietylko polepszenia bytu, lecz i kary dla tych, którzy go krzywdzą, domaga się zemsty. Równość formalna zamiast polepszyć stosunki, pogorszyła je jeszcze bardziéj, bo stanęła w sprzeczności z rzeczywistém życiem, dała uprawnienia, a nie mogła zapewnić ich wykonania, albowiem żadna ustawa nie może wprowadzić rzeczywistéj, materyalnéj równości, bez odpowiedniego uregulowania stosunków ekonomicznych.

Gospodarstwo społeczne nie jest przyrodą opartą na niewzruszalnych podstawach, nie kieruje się wiecznemi i niezmiennemi prawami natury, lecz zależy przedewszystkiém od woli ludzkiéj, która przy odpowiednim wysiłku może je ulepszyć lub zepsuć, utrzymać, zmienić lub zniszczyć. Stąd téż wszelkie izolowanie zjawisk społecznych, oderwanie ich od człowieka jest zupełnie błędne, nie prowadzi do poznania obecnych stosunków, ani téż nie okazuje celów dalszych, nie wskazuje środków, któreby mogły dać więcéj szczęścia ludności. Jak hygiena domaga się równomiernego pielęgnowania wszystkich organów, tak i ekonomia winna dążyć do jednakowego rozwoju wszelkich sił gospodarczych, inaczéj cały dobrobyt będzie tylko sztucznym, cieplarnianym krzewem, który zginie za lada podmuchem mroźniejszego wiatru.

Już na pierwszy rzut oka dostrzegamy w społeczeństwie dwie wielkie kategorye ludzi, stojących pozornie wrogo naprzeciw siebie, a mimo tego wzajemnie się wspierających, nawzajem sobie koniecznych: producentów i konsumentów. Kierując się egoizmem i jego konsekwencyą, gospodarnością, obie te warstwy dążą do wręcz przeciwnego celu: producent stara się pozbyć swe towary jak najdrożéj, konsument nabyć je jak najtaniéj. Stąd powstaje między nimi walka, antagonizm interesów. W rzeczywistości cel ostateczny jest identyczny po ob stronach; każda stara się zaspokoić swe potrzeby najniższym kosztem, uzyskać ze swego majątku najwyższe dochody, oba wrogie sobie obozy łączą się wreszcie w jeden łańcuch, sprzeczność zewnętrzna wynika jedynie z odmiennego ich stanowiska w ogólnéj pracy społecznéj. Walka odbywa się na polu wymiany, rezultatem jéj jest odpowiednie oznaczenie ceny dóbr pozbywanych, względnie nabywanych. Gdy przyjdzie do zgody, obie strony będą zadowolone, obie bowiem uzyskały korzyści, których przedtém nie miały, obie zaspokoiły swe potrzeby, przedtém niepokryte. Tu właśnie widać wzajemne popieranie się wrogich pozornie stronnictw; dobrobyt konsumenta wzrósł przy pomocy producenta i na odwrót do szczęścia wytwórcy przyczynił się spożywca. Wymiana jest w naszych czasach koniecznym warunkiem dobrobytu ogółu, chcąc go podnieść, należy przedewszystkiém na nią zwrócić uwagę.

Wymiana opiera się na odmiennéj u każdego ocenie danéj rzeczy. Gdybyśmy oceniali jednakowo wszystkie dobra, o wymianie nie mogłoby być mowy, byłaby bowiem zbytecznym jedynie trudem, nie przynoszącym żadnych korzyści. Rozmaitość subiektywnych poglądów na wartość dóbr jest pierwszą podstawą wymiany, jest niezbędnym dla niéj warunkiem. Powszechnie wiadomo, że wartość subiektywna zależy z jednéj strony od potrzeb, z drugiéj zaś od dóbr, któremi rozporządzamy. Im więcéj ich posiadamy, a mniéj odczuwamy potrzeb, tém wartość ich jest niższa; im silniejsze są potrzeby, a skromniejsze środki, tém wyżéj je cenimy, słowem wartość mierzy się minimalną korzyścią, jaką nam dane dobro w myśl gospodarności zapewnić może. Przy wymianie wchodzą w grę dwie wartości: ocena przedmiotów, które pragniemy nabyć, i wartość dóbr w zamian ofiarowywanych. Cena jest rezultatem starcia się obu tych wartości. Człowiek bogaty, który nie potrzebuje sobie niczego odmawiać, zapłaci najczęściéj znacznie drożéj chwilową fantazyę, niż ubogi za przedmiot rzeczywiście niezbędny; dla zamożnego bowiem cena kupna nie przedstawia prawie żadnego uszczuplenia, ubogi nie może się na nią zgodzić, bez utraty pokrycia dla najważniejszych swych potrzeb. Milioner płaci częstokroć więcéj za godzinę zabawy niż nędzarz za całoroczne utrzymanie, pierwszy bowiem rozporządza znacznemi pieniędzmi, drugi nie posiada ich wcale, nie ma środków na zaspokojenie swych potrzeb.

Lecz jak wymiana służy do rozprzestrzeniania i zwiększania dobrobytu, tak też właśnie wskutek tego, że jest walką dwóch wartości subiektywnych, stanowi środek wyzysku czy to poszczególnych jednostek, czy też całych warstw przez drugie. Wszystko reguluje się na podstawie umowy, na któréj zyskują bezwątpienia obie strony, lecz w któréj zawsze zwycięża zręczniejszy i potężniejszy. Ze stanowiska indywidualnego nie można temu niczego zarzucić, każdy działa w imię swéj własnéj korzyści, kieruje się egoizmem, chce jak najwięcéj zyskać bez względu na to, jak to się odbije na położeniu reszty ludności. Dostrzegamy to zarówno na małym, jak i wielkim targu. Gdy jedna strona ma świadomość swéj przewagi, gdy wié np., że kupiec musi bądź co bądź pozbyć swój towar, albo też, że nabywca koniecznie chce dany przedmiot posiadać, natenczas działając w myśl zasady, lepiéj zyskać więcéj niż mniéj, ofiarowuje ceny znacznie niższe niż zwyczajnie, a druga strona musi na nie przystać, albowiem zawarcie umowy jest dla niéj konieczne, jest pozbawiona wszelkich środków obrony. Najdokładniéj przebija się to we wszystkich wypadkach, w których przymus jest ogólnie znany, a więc przy upadłościach, licytacyach przymusowych, wreszcie przy nadprodukcyi. Towary pozbywane wskutek upadłości, albo

też grunta sprzedawane przymusowo, uzyskują, jak wiadomo, bardzo nizkie ceny jedynie dla tego, że każdy wié doskonale, iż właściciel musi się zgodzić na wszystko; w razie nadzwyczajnych urodzajów, albo téż nadmiernego wzrostu produkcyi w jakiéjkolwiek gałęzi, wytwórcy muszą pozbywać swe produkty poniżéj ich kosztów, gdyż znając ich położenie, nikt nie zechce zapłacić im więcéj. A jednak te same towary, te same realności kupiliby ci sami nabywcy znacznie drożéj, gdyby nie czuli się silniejszymi od pozbywających, zapłaciliby o wiele lepsze ceny, gdyż wartość, jaką do tych dóbr przywiązują, jest znacznie wyższa. Ta sama ilość cukru zaspakaja u téj saméj osoby w tym samym czasie zawsze jednakowe potrzeby, a wobec tego, że położenie jéj gospodarza jest niezmienione, ma zarazem tę samą wartość, czy cukru jest za dużo, czy za mało; lecz w czasie nadprodukcyi konsument jest silniejszy od fabrykanta, a postępując gospodarnie, stara się pokryć swe potrzeby jak najtaniéj, dla tego téż wyzyskuje na swą korzyść przykre położenie wytwórcy, spowodowane nadmierną produkcyą.

Podobne stosunki zachodzą wszędzie, stąd téż wyliczenie dokładne wszystkich form wyzysku, spowodowanego rozmaitém uzdolnieniem do wymiany, byłoby i niemożliwe i zupełnie zbyteczne. Jednakże możemy tu odróżnić kilka zjawisk typowych, w których wyzysk opiera się wprawdzie, jak zawsze, na rozmaitych siłach stron kontraktujących, lecz w których przyczyna téj odmienności sił jest w każdym wypadku inna. Wszędzie wyzyskują silniejsi słabszych, lecz wszędzie siła i słabość wypływa z innych powodów.

1. Przewaga własności nad pracą. Gospodarz, którego całe utrzymanie opiera się jedynie na zużyciu swéj siły do pracy, który nie rozporządza żadnemi środkami materyalnemi, znajduje się zawsze w znacznie gorszém położeniu, niż człowiek posiadający pewne kapitały rzeczowe, czy pieniężne. Stąd téż na targu, na którym oznacza się cena pracy, przedsiębiorca jest najczęściéj silniejszy od robotnika, traci bowiem w najgorszym razie, gdy umowa nie przyjdzie do skutku, część swego dochodu przez powstrzymanie lub ograniczenie swéj produkcyi, robotnik natomiast, nie znalazłszy zatrudnienia, nie ma za co się utrzymać, traci środki do życia. Jedna i druga strona wié doskonale o swém wzajemném położeniu, nabywca pracy pojmuje dokładnie swą wyższość, dla tego téż umowa musi zawsze wypaść na jego korzyść. Wynagrodzenie pracy stoi przeto zawsze przy możliwie najniższych granicach, zapewnia robotnikowi jedynie najniezbędniejsze utrzymanie, czas trwania pracy, któréj się producent w zamian domaga, jest natomiast oznaczony jak najwyżéj, robotnik musi pracować bardzo długo. Naturalnie przedsiębiorca zyskuje w ten sposób podwójnie, gdyż

za małe stosunkowo wynagrodzenie kupuje bardzo wiele pracy, robotnik odpowiednio traci, gdyż jego wysiłki nie stoją w żadnym stosunku do swych rezultatów. Pomijam tu już zupełnie wyzysk robotnika na drodze najniemoralniejszéj, przez odciąganie mu w rozmaity sposób części umówionéj zapłaty, czyto w formie wynagrodzenia szkody, czy kary za opóźnienie, czy t. zw. *truck-system*; lecz nawet w saméj istocie wymiany, nabycia pracy, leży powód, dlaczego robotnik zwyczajnie musi być wyzyskany przez przedsiębiorcę.

2. Przewaga wielkich gospodarstw nad małemi. Jak przedsiębiorca ma niezaprzeczoną wyższość nad robotnikiem, tak téż wogóle człowiek zamożniejszy jest silniejszym od uboższego, musi go zwyciężyć przy zupełnéj wolności gospodarowania. O rezultatach produkcyi decyduje z jednéj strony ilość wytworów, z drugiéj zaś ceny, jakie się za nie uzyskuje, a w jednym i drugim wypadku produkcya na wielką skalę ma górę nad małą. Nie potrzeba na to dowodów, że produkcya prowadzona na wielką skalę, używająca najnowszych zdobyczy techniki, musi w tym samym czasie wykazywać wyniki znacznie doniośléjsze, niż produkcya mała, musi miéć znacznie więcéj wytworów. Z drugiéj strony każdy postęp techniczny zmniejsza koszta produkcyi. Cena wskutek tego albo opada, albo téż pozostaje w dawnéj wysokości. W pierwszym wypadku traci mały producent, gdyż koszt jego pozostał w dawnéj wysokości a cena jest niższa; w drugim korzysta głównie wielki fabrykant, albowiem wskutek zmniejszenia się kosztów, czysty zysk jego jest absolutnie i stosunkowo znacznie większy. To samo odnosi się do znajomości stosunków targowych, konjunktury, reklamy i obywania się bez bardzo drogich pośredników handlowych między producentem a konsumentem, wogóle do wszystkich czynników, od których zależy zwiększenie lub zmniejszenie dochodów. Gospodarz zamożny znajdzie się zawsze w lepszém położeniu, a tém samém będzie coraz daléj rozszerzał przedział między sobą a mniejszymi producentami; kiedy jego majątek będzie wzrastał bezustannie, tamci zaledwie zdołają się utrzymać przy swém gospodarstwie. Stąd téż pierwotna ich nierówność majątkowa wzmaga się coraz bardziéj, mały producent nie zdoła nigdy zbliżyć się do wielkiego przedsiębiorcy, nie może być nawet mowy o powszechnéj równości wszystkich obywateli.

3. Przewaga małego handlu nad małą konsumpcyą. Wiadomo powszechnie, że wszystkie szkoły socyalistyczne uderzają przedewszystkiém na handel, twierdząc, że jest on zupełnie niepotrzebny, że nie przyczynia się wcale do podniesienia dobrobytu ogólnego, że jego działalność jest nie tylko bezużyteczna, lecz nawet szko-

dliwa, a mimo tego uzyskuje on w nowoczesném gospodarstwie najznaczniejsze dochody. O ile w podobnych poglądach zawiera się wiele przesady, o tyle znowu obrońcy handlu idą zadaleko, gdy uczą, że handel ma największą zasługę około wzrostu ekonomicznego społeczeństw w naszém stuleciu. Wobec panującego podziału pracy pośrednictwo między wytwórcą a konsumentem jest prawie niezbędnie potrzebném, producent nie zawsze mógłby znaleść chętnych nabywców na swe płody, częstokroć bowiem służą one na pokrycie potrzeb bardzo odległych okolic, konsumentowi trudnoby było znosić się bezpośrednio z wytwórcami, gdyż odległość miejsca, czasu, wreszcie nieznajomość stosunków targowych i brak wykształcenia fachowego, stałyby mu zawsze na przeszkodzie. Jest to prawie niemożliwe, aby jednostka miała stosunki rozgałęzione na całym świecie, aby rozumiała się doskonale na jakości i wartości wszystkich potrzebnych jéj wytworów, aby fabrykant przeprowadzał korespondencyę z każdym, który tylko chce nabyć chociażby najmniejszą ilość jego płodów, aby zajmował się ich wysłaniem i opakowaniem, a wiadomo że najniezbędniejsze nawet potrzeby pokrywamy wytworami najrozmaitszych okolic, że czy w ubraniu, czy w urządzeniu domu, czy wreszcie w jedzeniu, każda prawie cząstka powstaje w inném miejscu, u innego wytwórcy. Wskutek tego pośrednictwo między konsumentem a producentem jest niezbędnie potrzebne, oszczędza bowiem czas i trudy obu stronom, ułatwia im wymianę, a poświęcając się temu wyłącznie, stara się ją we własnym interesie jak najlepiéj urządzić, zapewnić odbyt jak największy producentom, jak najlepiéj zaspakajać potrzeby konsumentów. Gdyby opłata za te usługi nie przenosiła wydatków, któreby musiały powstać w razie bezpośredniego porozumiewania się produkcyi z konsumpcyą, klasa pośrednicząca miałaby bezwarunkowo uprawnienie bytu ze stanowiska gospodarstwa społecznego, byłaby dla niego użyteczną. Tego jednak mimo najlepszych chęci powiedziéć nie można, egoizm indywidualny, chęć korzyści osobistéj, wywołuje najczęściéj odmienne skutki, tak konsumenci jak i producenci są wyzyskiwani przez swych pośredników.

Nigdzie nie występuje tak silna różnica między wielkiém a małém gospodarstwem, jak w handlu. Stanowi on wprawdzie jednolitą instytucyę ekonomiczną, lecz w praktyce, w swych skutkach i stosunkach z resztą społeczeństwa rozpada się właściwie na dwa zupełnie odrębne, luźnie tylko swym ostatecznym celem złączone działy, na handel wielki i mały. Od jednego i drugiego zależą gospodarstwa, pomiędzy którémi on pośredniczy, jeden i drugi ma ekonomiczną przewagę nad producentem lub konsumentem; lecz kiedy handel wielki

wywiera ją głównie na produkcyi, handel mały wyzyskuje przedewszystkiém konsumpcyę.

W małym handlu jest to widoczne na pierwszy rzut oka, jest tak powszechne, że oparto na tém zjawisku daleko bardzo idący, przechodzący wszelkie granice etyki, wyzysk robotnika przy pomocy t. zw. *truck-system* t. j. wypłaty wynagrodzenia po gospodach i przymusu zaopatrywania się w potrzebne rzeczy w sklepach z góry oznaczonych, zwyczajnie prowadzonych na rachunek pracodawcy. Kupiec ma zawsze wyższość nad małym konsumentem głównie z trzech powodów: większéj znajomości stosunków handlowych i ekonomicznych, lepszéj sytuacyi gospodarczéj, wreszcie wskutek siły przyzwyczajenia. Handel zajmuje się wyłącznie wymianą, w walce wywołanéj przez nią starają się obie strony jak najwięcéj skorzystać, jak najmniéj utracić. Lecz w małym handlu wszystkie trzy poprzednio wskazane przyczyny zwracają się przeciw nabywcy, wszystkie pomagają kupcom. Przy ofiarowywaniu cen kierujemy się głównie doświadczeniem i przyzwyczajeniem; nikt wprawdzie nie zapłaci sumy przewyższającéj wartość subiektywną, jaką przywiązuje do danego towaru, lecz w tych granicach gotów jest zgodzić się na każdą cenę, dążąc naturalnie do możliwego jéj obniżenia. Z własnego lub cudzego doświadczenia zna mniéj więcéj dawniejszą jego wartość targową, z góry już jest na nią przygotowany, jeżeli nie zdoła zawrzéć korzystniejszego układu. Powszechny ten sposób myślenia nie jest obcym sprzedawcy, nie zgodzi się on przeto na żaden opust, wié bowiem doskonale, że w końcu otrzyma żądaną cenę, a woli większą niż mniejszą korzyść. Stąd téż zyski, jakie obie strony odnoszą przy podobnéj wymianie, nie stoją do siebie najczęściéj w żadnym stosunku; nabywca płaci z reguły prawie całą swą wartość subiektywną, kupiec sprzedaje swój towar znacznie ponad swe koszta. Powodem tego jest nieznajomość stosunków targowych po stronie kupującego, którą sprzedawca zręcznie umié wyzyskać. Dostrzegamy to najlepiej w chwilach, gdy z jakichkolwiek powodów odpada jedna z przyczyn podnoszących wartość wytworów, np. w razie zniesienia lub zmniejszenia niektórych ciężarów publicznych. Mimo tego, że się zniesie cła na towary obce, cena ich w małym handlu pozostanie jeszcze przez dość długi czas w dawnéj wysokości, albowiem publiczność jest już do niéj przyzwyczajona, nie zdaje sobie sprawy z jéj powodów, płaci ją i nadal, aż do chwili, w któréj pośrednicy handlowi zmuszeni wzajemną konkurencyą sami jéj nie obniżą. Przewaga małego handlu nad małą konsumpcyą, polegająca głównie na wyższém wykształceniu gospodarczém sprzedawców, zapewnia im prawie zawsze na targu zwycięstwo.

4. Przewaga kapitału piéniężnego nad rzeczowym. Powszechnie wiadomą jest rzeczą, że każdy gospodarz przenosi dobra obecnie już istniejące, ponad przyszłe, któremi dopiéro kiedyś będzie mógł rozporządzać. To przywiązanie do teraźniejszości, które w życiu dostrzegamy na każdym kroku, opiéra się na bardzo poważnych podstawach teoretycznych, na znaczeniu czasu dla gospodarstwa społecznego. Przedmioty już skończone, gotowe, posiadają zawsze wyższą wartość od dóbr przyszłych, gdyż mogą zaspokoić większą liczbę potrzeb, zapewniają właścicielowi swemu większy dobrobyt. Dobrami teraźniejszemi możemy pokryć natychmiast nasze potrzeby, albotéż przechować je na zabezpieczenie wymagań przyszłych, dobra, które uzyskamy dopiéro po pewnym czasie, są bezsilne wobec potrzeb poprzedzających ich nabycie, innemi słowy, są mniéj użyteczne, mniejszém przeto cieszą się uznaniem, niższą posiadają wartość. Na tych prawidłach opiéra się przewaga kapitału piéniężnego ponad rzeczowym. Od chwili powstania gospodarstwa piéniężnego, właściciel gotówki znajduje się w lepszém położeniu niż posiadacz innych dóbr, piéniądz bowiem jest zawsze bliższym bezpośredniego użycia niż wszystkie inne kapitały, użyte jako środki produkcyi. Wskutek panującéj formy wymiany, wskutek przyjęcia piéniądza za jedyny miernik wartości, kapitał rzeczowy musi przedewszystkiém zmienić swą formę, przemiénić się na piéniądz, zanim będzie mógł nabyć potrzebne w danéj chwili towary. Jest on o jedną fazę odleglejszym od bezpośredniego użycia niż kapitał piéniężny, jest niejako dobrem późniejszém, a więc mniéj wartościowém. Gospodarz posiadający gotówkę, może ją każdéj chwili umieścić w produkcyi najdochodniejszéj, jest zależny wyłącznie od swéj woli, człowiek rozporządzający jedynie kapitałem rzeczowym, chcąc zmienić swe gospodarstwo, musi najpierw zrealizować swój majątek, co nie zawsze jest możliwe, a nawet w najszczęśliwszych okolicznościach łączy się z pewnemi trudnościami i stratami. Dlatego téż kapitalista w zwyczajném tego słowa znaczeniu, jest zawsze silniejszy od właściciela dóbr rzeczowych, stąd płyną tak częste skargi na potęgę finansistów, na przewagę kapitałów piéniężnych.

Ta siła kapitału pieniężnego objawia się głównie w dwóch formach, dwie zasadnicze drogi służą posiadaczom piéniądza do wywarcia wpływu na swą korzyść, do wyzysku innych warstw społecznych. Są niemi stosunki kredytowe, które szczególniéj w dzisiejszych czasach nabrały tak olbrzymiego znaczenia, i jednostronne normowanie cen.

Kredyt, owa potężna dźwignia dzisiejszych gospodarstw, jest może najsilniejszym objawem potęgi kapitału piéniężnego. Właściciel

majątku rzeczowego, skrępowany jego kształtem i terminami jego wydajności, nie posiada w rozmaitych epokach dostatecznych środków utrzymania i prowadzenia swego gospodarstwa, musi antycypować rezultaty swéj ekonomicznéj pracy, a czyni to w formie pożyczek, w drodze kredytu. Wskutek tego jednak jest on słabszy od posiadacza gotówki, musi się poddać jego woli, godzi się na dyktowane przezeń warunki. W ten sposób tworzy się drogi kredyt, powstaje lichwa. Kapitał pieniężny, znając niemoc swego przeciwnika, nie poprzestaje na zwykłém oprocentowaniu, domaga się nadwyżki, częstokroć bardzo znacznéj, zagarnia część dochodów dłużnika dla siebie.

Wpływ ten wzmógł się jeszcze w naszych czasach przez olbrzymi wzrost spekulacyi pieniężnéj. Gra giełdowa dając bardzo wysokie zyski dyferencyalne, zabiera znaczną liczbę kapitałów wolnych na swą wyłączną korzyść, nie pozwalając na ich umieszczenie w racyonalnéj produkcyi, wywołuje takie same skutki, jak gdyby społeczeństwo cierpiało na ubóstwo kapitałów. Pieniądz drożeje nadmiernie, każdy chce utrzymać swą gotówkę w ręku, gdyż przy jéj pomocy gra na zwyżkę lub zniżkę; producenci pracują w bardzo trudnych warunkach, albowiem pieniądz dając bardzo niskie zyski przy sprzedażach giełdowych, domaga się bardzo znacznego równoważnika, w towarach, obniżając ich ceny, bardzo znacznych procentów w razie pożyczki. Od czasu do czasu jednak kampania giełdowa zmienia cel swéj działalności, następują nagłe zniżki kursów, powstaje najstraszniejsze ze wszystkich kataklizmów gospodarczych, przesilenie pieniężne i kredytowe. Znowu pieniądz drożeje, znowu tracą na tém wszystkie warstwy z wyjątkiem szczęśliwych posiadaczy gotówki, dla których ta klęska ogólna, jest nowém źródłem bogactwa i dochodów.

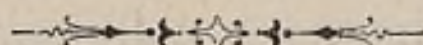
Wielki handel odgrywa wobec producentów taką samą rolę, jaką objął handel mały w stosunku do konsumentów. Tak jak tam drobny kupiec podnosi ceny swych towarów, przy ich pozbyciu, tak tutaj na odwrót wielki handel występuje w charakterze kapitału pieniężnego, obniża, normując jednostronnie ceny, wartość wszelkich wytworów. Producent jest zależny od kapitału pieniężnego nietylko w chwilach przetwarzania lecz i w czasie, gdy jego działalność wydała już spodziewane owoce; jak potrzebuje kredytu w epoce poprzedzającéj wyniki produkcyi, tak też musi pozbyć swe wytwory, gdy one już istnieją. Z jednéj strony nie może on ich zużyć w swém własném gospodarstwie, z drugiéj zaś nie zdoła niemi opędzić wszystkich swych potrzeb, wytwarza bowiem zawsze dobro jednogatunkowe, potrzebuje natomiast towarów najrozmaitszego rodzaju. Sprzedaż płodów jest więc dlań nieodzowna, gdy jéj nie uskuteczni, nie ma środków do życia. To też

z dwojga złego wybierając mniejsze, pozbędzie je w razie niekorzystnéj konstelacyi handlowéj za jaką bądź cenę, byleby wyższą od jego wartości subiektywnéj, jak wiadomo, bardzo niskiéj, równéj prawie zeru. Wiedzą jednak o tém i nabywcy, szczególniéj w wielkim handlu, stąd też w imię własnéj korzyści starają się wywołać chociażby chwilowo tylko niekorzystne dla produkcyi stosunki, obniżają nadmiernie ceny, by je potém podnieść do dawniejszéj wysokości, gdy nabyte płody zaczną odstępować właściwym konsumentom. W ten sposób zagarniają cały zysk z fluktuacyi cen, biorą go bez straty i trudów, ze szkodą wszystkich innych warstw ludności. Widzimy to doskonale przy cenach zbożowych, widzimy nagłą ich zniżkę w chwili zbiorów, gdy zboże ze spichlerzy producentów przenosi się do składów wielkich handlarzy, a więc kapitalistów, widzimy ich wzrost w czasie, gdy nabywają je konsumenci, a stąd nadmierny, niczém nieusprawiedliwiony zysk dla owych pośredników. Jak w wypadkach wspomnianych wyżéj, tak i tutaj wyzysk opiera się na przewadze gospodarczéj kapitałów pieniężnych, które zmniejszają sztucznie wartość wytworów, wiedząc, że producenci muszą pozbyć swe płody za wszelką cenę, że ekonomicznie słabsi muszą się zgodzić na postawione warunki.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.



Na południu Afryki.



Nie można doprawdy uskarżać się na prozaiczną jednostajność międzynarodowego życia w dogorywającém naszém stuleciu. Co moment wybuchają, na rozmaitych punktach ciasnego naszego świata niespodziane wypadki, których echa falistym ruchem przenikają do najoddaleńszych jego zakątków. Zaledwie ustał zgiełk wojny na azyatyckim wschodzie, gdy kwestya ormiańska postawiła przed rozdwojoną Europą zagadnienie stare ale zawsze drażliwe—ewentualnego rozbioru Turcyi, a gdy się nagromadzone tam chmury rozpraszać zaczęły, wystrzeliła raca na południowym zrębie Afryki. Ta posiada w sobie wszystkie czynniki, wszystkie warunki dramatycznego interesu. Na pierwszy rzut oka, wtargnięcie Jamesona na czele zbrojnego oddziału w granice sąsiedniéj rzeczypospolitéj wygląda na flibustierkę. Ale gdy się wejdzie głębiéj w przyczyny téj awanturniczéj napaści, spostrzeże się że tam na dalekim zrębie czarnego kontynentu rozgrywa się wielki dramat cywilizacyjny. Od rozwiązania, jakie on znajdzie, a które jest jeszcze tajemnicą przyszłości, zależéć będzie nie tylko polityczne ale i rasowe ukształtowanie się południowéj Afryki. Pod względem państwowym albo pozostanie ona kolonią angielską i Wielka Brytania będzie przez nią dzierżyła hegemonię w téj części świata, albo téż utworzy się tam niezależne państwo federacyjne, *Afrikanderbund* o interesach wbrew europejskim przeciwnych, pod względem plemiennym idzie

albo o zlanie odrębnych szczepów anglo-saskiego z holenderskim, albo o wyparcie jednego przez drugi.

A nietylko że zagadnienie samo w sobie jest potężne i nie może żadnego wykształconego umysłu zostawić obojętnym, ale i pierwszorzędni działacze, aktorzy w tym historycznym dramacie udział biorący, przykładają się do wzmocnienia interesu, do zaostrzenia ciekawości. Co za figura, jak ów Cecyl Rhodes, rodzaj hiszpańskiego conquistadora z XVI stulecia, człowiek, który pozyskał dla Wielkiéj Brytanii przestrzenie na 600,000 mil kwadratowych rozległe, król dyamentów i król kopalni złotodajnych, wielkorządca i organizator nowego świata, strącony z piedestału swego chwilowo, ale nie na zawsze: dla tego Napoleona nie będzie Bulawayo wyspą Św. Heleny! Jak mitologiczny Anteusz dotyka się ziemi po to tylko, aby nowych sił nabrać do dalszych zapasów. Co za figura jest ów „Oom Paul", Paweł Kruger, chłop-prezydent rzeczypospolitéj południowo-afrykańskiéj, energiczny, ambitny, chytry, przebiegły, urągający kolosowi potęgi Wielkiéj Brytanii, posługujący się wszelkiemi narzędziami, wszelkiemi wpływami, ażeby zabezpieczyć samodzielność swéj ojczyzny i ochronić ją od zalewu anglo-saskiego! A daléj p. Józef Chamberlain, przedstawiciel rządu angielskiego, minister kolonii, zmuszony do uwięzienia Jameson'a, do wytoczenia mu procesu, zmuszony przez urzędowe swe stanowisko zdetronizować Cecyla Rhodes'a, osłabić pozycyę Towarzystwa handlowego Afryki południowéj, zmuszony stawić czoło rozbisurmanionemu patryotyzmowi angielskiemu, a czynić to wszystko wbrew osobistym swym sympatyom, w poczuciu wysokiego obowiązku i owego rozumu stanu, co lekceważąc łatwe oklaski, zdąża do z góry zakreślonego celu przez ciernistе manowce. Ci trzej zapaśnicy sami jedni, pomijając nawet Jameson'ów, Hofmeyer'ów i cały szereg osobistości drugorzędnych, służących instynktowo nieraz i bezwiednie dalekonośnym sprawom, wystarczają, ażeby prowadzona przez nich akcya, ta naprzód, która leży przed światem, i ta daléj, którą przez mgłę tajemniczych negocyacyi odgadywać dopiéro można, posiadała dla uważnego spostrzegacza drgający życiem interes.

Ażeby zrozumiéć cały problemat południowo-afrykański wśród rozmaitych, na pozór sprzecznych jednych z drugiemi epizodów, nie należy spuszczać z oka téj okoliczności, że pierwiastkowo Cap i organizm kolonialny, jaki około niego z biegiem czasu się uformował, był utworem holenderskim i że do dziś dnia żywioł holenderski jest legalnie dominujący w téj kolonii. Jest prawdą, że gwiazda kolonialna Holandyi zbladła i ma się ku zachodowi, kiedy brytańska błyszczy jaskrawo i prawie cały widzialny horyzont swemi promieniami oświetla; ale nie

ma powodu lekceważyć pierwszéj: wychodzi holenderski boër nieraz obronną ręką ze swych zapasów z różnorodnemi przeciwnościami, a w południowéj Afryce, w każdym razie, okazuje hart i wytrzymałość w walce ze szczęśliwym i liczebnie przemagającym żywiołem brytańskim. Jeżeli nawet ostatecznie, dzięki ciągłemu napływowi z Anglii, zostanie on przekréskowany i stłumiony, to walka będzie homeryczną i czynnik upośledzony potrafi zabezpieczyć dla siebie niejedną kompensatę, niejeden przywilej.

Terytoryum przylądka Dobréj Nadziei, powszechnie zwane Capem, było skolonizowane naprzód przez wschodnio-indyjską kompanię holenderską. Holendrzy i hugonoci francuscy, którzy się do nich przyłączyli, stanowili pierwszy żywioł europejski, który osiadł na afrykańskiém wybrzeżu południowém wśród Kafrów i murzynów miejscowych. Słyszymy obecnie angielskich misyonarzy i filantropów, potępiających bezlitośnie owych holenderskich *burgherów*, że nie potępili niewolnictwa, że się niém posługiwali i że się shańbili niezliczonemi okrucieństwami. Zapominają oni jednak, że idee wyzwolenia niewolników są owocem późniejszego rozwoju cywilizacyjnego i dość jest spojrzéć na sąsiednie kolonie brytańskie w Afryce, aby w nich znaléźć istniejącą dziś jeszcze otwarcie, albo zamaskowaną instytucyę niewolnictwa. W każdym razie, niepodobna Anglikom się chełpić, że opanowali Cap i południe Afryki w tym podniosłym celu cywilizacyjnym. Prowadząc wojnę z Holandyą, wtargnęli tam po raz pierwszy w r. 1793. Przez traktat w Amiens r. 1803, Cap powrócony wprawdzie został Holandyi, ale w trzy lata późniéj, gdy ponownie wojna wybuchła, powrócili tam Anglicy i zajęli go faktycznie. Kongres wiedeński 1815 r. uprawnił tę pozycyę i oddał Anglii Cap, za który zapłaciła Holandyi 6 mil. f. szt. Zarzuty, jakie stronnictwo ultra-brytańskie czyni swemu rządowi, że w ciągu całego prawie stulecia tak małe uczynił postępy, są pozbawione wszelkiéj słuszności. Nietylko gorączka kolonizacyjna jest płodem ostatnich dopiero czasów, nietylko przy dawniejszych utrudnionych komunikacyach ów kraj złota, dyamentów i kości słoniowéj wyglądał fantastycznie, mglisto i prawie niedostępnie, ale zwierzchnicza władza angielska miała tam wiele uprzednich trudności do zwalczenia, ażeby się usadowić na oddalonym krańcu świata zaludnionego przez Kafrów, a wyzyskiwanego przez Holendrów, żywioł, który nie mógł przyjaźnie na tych zdobywców spoglądać. Dzisiejsza ludność Capu wynosi 1,500,000 mieszkańców, a cała południowa Afryka do wybrzeży Zambezi ma ich nie więcéj nad 4 miliony. W pierwszych latach panowania angielskiego ludność ta wynosiła nie więcéj nad 74,000, z których dwie trzecie należały do plemienia hotentockiego, a jedna trzecia była zaledwie europej-

ska. Osadnicy angielscy wkrótce przybywać tam zaczynają, a gdy parlament wyznacza fundusze dla podtrzymywania emigracyi do południowéj Afryki, wzrasta ona i wpływ brytański się ustala.

Rok 1833 jest pamiętną datą w tym rozwoju, gdyż zniesiono wówczas niewolnictwo. Ci, co czytali rozgłośne dzieło świeżo zmarłego historyka Froude'a — „Oceana” — nie zapomnieli ponurego obrazu, jaki on tam nakreślił o cierpieniach i dolegliwościach, które ów akt emancypacyjny sprowadził na rasę hotentocką. Nie ma powodu obecnie nad tą sprawą się rozwodzić: jak dziecię, tak i najwyższa forma bytu społecznego — swoboda — przychodzi na świat w boleściach. Pod względem ekonomicznym kolonia Capu szczęśliwie kryzys ten przebyła i bez najmniejszéj przerwy na coraz wyższe szczeble rozwojowe się wznosiła. Boërowie holenderscy, którzy jako rolnicy niełatwo obywać się mogli bez pracy bezpłatnéj, jakiéj dostarczali im uprzednio miejscowi niewolnicy i niechętnie spoglądający na inwazyę angielską, w ciągu pierwszéj połowy naszego stulecia przesiedlają się stopniowo na północne granice kolonii, przekraczają je i wytwarzają naprzód wolne państwo Orange, a późniéj Transwaal. Jeżeli szybsza i ruchliwsza idzie w ślad za ich osadnictwem fala brytańska, to oba te kraje, tak samo, jak sąsiedni Natal, otrzymały także, jako pierwsze podkłady, ludność szczepu holenderskiego. Współzawodnictwo rasowe od Capu idzie w górę ku Zambezie. Wypadki, jakich obecnie jesteśmy świadkami, były złożone w zarodzie już przed kilku dziesiątkami lat.

Jeżeli pod względem ekonomicznym, rolniczo-przemysłowym, kolonia Capu wzrastała jak na drożdżach, jeżeli pod względem politycznym przedstawiciele władzy angielskiéj przyczyniali się do fundowania i rozszerzenia instytucyi publicznych swobodnych i samodzielnych, to nie można powiedzieć, ażeby rząd angielski i ministrowie kolonialni posiadali byli stałą, jednolitą linię wytyczną co do stosunku kolonii afrykańskich z metropolią, jednych kolonii z drugiemi, jednéj rasy z drugą. Osadnicy angielscy z właściwą sobie energią pracują, wyzyskują kopalnie, stwarzają olbrzymie bogactwa rolnicze i przemysłowe, otwierają środki komunikacyjne i rynki targowe, wiedzą, czego chcą, gdzie są ich współzawodnicy, gdzie ich nieprzyjaciele, jakie przeszkody zwalczać, jakie zło usuwać. Ale rząd angielski w metropolii nie posiada znajomości przedmiotu, waha się, krzyżuje sam z sobą, zmienia swą politykę i nie zdaje się wiedzieć, ani jakie są cele ostateczne, do których dąży, ani jakie środki najprościéj do nich doprowadzają. Trudności, w jakich się znajduje z Transwaalem, są owocem dawniejszéj niedbałości i dawniejszych błędów.

Niemożna się dziwić téj niedbałości rządu angielskiego względem Afryki południowéj: wiele innych i bliższych spraw zaprzątało jego działalność. Gdy mianował gubernatora generalnego dla Capu, w ręce jego składał wielkorządztwo i prawdopodobnie dawał mu poufne zlecenie niewplątywania Wielkiéj Brytanii w żadne kłopoty. Istotnie w samym Capie nie było najmniejszych przez całe dziesiątki lat. Ludność szczepu holenderskiego nietylko posiadała szeroki samorząd, ale była dominującym żywiołem; język holenderski używany jest w trybunałach, w administracyi i w rozprawach parlamentarnych. W ostatniéj ćwierci wieku te aspiracye narodowo-holenderskie zaostrzyły się nawet, ale dzięki pełnemu taktu postępowaniu miejscowego ministeryum i gubernatora, nie stały się drażliwemi. Na czele stronnictwa holenderskiego znajduje się od wielu lat p. Hofmeyer, który odmówił po wiele razy ofiarowanéj sobie pozycyi ministeryalnéj, ale szedł ręka w rękę z rządem angielskim i zdaje się posiadać przekonanie, że współdziałanie z nim dać może większe korzyści jego rodakom, aniżeli systematyczna opozycya, a témbardziéj jeszcze bunt.

Ale jeżeli w wewnętrznéj organizacyi Capu wszystko idzie po stałéj i wytkniętéj drodze, to nie można powiedzieć tego samege o polityce angielskiéj południowo-afrykańskiéj. Jest ona wprawdzie najeżona trudnościami, istnieje tam mnóstwo różnorodnych czynników, z któremi supremacya angielska rachować się musi, wiele także zależy od stronnictwa, które się w Anglii u steru rządu znajduje; mimo tego tak często jedno i to samo ministeryum okazywało wprost przeciwne tendencye, iż ciąży na niém zarzut, że samo nie wiedziało, czego chce i dokąd dąży. Nieraz w ciągu ostatnich dziesięcioleci można było mniemać, że Anglia gotowa jest wyrzec się swego zwierzchnictwa i wycofać się całkowicie. Dla tego też powstawała agitacya za utworzeniem się federacyi południowo-afrykańskiéj, „Afrikanderbundu", gdzieby różne państewka, które się tam wytworzyły, weszły jako części składowe. Jeden z gubernatorów brytańskich został nawet skompromitowany politycznie przez faworyzowanie téj idei. Jako inne dowody téj chwiejnéj polityki rządu angielskiego, przytoczyć można z jednéj strony włączenie Natalu do Capu, co jego potęgę wzmocniło, i rozciągnięcie protektoratu nad Bechunalandem, co uwidoczniło chęć stałego osiedlenia się w Afryce południowéj, a z drugiéj uznanie niepodległości rzeczypospolitych Orange i Transwaalu. Należy się zatrzymać nad temi ostatniemi, gdyż w nich leży jądro obecnych powikłań.

Gdy pod wpływem rządu angielskiego i zwiększającéj się liczby osadników angielskich, boërowie holenderscy nie mogli się rozpościerać na ogromnych przestrzeniach i hodować tam owiec i bydła, gdy ce-

na ziemi stawała się droższa, posunęli się oni ku północy i usadowili na drugiém wybrzeżu rzeki Orange, gdzie znaleźli przed sobą otwarte pole do działalności rolniczéj. W epoce téj, pomiędzy rokiem 1840 a 1850, napływali tam liczni osadnicy, kolonia się rozwijała, ale nie było najmniejszéj wątpliwości, że politycznie zostawała ona pod tém samém zwierzchnictwem, co Cap, którego była odroślą, to jest pod zwierzchnictwem Wielkiéj Brytanii. W r. 1848, znosząc niewolnictwo, rząd angielski objął tę nową kolonię w swoje posiadanie. Ale w cztery lata późniéj następuje zwrot niespodziewany. Mając w Europie wojnę krymską i inne sprawy pierwszorzędnéj wagi, koalicyjne ministeryum angielskie, nie chcąc mieszać się w spory pomiędzy kolonistami angielskimi a holenderskimi w państwie Orange, oświadczyło gotowość zrzeczenia się protektoratu, wyzwolenia téj kolonii z wszelkiéj zależności od Wielkiéj Brytanii i uznania rzeczypospolitéj oranżyjskiéj za państwo niepodległe. Mimo żywych protestacyi żywiołu angielskiego, w r. 1853 lord Aberdeen dokonał téj emancypacyi kraju, którego warunków etnograficznych nie znano wówczas bynajmniéj. Gdy w roku następnym odkryte tam zostały kopalnie dyamentów, gdy fala emigrantów napływać zaczęła, było już za późno się cofać. Własnemi rękami wytwarzając tę rzeczpospolitą oranżyjską na kresach północnych Capu, Anglia usypała kopiec graniczny pomiędzy już posiadanemi w téj części świata koloniami, a temi, któreby w przyszłości utworzyć tam mogła. Spoglądając na ten fakt z dzisiejszego punktu widzenia, patryoci angielscy nie mogą powstrzymać swego oburzenia i obarczają przekleństwami rząd, który bez najmniejszéj potrzeby, dobrowolnie, taki kapitalny błąd popełnił. Żal ten wzmógł się jeszcze, gdy się pokazało, że ta słaba rzeczpospolita oranżyjska nie mogła poradzić sobie sama w wojnie z Basutami i że Cap musiał przyjść jéj w pomoc. Gdy proponowała węzeł federacyjny z Capem, nawet tę propozycyę odrzucono! Następnie nigdy już tak pomyślnie nie przedstawiały się dla Anglii stosunki z wyemancypowaną rzecząpospolitą: w miarę jéj rozwoju wyrabiał się w niéj duch niezależności, a gdy w r. 1868 Cap zajął kraj Basutów, ukształtowały się one nawet nieprzyjaźnie, a sprawa pól dyamentowych w Kimberley zaogniła je jeszcze. Nie można się dziwić, że obecnie kraj ten czuje bardziéj swe węzły z Transvaalem, aniżeli z Capem i gdy dochodzą wieści o zawiązaniu pomiędzy niemi aliansu przeciwko napastnikom angielskim, grożącym im bądź z północy, bądź z południa, nie ma w tém ani moralnego, ani politycznego niepodobieństwa.

Jednocześnie prawie z wytworzeniem się kolonii holenderskiéj pomiędzy północnemi wybrzeżami rzeki Orange a południowemi rzeki Waal, późniejszego niezależnego państwa oranżyjskiego, koloniści ho-

lenderscy przekroczyli tę ostatnią rzekę i osiedlili się na północnych jéj wybrzeżach: po raz pierwszy pojawia się wtedy nazwa Transwaalu. Jeżeli rzeka Waal odcięła tę nową osadę od państwa oranżyjskiego, to północne jéj granice gubiły się w puszczy, a na wschód odcięta była od morza przez kraj Swazi i kraj Zulusów. Już w r. 1852 boërowie Transwaalu zawarli rodzaj konwencyi z komisarzem rządu angielskiego, gwarantującéj im byt samodzielny. Gdy dzisiaj kazuiści polityczni rozbierają i ważą każde słowo owéj konwencyi w Sand River, jest widoczne, że obie strony nadają jéj przesadzone znaczenie. Przed czterdziestu laty nikt nie przeczuwał, że kraj ten stanie się jabłkiem niezgody pomiędzy potentatami świata, a głusze afrykańskie, gdzie rzadcy chłopi koloniści szczepu holenderskiego pasali swe trzody i prowadzili koczujące życie wśród dzikich plemion murzyńskich, nie mogły dla gabinetów europejskich posiadać pierwszorzędnego interesu.

Obliczają, że jakich 6,000 boërów przybyło z Capu i z rzeczypospolitéj oranżyjskiéj pomiędzy rokiem 1835 a 1852 do kraju osiedlonego przez Basutów. Życie ich było najeżone trudnościami. Ciężkie wozy, zaprzężone wołami, torowały sobie drogę przez puszcze, staczając walki ze lwami, z Basutami i z ich wrogami, Zulusami. Wozy, ustawiane w czworobok, były nieraz fortecą, z po za któréj osadnicy bronili się przeciwko swym nieprzyjaciołom. W powieściach Rides Haggard'a i Olivii Schreiner odtworzone są malowniczo te zaczątki organizacyi społecznéj, tak niespodzianie upełnoletnionéj. Posiadali boërowie wielką energię, a nieokrzesana surowość ich obyczajów, ich instynkta zaborcze, ich potrzeba nieokiełznanéj prawnemi formami swobody, znalazły na téj nowéj widowni działalności pożądaną dla siebie scenę. Stawiali czoło mężnie nietylko lwom pustyni, ale Basutom, których wzięli w niewolę, i Zulusom, których obawiać się przestali. Nad tymi dziarskimi przeciwnikami udało się im nawet odnieść kilka walnych zwycięstw i wygnać ich po za rzekę Limpopo. Ten chrzest krwawy daje im tytuł do posiadania Transwaalu. Ale chęć zbliżenia się do morza i podbicia Zululandu, zawikłała boërów w wojnę z Zulusami. Pobici zostali na głowę i sir Teofil Shepstone, dowódca milicyi angielskiéj, ocalił ich od ostatecznéj zagłady, grożącéj im ze strony Cetewaya. Sztandar brytański ocalił boërów od zagłady, ale skorzystał z téj okoliczności, aby swoje zwierzchnictwo państwowe, wątpliwe aż do téj pory, urzędowo im narzucić. W r. 1877 Transwaal ogłoszony został w Pretoryi, stolicy kraju, kolonią angielską.

Ale zaledwie urzędowe objęcie w posiadanie nastąpiło, wybuchła krwawa wojna z Zulusami, która skończyła się ich zniweczeniem. Boërowie, nie obawiając się już strzałów Cetewaya, postanowili zrzucić

supremacyę angielską i odzyskać dawniejszą niezależność. Błędy popełnione przez sir Owena Lanyon'a, komisarza angielskiego, który nie umiał sobie z nimi radzić i ich samorządu uszanować, przyczyniły się do wybuchu rokoszu. Nastąpiło starcie pomiędzy regularną armią angielską pod dowództwem generała Colley'a a ochotnikami boërów pod Majuba Hill i Anglicy zostali pobici. Porażka ta wywołała w Anglii silne wrażenie i cały korpus armii pod dowództwem gen. Evelyna Wood'a miał być wysłany dla poskromienia boërów i ostatecznego podbicia Transwaalu, gdy Gladstone postanowił przychylić się do żądań Transwaalu. Zawarta została pomiędzy nim a Anglią konwencya 1881 roku, wkrótce potwierdzona przez konwencyę 1884. Lord Derby i sir Herkules Robinson z jednéj strony, a prezydent Paweł Kruger z drugiéj, reprezentowali interesa przeciwne. Pomiędzy temi dwoma aktami dyplomatycznemi istnieje różnica. Pierwszy wyraźnie zastrzega suzerenat angielski, drugi nie czyni o nim wzmianki, nazywa Transwaal rzecząpospolitą południowo-afrykańską; jako jedyny ślad swego dawniejszego zwierzchnictwa, Wielka Brytania zastrzegła sobie prawo ratyfikowania wszystkich traktatów, jakie nowo uznane państwo zawierać będzie z innemi, albo téż z afrykańskiemi plemionami. Jakkolwiek zapatrywać się można na politykę angielską w Afryce, należy przyznać, że konwencya 1884 r. i uznanie samodzielności rzeczypospolitéj południowo-afrykańskiéj było z angielskiego punktu widzenia ciężką porażką, cofnięciem się w tył i powtórzył się tu w większych rozmiarach błąd, jaki zaszedł dawniéj w emancypacyi rzeczypospolitéj oranżyjskiéj.

Od téj pory Anglia znajduje przeciwko sobie Transwaal i jego wytrawnego przywódcę, prezydenta Krugera. Jest to, bez najmniejszego wątpienia, jedna z najoryginalniejszych postaci współczesnych. Kiedy państwo, którego jest głową, liczy dopiéro czternaście lat bytu, on jest już siedmdziesięcioletnim starcem, ale i jego nazwać można wielkim starcem. Nietylko zawód publiczny, który sam przebiegł, ale usługi, jakie oddał swemu krajowi, którego narodzin był świadkiem i narzędziem, zasługują na uwagę. Urodził się w Capie jako obywatel angielski. Rodzice jego, boërowie holenderscy, nie mogąc się pogodzić ze zniesieniem niewolnictwa, byli jednymi z pierwszych, którzy opuścili uorganizowane państwo cywilizowane i puścili się w dziczyznę. W pośród tych pionierów-chłopów, zwanych *Voortrekkers*, rodzice dziesięcioletniego wówczas chłopaka nie odgrywali wydatnéj roli. Młody Paweł wzrosł w tém otoczeniu pobożnych Holendrów, zabijających Basutów i Zulusów i śpiewających psalmy dziękczynne po każdém nowém zwycięstwie. Życie było twarde, awanturnicze, najeżone niebezpieczeń-

stwami, ale trudno o lepszą szkołę dla zahartowania indywidualności. Nie było tam miejsca na uszanowanie ani własności, ani swobody ludów, z któremi walczono: uznawano tylko siłę, a flibustierka była zawodem przez długie lata tego samego człowieka, który obecnie stał się jéj gorącym przeciwnikiem. *Tempora muntantur et nos mutamur in illis!* W ciągłych wojennych wyprawach i napaściach to na kraj Zulusów, to na Natal, to w sporach granicznych z państwem oranżyjskiém, sporach zawziętych, bratobójczych, krwawych, Paweł Kruger wzrasta, rozwija się, dojrzéwa, odznacza się, pozyskuje reputacyę i stopnie oficerskie. Gdy Wielka Brytania w r. 1877 ogłosiła swój suzerenat efemeryczny nad Transwaalem oswobodzonym przez nią od Zulusów, Paweł Kruger, liczący już wówczas lat 40, wysłany był do Anglii jako członek deputacyi protestującéj przeciwko anneksyi. Ale gdy deputacya ta nic nie wskórała, umiał pogodzić się z nowym stanem rzeczy i wszedł jako urzędnik angielski do rady wykonawczéj. Nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły sprawy pieniężnéj, wskutek któréj został wydalony z urzędu. Staje się on od téj chwili stanowczym przeciwnikiem władzy angielskiéj i około niego ogniskują się wszystkie żywioły holenderskie, które w kilka lat późniéj skutecznie wywalczyły niezależność Transwaalu. Wybrany prezydentem nowo utworzonego organizmu państwowego przez konwencyę 1881 r., Paweł Kruger udaje się do Londynu i z żołnierza zamienia się w negocyatora i dyplomatę. Jego zabiegom i przebiegom, jego wytrwałości i sprytowi przypisać należy sukcesa, jakie odniósł nad lordem Derby'm. Konwencya 1884 r. jest jego dziełem, dziełem olbrzymiém. Ten nieokrzesany chłop holenderski nietylko nie dał się olśnić londyńskiemu światu urzędowemu, ale natychmiast pokazuje, że umié z odniesionego zwycięstwa wyciągnąć możliwe korzyści. W powrotnéj drodze do Pretoryi zatrzymuje się w Berlinie, jest uprzejmie podejmowany przez cesarza Wilhelma i zawiéra z Niemcami traktat handlowy, którego jawne i tajemne artykuły dały podstawę obecnéj interwencyi niemieckiéj. Wiedząc, że prędzéj, czy późniéj przyjdzie mu się spotkać z Wielką Brytanią, rozum stanu wskazał mu użyteczność ewentualnego przymierza z mocarstwem, które lwa brytańskiego się nie ulęknie.

Po powrocie do Transwaalu, prezydent Kruger poświęca się organizacyi swojéj rzeczypospolitéj, która stosownie do jego ideału powinna być patryarchalnym despotyzmem. Łatwo pojąć, że ci rolnicy-żołnierze, wzrośli w tradycyi i dyscyplinie, nie mogli mieć innego. Wysoce zachowawcze tendencye zwierzchnika rzeczypospolitéj zarysowały się na tém tle wybitnie. Protestant, gorliwie do swojéj wiary praojców przywiązany, nie cierpi on papizmu. Ten jest w jego oczach równie oby-

dny, jak liberalizm wszelkiego rodzaju. Nie ku demokracyi, ale ku oligarchii zwracają się jego sympatye, nie rozszerzać prawa i swobody, ale je ścieśniać i ograniczać usiluje. Podniósł nowicyat, jaki przebyć musi obywatel osiedlający się w Transwaalu, zanim nabędzie prawo głosowania naprzód z dwóch lat do pięciu, potém do dziesięciu, a nakoniec do piętnastu. Dawniéj istniała jedna izba złożona z przedstawicieli boërów, a chociaż tendencye jéj nie były bynajmniéj rewolucyjne, prezydent Krüger ustanowił izbę wyższą, rodzaj senatu, którego sankcya stała się niezbędną dla działalności prawodawczéj. Polityka handlowa o charakterze wysoce protekcyjno-celnym, wstręt do robót publicznych i do gospodarstwa fabrycznego, dopełniają jego fizyognomii jako męża stanu.

W saméj postępowéj Europie osobistość tego rodzaju wydawaćby się mogła istotnym anachronizmem, ale w kraju młodym, dopiéro się wytwarzającym, ma ona swą racyę bytu. Przedewszystkiém jednak nie należy spuszczać z uwagi ani na chwilę specyalnego położenia, w jakiém się kraj ten znajduje. Odcięty od morza przez Mozambik portugalski, opierający się na południu tylko o pokrewną sobie rasowo, ale słabo zaludnioną rzeczpospolitą oranżyjską, jest on ze wszech stron otoczony przez kraje należące do imperyum brytańskiego. Cap, protektorat Bechunalandu i nakoniec kompania handlowa wschodnio-afrykańska, posiadająca statuta nadawcze od rządu angielskiego i przygotowująca dla niego organizacyę państwową, otaczają Transwaal pierścieniem. Broni się inwazyi przybyszów angielskich, jak może, ale zadanie to staje się coraz trudniejsze. Z chwilą, gdy odkryte zostały nadzwyczaj bogate kopalnie złota na terytoryum Transwaalu, liczba osadników angielskich mnoży się, wzrasta w niepokojących rozmiarach. Na granicy Transwaalu, w środku okręgu złotodajnego, powstało miasto angielskie Johannesburg, którego ludność przenosi już 100,000 mieszkańców i wobec którego urzędowa stolica, Pretorya, jest wioszczyną prawie. Podług obliczeń p. Cecyla Rhodes'a, jest wszystkiego w Transwaalu 14,000 boërów holenderskich, a 70,000 Anglików. W pięć lat liczba tychże wzrośnie prawdopodobnie do pół miliona, do miliona może. Nie mogąc tych przybyszów, którzy są bogactwem kraju i na których ciążą wszystkie ciężary fiskalne, wyprzeć z Transwaalu, chce przynajmniéj „Oom Paul" utrudnić im pozyskanie indygenatu. Gdy raz go ta horda anglo-saksońska, energiczna, buńczuczna, osiągnie, to jako członkowie sejmu przekréskują oni boërów, którzy znikną w ich napływie, jak atom niedojrzany. Ci osadnicy angielscy, zwani *Uitlanders*, domagają się zniesienia ciążących na nich ograniczeń, żądają prawa głosowania, równouprawnienia języka angielskiego z holender-

skim, lepszéj administracyi i kontroli finansowéj. Wszystkim tym pretensyom prezydent Kruger stawiał opór wytrwały, a gdy był wywierany nań silny nacisk, wywijał się mglistemi obietnicami.

Walka się zaostrzała z każdym rokiem i łatwo było przeczuć, że do przesilenia przyjść musi, szczególniéj gdy nie rząd angielski sam, ale Towarzystwo Afryki wschodniéj występowało w obronie żywiołu angielskiego. Pierwszy był z natury swéj daleko oględniejszy, aniżeli drugie, którego akcya posuwa nieraz przedsiębiorczość do granic napastniczości. Przygotowuje ono wprawdzie dla swego narodu posiadłości kolonialne, ale nie spuszcza z uwagi, że jego akcyonaryusze powinni otrzymać jak najwyższe dywidendy z przedsięwzięcia. Ten podwójny charakter, polityczny i handlowy, cechuje w wysokim stopniu Towarzystwo i uosabia się w jego dyrektorze, Cecylu Rhodes'ie.

Cecyl Rhodes, dobrze znany w kołach uniwersyteckich Oxfordu, a potém w świecie politycznym, około którego krążył, ale do którego osobiście wejść nie zamierzał, nabył rozgłosu naprzód jako dyrektor kopalni dyamentów w okolicach Kimberley. Przez wyborną administracyę tego przedsięwzięcia nietylko sam pozyskał dla siebie kolosalną fortunę, ale rozdawał corocznie do miliona funtów szterlingów akcyonaryuszom kompanii de Beers. Ale w tym rzutnym, energicznym i pomysłowym przedsiębiorcy był także polityk o dalekonośnych planach. W głowie jego powstała myśl ufundowania w Afryce brytańskiéj kolonii, któraby z południo-wschodu nieprzerwanym ciągiem szła aż do wybrzeży północnych, do doliny Nilu. Na drodze swéj spotykał on oprócz plemion murzyńskich czarnego kontynentu, naprzód boërów holenderskich, a następnie dwa mocarstwa europejskie, Portugalię i Niemcy. Z natury rzeczy wypadało, że musiał z niemi stanąć w kolizyi.

Nie potrzebował on odkrywać swych politycznych widoków publiczności. Ażeby ją na swą stronę przeciągnąć, wystarczało pokazać jéj korzyści materyalne. Odkryte bogate kopalnie złota w Transwaalu pozwalały przypuszczać, że cała Afryka południowa spoczywa na złotych fundamentach. Dla eksploatacyi tych skarbów utworzył on potężne Towarzystwo handlowe południowo-afrykańskie, do którego weszli jako założyciele magnaci angielscy, jak książęta Fife i Abercorn, jak lord Grey i wielu potentatów City londyńskiéj. Towarzystwo to otrzymało od rządu statuta nadawcze i przywileje szerokie, z prawami zwierzchnictwa terytoryalnego, z prawem utrzymywania siły zbrojnéj i t. d. Cecyl Rhodes z właściwą sobie energią rzucił się do organizowania tego kraju, który wkrótce pozyskał nazwę Rodezyi. Był on w nim panem samowładnym. Mając do swego rozporządzenia olbrzymie sumy, któremi zakupywał sobie współdziałanie wszystkich ludzi, którzy mu

byli użyteczni, i któremi neutralizował tych, co mu się opierać poważali, rozwinął działalność zaborczą. Kraj Machona uchodził za złotodajny: uorganizował nań wyprawę, podbił i wcielił do terytoryum swéj kompanii. Ale nie znaleziono w nim złota i jako drugi akt jego walki z dzikiemi plemionami tych stref, nastąpiła wyprawa przeciwko Lobenguli, królowi kraju Matabelów. Walka tu była zacięta, rzekomi cywilizatorowie shańbili się samowolnemi okrucieństwami, ale rezultat z góry przewidziany nastąpił: kraj Matabelów wcielony także został do Rodezyi. Nie wiadomo jeszcze, czy posiada on w swojém wnętrzu pokłady złota, ale w każdym razie przedstawia dla gospodarstwa rolniczego i przemysłowego terytoryum olbrzymie i zapewniające w przyszłości akcyonaryuszom zyski niewątpliwe. Łatwe to jest do zrozumienia, gdy się weźmie na uwagę, że przestrzenie, nad któremi Towarzystwo handlowe Afryki południowéj panuje, obecnie równa się siedm razy wziętéj przestrzeni Anglii razem ze Szkocyą.

Gdyby Cecyl Rhodes po takiém rozszerzeniu granic był się ograniczył do administrowania i ekonomicznego wyzyskiwania stworzonego przez siebie kraju, rola jego już i tak byłaby ogromna. Jego aspiracye polityczne, jego dążenia nie pozwoliły mu na tym punkcie się zatrzymać. Należy też dodać, że przeciwnicy jego oskarżali go nieraz o wygórowaną ambicyę i przypisywali mu zamiary ogłoszenia się bądź niezależnym władcą Rodezyi, bądź utworzenia federacyi państw południowo-afrykańskich o ludności mieszanéj holenderskiéj i angielskiéj i ogłoszenia się jéj dożywotnim prezydentem. Chociaż posiada on wyniosłą ambicyę i czuje dla ludzi, z którymi miał do czynienia, mniéj lub więcéj uzasadnioną pogardę, nie można znaleźć w całym jego zawodzie publicznym żadnego dowodu, że istotnie takie zamiary żywił. Jest on gorącym patryotą angielskim i wyznaje opinię, że rasa anglo-saska lepiéj niż jakakolwiek inna służy sprawie pokoju, sprawiedliwości i swobody. Działając w jéj interesie, służy się przedewszystkiém tym zasadom. Żywiąc takie przekonania, pragnie on utworzyć w Afryce wielkie państwo o charakterze angielskim. W tym to celu on, który tak długo żadnéj posady urzędowéj przyjąć nie chciał, został pierwszym ministrem w kolonii Capu. Chciał z tego przewodniego stanowiska skorzystać, ażeby przeprowadzić jednolitość organizacyi pomiędzy Capem a stworzoną przez jego kompanię handlową — Rodezyą. Nie mógł atoli rozchwiać wątpliwości o dwuznaczném swojém stanowisku: był bowiem jednocześnie pierwszym ministrem w kolonii należącéj do korony brytańskiéj, tajnym radcą królowéj, a zarazem dyrektorem kompanii handlowéj prowadzącéj wojny, wyzyskującéj kopalnie złota, spekulującéj na podniesienie kursu swych akcyi. Świat okolny był usprawiedliwiony,

gdy ten dwoisty charakter jego działalności mieszał. Jeden tylko szczegół podnieść wypada w jego roli pierwszego ministra Capu, a jest nim przyjacielskie zachowanie się względem stronnictwa holenderskiego, zabezpieczenie téj narodowości szerokiego samorządu. Urzędowy rzecznik Holendrów, p. Hofmeyer oddawał mu zawsze pod tym względem sprawiedliwość. Gdy więc przedstawiają obecnie Cecyla Rhodes jako pragnącego zniweczyć żywioł holenderski w Transwaalu, robią go czarniejszym niż jest w istocie. Jeżeli jako dyrektorowi kompanii idzie mu o eksploatacyę jaknajkorzystniejszą dla niéj znajdujących się tam kopalni złota, to nie idzie mu o wytrzebienie narodowości która niewątpliwie, przez samą swą liczebną mniejszość stopnieje w przyszłości wśród fali brytańskiéj.

Powiedziano wyżéj, że w planie działalności, jaką sobie Cecyl Rhodes zakreślił, znaleść musiał przeciwników w dwóch europejskich mocarstwach; co przez swe osiedlenie się w terytoryach o których posiadaniu marzył, zjednoczenie ich uczynili niepodobném. Pierwsze z nich, Portugalia, niebezpieczném istotnie nie było. Delagoa nie jest dla jednolitéj brytańskiéj kolonii w Afryce południowéj niezbędną, bo mają morze otwarte na okół. Wiadomo także, iż przez konwencyę zawartą z rządem Portugalii rząd angielski zabezpieczył dla siebie pierwszeństwo zakupienia Delagoa, gdyby kiedykolwiek na sprzedaż wystawiona została. Nie było więc powodu zajmować względem Portugalii stanowiska nieprzyjaznego ale przeciwnie, osłaniać ją przed wojną podjazdową, jaką na Delagoa czyni z jednéj strony Transwaal pożądający jéj portu, a z drugiéj strony Niemcy oceniające sprawiedliwie korzyści jakieby z niéj odniosły. Inne natomiast musiało być zapatrywanie Cecyla Rhodes i całéj imperyalistycznéj partyi w Afryce południowéj na rolę i na zamiary Niemiec. Ani o wiele wyżéj położony Kamerun, ani kraj Damara graniczący i z kolonią Capu i z całą Rhodezyą nie zaspokoiły apetytu Niemiec. Otrzymawszy przez konwencyę 1890 r. kolonię Zanzibaru na wschodniém wybrzeżu Afryki, naturalném było iż pragnęli połączyć je jedném pasmem nieprzerwaném z Damarą i wybrzeżem zachodniem. Rzut oka na mapę pokazuje, że Rodezya i Transwaal były im w tym celu potrzebne. Niezadowolenie, jakie utworzenie Towarzystwa handlowego południowéj Afryki wywołało w Niemczech, jest tedy do zrozumienia tém więcéj, że poufne konszachty z Transwaalem oddawna były rozpoczęte. Stary Kruger zawiązał osobiste stosunki z cesarzem Wilhelmem I-ym i zawarł traktat handlowy z Niemcami. Od téj chwili wiele gałęzi przemysłowych w Transwaalu dostało się Niemcom. Posiadają pomiędzy innymi monopol dynamitu i faktyczny monopol dystylarni. Wielki udział kapitałów niemieckich

w drogach żelaznych tego kraju doszedł takich rozmiarów, że niemieccy ministrowie mówili o tych drogach żelaznych jako o własności niemieckiéj. Jak daleko doszło porozumienie pomiędzy cesarzem Wilhelmem II a rządem p. Krugera, który swego zięcia, dr. Leyds, wysłał był ze specyalną misyą do Berlina, nie wiadomo, ale świat cały dowiedział się o żywych sympatyach obecnego monarchy niemieckiego dla Transwaalu, w którego obronie oświadczył gotowość nawet do wojny z Anglią. Jakkolwiek cesarz Wilhelm usiłuje wmówić w holenderskich boerów, że są oni członkami téj saméj rasy co Niemcy — ta jednolitość rasowa przydałaby się Niemcom i bliżéj, w Europie!—to wiadomo było dobrze, że jego sympatye miały mniéj idealną pobudkę i że Niemcy nie zalegają pola, ażeby w Transwaalu zająć pozycyę uprzywilejowaną.

Doszedłszy do tego punktu, przedstawiliśmy czytelnikom wszystkie przesłanki awantury, jaka się świeżo w Transwaalu rozegrała. Osadnicy angielscy, pozbawieni wszelkich praw do jakich się czuli uprawnionymi, udawali się o poparcie, o wstawiennictwo do kompanii południowo-afrykańskiéj i jéj dyrektora p. Rhodesa, i uprzedzali go otwarcie, że jeżeli ich żądania uwzględnione nie zostaną, wybuchnie w Transwaalu na wiosnę powstanie, którego ogniskiem stałoby się miasto Johannisburg. Jeżeli zamiast na wiosnę r. b. powstańczy ten ruch oznaczony został na kilka miesięcy wcześniéj, przypisują to w kołach dobrze poinformowanych wiadomościom o negocyacyach i konszachtach pomiędzy rządem niemieckim a Transwaalem. Zapalone głowy sądziły, że nie było chwili do stracenia i przedsięwzięły swą niefortunną wyprawę pod dowództwem d-ra Jameson'a, która w styczniu r. b. jako niezrozumiałe szaleństwo stanęła przed światem, oddawna od tego rodzaju awantur odwykłym.

Niepotrzeba tutaj przypominać epizodów téj napaści flibustyerów: muszą one być w świeżéj pamięci czytelników. Dr. Jameson, przyjaciel i prawa ręka Cecyla Rhodesa, administrator z jego imienia całéj Rhodezyi, kiedy ten jego zwierzchnik zajmował urzędowe stanowisko pierwszego ministra w Capie, na czele zbrojnéj policyi Kompanii wtargnął na terytoryum Transwaalu oznajmiając, że idzie na odsiecz wzywającym go na pomoc rodakom, zagrożonym w Johannisburgu. Jeżeli ci przyzwali go, to stracili animusz w ostatniéj chwili, i oddział p. Jamesona, który jest podobno dobrym akuszerem ale zaiste wodzem przezornym partyzantów nie jest, został po krótkiéj walce otoczony przez siły wojskowe prezydenta Krugera i wzięty w jassyr. Wiadomo, że więźniowie i wszyscy podejrzewani o udział w tym powstańczym ruchu sądzeni będą w dwóch procesach, z których jeden już się rozpoczął w Pretoryi nad obywatelami osiedlonymi w Transwaalu

a drugi nastąpi w Anglii, gdzie odstawiony został dr. Jameson i ci oficerowie angielscy, którzy do jego oddziału wstąpili.

Dr. Jameson i jego towarzysze broni i niedoli otoczeni są w Anglii gorącą sympatyą narodową. Nawet ci, co z konieczności urzędowego swego stanowiska ich potępiają, w gruncie serca winić ich nie mogą. Postąpili jak szaleńcy i nie tylko nic dobrego sprawie angielskiéj nie zrobili, ale przeciwnie wprowadzili ją na szlaki cierniste, to prawda, ale masa która w kazuistykę polityczną się nie wdaje, rozumuje a raczéj czuje instynktowo i zdaje sobie sprawę, że garsztka Holendrów, którzy sami dopuszczali się gwałtów, rozbojów i flibustyerki, którzy uciemiężają większość angielską co się na ich terytoryum osiedliła i stanowi inteligentną zarówno jak najbogatszą część jego mieszkańców, nie ma w tym razie najmniejszego prawa przedstawiać się jako napastowana ofiara.

Nie potrzeba rozwodzić się nad ewentualnościami, jakie proces wytoczony dr. Jamesonowi przybrać może. Nikt się nie łudzi co do istotnéj wartości jego osoby: była ona i pozostanie drugorzędną. Ważniejsze zagadnienia leżą spowite w téj kwestyi. Odpowiedzialność moralna za najazd Transwaalu ciąży na p. Cecylu Rhodes i na Kompanii południowo-afrykańskiéj. Zaraz w pierwszéj chwili gdy wyprawa d-ra Jamesona została potępiona przez angielskiego ministra kolonii, p. Józefa Chamberlain'a, działającego z nieubłaganą surowością i ze stanowczością, która o dojrzałości jego politycznego rozumu świadczy, p. Cecyl Rhodes złożył swój urząd pierwszego ministra Capu. Po kilkodniowym tajemnicą osłoniętym pobycie w Londynie, powrócił do Rhodezyi a nie do Capu, i oświadczył, że jako dyrektor Kompanii będzie się na przyszłość wyłącznie zajmował ekonomicznem wyzyskiwaniem olbrzymiego terytoryum swojego. Czy się potrafi w téj roli zamknąć przyszłość pokaże. W każdym razie zapisał już swe imię w dziejach kolonizacyi brytańskiéj. Jeżeli nawet nie stworzył Stanów Zjednoczonych Afryki południowéj pod chorągwią Anglii, to położył do nich kamień węgielny. Zadanie polityczne i ekonomiczne powiodło mu się w Capie, w rzeczypospolitéj Oranżyjskiéj, w Natalu, a skrewił tylko w Transwaalu z powodów już wyżéj wymienionych. Kraje dziewicze i nieznane otwarł dla cywilizacyi: drogi żelazne, linie telegraficzne, podmorskie kable, linie statków parowych, wielkie miasta, olbrzymie kopalnie powstawały na jego skinienie czarnoksiężnika. Jeżeli ani w Capie ani w Rhodezyi nie faworyzował fabryk i rękodzielni, to czynił to umyślnie, ażeby zapewnić angielskiemu macierzystemu handlowi obszerne targowisko i w przekonaniu, że i bez jego interwencyi przemysł

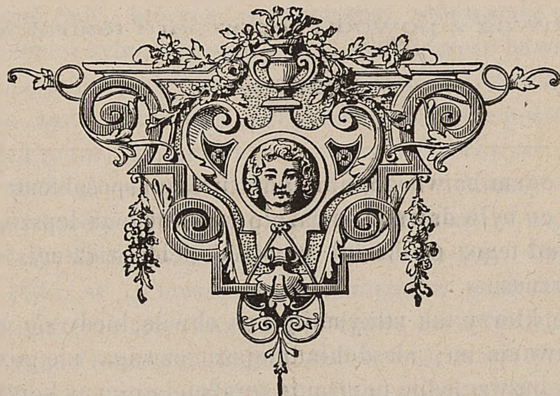
miejscowy się rozwinie, gdy kraje te wyjdą z pierwszego stadyum gospodarstwa pasterskiego, górniczego i rolniczego.

Jeżeli osobistość p. Cecyla Rhodes ukazuje się po zamknięciu dzisiejszego przejściowego epizodu jako zdolna do rozwinięcia nowego pasma działalności, to panuje wątpliwość co do roli Towarzystwa południowéj Afryki. Ma ono wielu i zaciętych nieprzyjaciół, a nie omieszkali oni skorzystać z zamachu d-ra Jamesona, ażeby zwalić na nie odpowiedzialność za wszystkie nadużycia finansowe, wszystkie spekulacye kojalniane, które były istotnie skandalem ekonomicznym ostatnich lat kilku, i jednocześnie za szpetność jego wypraw wojennych przeciwko Matabelom. Najważniejszym atoli punktem oskarżenia przeciwko niemu było, że posiadając siły wojskowe zostające pod dowództwem oficerów armii angielskiéj, Towarzystwo posługuje się niemi dla swych celów prywatych i kompromituje w ten sposób rząd Wielkiéj Brytanii. Egoistyczne zamiary Towarzystwa zagrabienia kopalni złota w Transwaalu mogły były wciągnąć Anglię w wojnę z wielkiemi mocarstwami europejskiemi.

Jest w oskarżeniach tych wiele prawdy, ale z drugiéj strony nie można zapominać jaką rolę odegrały tego rodzaju kompanie w przeszłości Wielkiéj Brytanii, że one dostarczyły jéj setek milionów obywateli i najpiękniejsze kraje kuli ziemskiéj. Kompanie te są tylko pionierami wpływu angielskiego, rozsadnikami jego interesów, gościńcem po którym się toczy rydwan potęgi narodowéj. W każdéj chwili służy rządowi prawo odwołania statutów nadawczych i przywilejów takim kompaniom i objęcia ich terytoryów pod bezpośredni zarząd korony. Gdyby rząd był w pierwszéj chwili usłuchał chóru złowieszczego, byłby zajął Rhodezyę. Zadanie było zbyt uciążliwe, owoc nie jest jeszcze dojrzały i p. Chamberlain ograniczył się do mniéj radykalnych środków. Wysłał do Rhodezyi na administratora na miejsce d-ra Jameson'a innego wpływowego członka dyrekcyi kompani, lorda Grey'a, i co ważniejsza, odjął Towarzystwu południowo-afrykańskiemu dowództwo nad uzbrojoną policyą i milicyą miejscową. Pozbawił ją w ten sposób środków wszelkiéj zbrojnéj napaści na kraje sąsiednie. Wnosić można, że losy Towarzystwa są zabezpieczone i że rząd angielski będzie wolał się niém posługiwać jeszcze w przyszłości.

Jeżeli w ten sposób niektóre czarne punkta zniknęły z widnokręgu, to dalekim jest on jeszcze od wypogodzenia się zupełnego. Rząd angielski wziął w swe ręce pozyskanie dla angielskiéj ludności, osiadłéj w Transwaalu, praw obywatelskich, których im prezydent Kruger udzielać się wzbraniał. Kwestya jest zawiła i była już mowa wyżéj o niebezpieczeństwach, jakie ta emancypacya pociągnie nieodwołalnie

dla oligarchicznéj mniejszości holenderskiéj. Ale jakikolwiek opór stawiać będzie Oom Paul i jego koterya, jakkolwiek popierać go mogą potajemnie te lub owe mocarstwa, nie ma wątpliwości, że osadnicy angielscy pozyskają prędzéj czy późniéj prawa o które kołatają. Mają za sobą siłę kapitałów, poparcie ojczyzny, geniusz kolonizacyjny i najlepszego ze sprzymierzeńców—czas. Angielski mąż stanu, p. Chamberlain, który sprawę tę wziął w swe ręce, dał dowody wytrwałości, energii, zimnéj krwi i odwagi cywilnéj, stawiając czoło swym własnym rodakom, którzy go do gwałtownéj akcyi popchnąć usiłowali. Bez obawy wypowiadania proroctw, można powiedziéć, że nie straci żadnego ze zdobytych posterunków a może mu się nawet uda pozyskać nowe.



DAWNIÉJ I DZIŚ.

(Kilka uwag z powodu repertuaru teatralnego).

Byłoby dowodem naiwnego, albo gdérliwego usposobienia, gdyby się wszystko, co było dawniéj, uważało ryczałtem za lepsze, piękniejsze, weselsze od tego, co dzisiaj wpośród siebie widzimy, co się nam ciągle w oczy rzuca.

Są ludzie, którzy tak utrzymują, i są chwile, kiedy się czuje skłonność do potakiwania im; ale dokładniejsza rozwaga nie pozwala nam na stanowcze i bezwzględne poniżanie teraźniejszości na korzyść czasów minionych. Jeżeli nam się niekiedy wydaje, że istotnie lepiéj dawniéj bywało, jak mówił stary zrzęda Bartłomiej u Krasickiego, to głównym powodem bywa zazwyczaj ten fakt niewątpliwy, że oddalenie wszelkie — w czasie czy przestrzeni — idealizuje przedmioty, osoby i wypadki: szczegóły drobne, a nieraz bardzo niemiłe, gdy się im dokładnie przypatrujemy, zacierają się, kształty ukazują się w liniach czystszych i równiejszych, barwy występują mniéj wyraźnie niż zblizka, wytwarzając koloryt łagodniejszy i harmonijniejszy.

Sprawdzić powyższe spostrzeżenie bardzo łatwo w przestrzeni; dość jest obejrzéć jaką wioskę czy miasteczko z blizka i z daleka (z wieży np. jakiéj lub wzgórza); sprawdzić je w czasie — trudniéj, ale można także, jeśli spytamy spółcześników, co myśleli i mówili o swojéj dobie: na jednego chwalcę znajdziemy co najmniéj pięciu niezadowolonych.

Chcę to okazać na przykładzie, który mi dał pochop do napisania obecnego artykułu.

Dzisiaj, kiedy wznowiono na scenie warszawskiéj komedye Fredry („Dożywocie", „Zrzędność i przekora") i Korzeniowskiego („Żydzi", „Okrężne"), nastręcza się sposobność porównania ich z utworami naszéj dramatyki spółczesnéj, a zarazem zestawienia sądów naszych z dawniejszemi o tych samych autorach, o tych samych sztukach.

Czas uidealizował nam utwory Fredry. Któż obecnie, czytając jego komedye, a zwłaszcza widząc je przedstawione na scenie, nie powié sobie, że znajduje w nich osoby nasze z krwi i kości pod względem temperamentu, nawyknień, pojęć i poglądów, sposobu zachowania się i postępowania, że język, którym te osoby przemawiają, pomimo wielu usterek gramatycznych, jest pod względem zwrotów i całego toku szczeropolskim, bogatym, jędrnym, a przecież tak swobodnym i lekkim?

Czy tak samo myśleli spółcześni? Niewątpliwie znajdowali się pomiędzy nimi tacy, których w zupełności zadawalały pomysły i ich przeprowadzenie: sytuacye, styl, język. Publiczność bawiła się na nich tak, jak dzisiaj się bawi, bo olbrzymiego zasobu werwy komicznéj i dowcipu słowa żaden inny komedyopisarz polski nie posiadał w takim stopniu, jak Fredro. Ale krytyków, i to bardzo surowych krytyków, nie brakło. Prawie to wszystko, co my dzisiaj uwielbiamy w komedyach Fredry: swojskość postaci i języka, poddawali oni w wątpliwość; owszem twierdzili, że téj swojskości wcale tam nie ma. Oto dowód:

W r. 1835, w „Powszechnym pamiętniku nauk i umiejętności", ukazała się obszerna rozprawa „Nowa epoka poezyi polskiéj", napisana przez Seweryna Goszczyńskiego. Jest w niéj ustęp poświęcony Fredrze, ustęp tém smutnie rozsławiony, że podobno wytrącił pióro znakomitemu komedyopisarzowi. Czytamy tam między innemi: „Że komedye pisane dla narodu powinny schwytywać i wydawać treść jego życia z właściwéj swemu powołaniu strony, na to się każdy zgodzi, kto przyzna, iż komedya nie jest cackiem dziecinném, ale jednym z najdzielniejszych środków wychowania i wykształcenia narodu; że komedye Fredra (!) nie odpowiadają temu celowi, że są nienarodowe, o tém lepiéj niż najdłuższa rozprawa przekona odczytanie ichże samych. Nazwiska polskie nie są tém samém, co charaktery polskie; kilka osób, kilka scen narodowych nie rozleją barwy narodowéj na wiersze czterech tomów; pasztet przysłów bez związku z charakterami i z całością dzieła jest tylko słownikiem przysłów; miłosna strona narodu jest to rys jego kosmopolityczny; a to jest właśnie wszystko, co ma stanowić polskość komedyi Fredra; ale cnoty, wady, śmieszności, charaktery pojedyncze, fizyognomia ogólna, zgoła cokolwiek tworzy pomniki praw-

dziwie narodowéj indywidualności, tego napróżnobyś tam szukał." A o języku i stylu, który nam dzisiaj tak mile i pięknie brzmi w uszach, cóż powiada ów krytyk? „Wiersz gładki w ogólności nie jest najwyższym poezyi warunkiem, a co do Fredra, jego wiersz gładki jest to wymanierowanie języka trybem francuskim, bez oryginalności, bez indywidualnéj barwy, bez odcienia charakterów, płynny, jak woda, ma téż smak wody; nie znajdziesz w nim téj jędrności, téj mocy, tego wdzięku, jakie ujmują w znakomitszych naszych pisarzach, prawdziwie po polsku, z prawdziwym talentem piszących. Równie i dowcip nie stanowi komedyi, a tém mniéj nie tworzy poety; można słynąć najdowcipniejszym w świecie człowiekiem, a nie być poetą; można być poetą, a nie miéć zgoła dowcipu, gdy tymczasem komedya, według nas, poezyą być powinna. Wreszcie stara bajka, że komedya cel swój osiągnęła, skoro rozśmieszyła, zginęła wraz z owym przesądem, iż ta tragedya jest doskonała, w któréj na żadnych ustach uśmiechu nie zobaczysz; o dowcipie Fredra i to jeszcze powiemy, że wpada w karykaturę. Całe jego komedye karykaturami nazwaćby można."

A czy to było zdanie odosobnionego tetryka? Bynajmniéj. W r. 1839, kiedy wyszedł już piąty tom komedyi Fredry, w „Piśmie dodatkowém do Gazety Porannéj", wychodzącém pod redakcyą Hipolita Skimborowicza, dano taką zwięzłą tomu tego recenzyę: „Ciotunia choruje na starość, Zemsta na brak konceptu, a Dożywocie na brak prawdopodobieństwa" (N. 25). J. I. Kraszewski, jakkolwiek ujmował się w r. 1842 w „Studyach literackich" za niepospolitym talentem Fredry, widział przecie w jego sztukach „nieskończoną ilość błędów", a „Dożywocie", „Ciotunię", „Zemstę" poczytywał za słabsze od sztuk poprzednich.

Obecnie takie i tym podobne zarzuty wyjątkowo tylko słyszeć się już dają, nie dla tego wcale, żeby się komedye Fredry wszystkie poczytywało za wolne od błędów, którym ich niebrak, lubo nie w „nieskończonéj ilości", ale dla tego, że błędom tym, wobec zalet swojskości, prawdy życia, komizmu sytuacyi, dowcipu słowa, nie nadaje się już tak poważnego znaczenia, jak dawniéj.

Nie myślę tu przeprowadzać podobnéj paraleli sądów dawniejszych i nowszych co do komedyi Korzeniowskiego; dodam jeno, że autor ten, nieporównanie mniéj obdarzony werwą komiczną, pomysłowością i swobodą dyalogu, a przytém bliższy naszych czasów, choć nie mógł i dzisiaj osiągnąć tego stopnia uznania i uwielbienia, jaki Fredrze przypadł w udziale, w każdym razie przez ten przeciąg czasu, jaki upłynął od pierwszego wystawienia sztuk jego na scenie, bardzo wiele

zyskał w opinii krytyków, czego dowodzą sprawozdania z powodu wznowienia „Żydów.”

Stwierdzenie idealizacyi utworów z talentem napisanych za pośrednictwem czasu powinno być przestrogą, ażebyśmy w ocenie chwili bieżącéj i tego, co ona z sobą przynosi, nie byli zbyt surowymi, jeżeli nie chcemy, ażeby naszych sądów nie przytaczano późniéj jako dowód opuszczonego smaku lub uprzedzenia; nie upoważnia jednak bynajmniéj do bezkrytycznego przyjmowania wszystkiego, co nam pisarze, choćby bardzo utalentowani, podają. Każdemu czasowi, każdéj dobie musimy pozostawić prawo wygłaszania zdań swoich, a każdy autor krytykowany ma tę pociechę, że i przyszłość sąd swój wypowie.

Korzystam z tego prawa i wypowiem kilka uwag odnoszących się do komedyi najnowszych, cieszących się powodzeniem niemałém, a napisanych przez dwóch wybitnych komedyopisarzy naszych. Może narażę się niemi na zarzut, iż odgrzewam spostrzeżenia, tak niewłaściwie i niesłusznie zwrócone do Fredry przez autora „Nowéj epoki poezyi polskiéj”, i ściągnę na siebie przepowiednię, że robota moja podzieli los owéj rozprawy; zdaje mi się jednak, że kto rozważnie i bezstronnie opinie moje oceni, może nie tak ochoczo przepowiednię ową uzna za trafną. Wolałem zaś sam wydobyć z „piwnic archiwalnych” sąd Goszczyńskiego o Fredrze, niż wystawiać kogokolwiek na poszukiwania, nienależące do najłatwiejszych.

Kto był z kolei na „Synu”, ostatniéj komedyi p. Kazimierza Zalewskiego, i na „Żydach” Korzeniowskiego, na „Królewiczu” p. Edwarda Lubowskiego i na „Dożywociu” Fredry, mógł odrazu, z pierwszego wrażenia, bez zagłębiania się w treść sztuk, zauważyć uderzającą różnicę pomiędzy temi utworami w tém przedewszystkiém, że dawne komedye są wesołe, a nowe — bardzo smutne.

Czyśmy się dzisiaj wyrzekli śmiechu zupełnie? Wcale nie, ale w teatrze zachowujemy śmiech ten dla fars, czyli krotochwil, a w komedyach rozważamy różne zagadnienia moralno-społeczne, które mogą wywołać zadumę lub rozgoryczenie, lecz usposobienia wesołego obudzić i podsycić nie zdołają. I w krotochwilach, co prawda, śmiech bywa inny, nie tak szczery i swobodny, jak dawniéj, a za to częściéj niż dawniéj z motywów na tle płciowém wydobywany; bądź co bądź jakikolwiek jest rodzaj i stopień jego, śmiech tu panuje.

W komedyach natomiast charakterów pierwiastek komiczny zeszedł na jakiś organ szczątkowy, ledwie dostrzegalny; będzie go reprezentował jakiś pośrednik lichwiarski, narażający się na gniewy i wyrzucanie za drzwi, a mówiący łamaną polszczyzną, albo też jakiś idyo-

tyczny birbant, któremu nie idzie karta i który myśli swoich w należytą szatę słowa przyoblec nie umié, albo tym podobne indywiduum.

Ponieważ nic na świecie nie dzieje się bez przyczyny, więc i ta zmiana w nastroju komedyi oparta jest na jakiéjś podstawie. Przedewszystkiém uległy zmianie stosunki realne. Warunki bytu stały się trudniejszemi; nie tak łatwo uczynić im zadość, jak niegdyś. Samo utrzymanie istnienia, a cóż dopiéro zarobienie na rozrywki i zbytek, wymagają wysiłków, które niejednokrotnie przyprawiają ludzi o zdenerwowanie, pozbawiają ich swobody myśli, bez któréj rzetelna, szczera wesołość jest poprostu niemożliwa. Powtóre, samo usposobienie ludzi znacznie się zmodyfikowało i czynnik rozbioru, zastanowienia, wyrachowania większą dziś niż poprzednio odgrywa rolę w życiu umysłowém i moralném. Nie znaczy to wcale, żeby się zmniejszyła lekkomyślność, próżność, zarozumiałość, pretensyonalność i tym podobne wady, które dostarczały dawniejszéj komedyi mnóstwa postaci bardzo komicznych; ale znaczy to jedynie, że z wadami takiemi łączy się nierozdzielnie odmienny nieco od dawniejszego sposób ich oceny ze strony ludzi zainteresowanych niemi pod jakimbądź względem. Dla porównania przypomnijmy sobie, że takie temata, jak niewiara małżeńska, zasadnicze przeciwieństwo dążeń i pragnień, ruina majątkowa, które dzisiaj stają się przedmiotem bardzo naprężonych kolizyi, wesoło i lekko były traktowane przez komedyę Fredrowską („Mąż i żona”, „Zemsta”, „Dożywocie” i t. p.).

Atoli obok tych powodów, tkwiących w saméj istocie charakterów i usposobień, wywołanych stosunkami ekonomicznemi i intelektualnemi, oddziaływał na komedyę naszą przykład autorów francuskich. Zajmowanie się przez nich kwestyami społecznemi i politycznemi, rozwijanie tych kwestyi w komedyach prowadziło do zmiany tonu, bo tam, gdzie się roztrząsały doniosłe zagadnienia, śmiech był nie na miejscu. Możnaby się sprzeczać o właściwość nazwy komedyi dla sztuk, w których komizmu była zaledwie odrobina; możnaby twierdzić, że odpowiedniejszém dla nich mianem byłby wyraz dramat; lecz zaprzeczyć niepodobna, że do nowych tematów i do nowego sposobu ich traktowania została przez Emila Augier'a zastosowana dobrze metoda dramatopisarska.

U nas nie było wprawdzie możności do obrabiania wielu tematów podejmowanych przez Francuzów, ale metoda ich została przyjęta przy opracowywaniu motywów wziętych z życia prywatnego. Józef Narzymski był pierwszym wpływowym przeszczepcą téj metody do naszéj dramatyki; on też pierwszy w „Epidemii” i „Pozytywnych”, rozbierając zagadnienia doniosłego interesu, a nader mało posługując się żywiołem

komicznym, nazwał przecież utwory swoje komedyami. Nie wszyscy komedyopisarze poszli za jego przykładem; niektórzy zachowali dawną skłonność do tworzenia prawdziwie komicznych postaci i sytuacyi, rozporządzając znacznym zapasem werwy komicznéj (Michał Bałucki, Józef Bliziński); ale niektórzy, mniéj tego zapasu posiadający, lubo nie bez dowcipu słowa, poszli śladem autora „Epidemii.”

Przez czas długi, w skutek pilnéj obserwacyi stosunków miejscowych, ta „poważna” komedya dawała wizerunki mniéj lub więcéj wierne tych stosunków, na jakie obecnie patrzymy, a niekiedy stwarzała prawdziwie świetne dzieła sztuki. Nie tu miejsce przedstawiać rozwój téj twórczości i wyliczać jéj płody różnego stopnia doskonałości; dość będzie nadmienić, że najwybitniejsi przedstawiciele takiéj komedyi: Zalewski i Lubowski, dawali nam w swych utworach to, z czém się spotykali w Warszawie. Że zamiast szlachty wiejskiéj, wypełniającéj komedye Fredry i Korzeniowskiego, przedstawiali nam reprezentantów mieszczaństwa, to było koniecznym wynikiem nietylko pola ich spostrzeżeń, ale także i tego wydatnego stanowiska, jakie miasto w ostatnich 30 latach u nas zajęło. Że następnie, wskutek takiego doboru osób, komedye ich, lubo odtwarzały objawy życia miejscowego, mało miały w sobie cech rdzennie swojskich, niepodobna im tego mieć za złe, boć mieszczaństwo mieszanego pochodzenia plemiennego, stykając się z powodu swych interesów częściéj z zagranicą, aniżeli ze wsią, mało w sobie cech takich przyswoić mogło. Ale że komedyopisarze nasi, kreśląc nawet postaci wiejskie, powlekali je pokostem ogólno-europejskim, nie starając się dopatrzyć cech speyficznie narodowych; że w języku swoim więcéj ze wzorów francuskich, aniżeli ze zdroju czysto-polskiego czerpali, to już musimy na rachunek własnéj ich chęci zapisać.

Właściwość ta przed laty nie rzucała się jeszcze w oczy, bo świeżość wielu rysów, zauważonych przez komedyopisarzy, zręczna budowa techniczna, dowcip dyalogu, przesłaniały ją silnie; lecz w ostatnich czasach coraz bardziéj ten brak swojskości uczuwać się dawał. Nie chcąc przedłużać wywodów, poprzestanę na utworach najnowszych.

Czy w „Synu”, prócz nazwisk osób i nazw miejscowości, jest w charakterach i stosunkach coś takiego, coby wyłącznie znamionowało nasze postaci i nasze stosunki? Chyba tylko Fiszel, bo takiego żydka totumfackiego, bez którego prosty szlachcic czy hrabia obejść się nie może, u innych narodów spotkać byłoby trudno. Reszta osób, pozmieniawszy nazwiska, mogłaby uchodzić za urodzoną, dajmy na to nad Sekwaną. Takich utracyuszów, jak Dęboradzki, Klaporzewski, Miedzowolski; takie wietrznice, jak Matylda; takie mężatki z kochanek, jak Marya Baluszyńska; takich administratorów dbających o swoją kieszeń,

jak Polkiewicz, takich szlachetnych młodzieńców, co się jak Koresz kochają w mężatkach, znajdzie się w całéj Europie.

Naturalnie można odpowiedzieć, bo są ludźmi na pewnym stopniu cywilizacyi. Odpowiedź ta byłaby dobra, przynajmniéj do pewnego stopnia, gdyby chodziło o typy; ale gdy idzie o charaktery indywidualne jest ona bardzo niewystarczająca. Nie dosyć bowiem malować ludzi na pewnym stopniu cywilizacyi; potrzeba ich jeszcze obdarzyć pewnémi odrębnémi cechami, jakie się wytwarzają wśród określonych stosunków etnograficznych i politycznych. Takich cech odrębnych trudno się dopatrzyć w wymienionych powyżéj postaciach. — Lekkomyślność utracyuszów — powie kto może. Zapewne, lekkomyślność jest tą wadą, którą nam najczęściéj zarzucano i którą sami sobie wytykamy. Atoli lekkomyślność ta, jeżeli ma charakteryzować Polaka w szczególności, łączy się zazwyczaj z pewną dobroduszną nieopatrznością, z pewną miękkością serca. Tak zaś jak się przedstawia w postaciach Dęboradzkiego, Klaporzewskiego i t. d. t. j. z cyniczną efronteryą, z chłodem i wyrachowaniem, z podstępem i łotrostwem, to nie ma znamion specyficznych i musi być uważana za wadę ogólną zepsutych z gruntu charakterów. Podobnież zalotność Matyldy nie jest wynikiem ani temperamentu, ani chwilowego zapomnienia, lecz stanowi obmyślany z góry środek w grze o pozyskanie lwiéj części spadku po milionowym wuju. Marya Baluszyńska tak mało daje się poznać na scenie, iż o jéj charakterze właściwym nie można mówić szczegółowo; jestto figura ważna w intrydze komedyi, ale jako charakter bardzo ogólnikowa.

Syn jéj, Jan Koresz, ma pewne cechy wyrazistéj indywidualności przy końcu sztuki. Młody, przystojny, ukształcony, pomimo braku obycia towarzyskiego, nie traci przecież kontenansu wśród wielkich panów, śmiało do nich przemawia, a choć ma spółczucie dla swego naturalnego ojca, któremu na starość przyszła chęć przyznać się do ojcowstwa, nie myśli przecież ani korzystać z położenia, ani wyrzekać się swoich uczuć, jakie w długoletniém pożyciu powziął względem swego ojczyma. Mniejsza o bardzo słabe umotywowanie tych uczuć — o tém pomówię jeszcze niżéj przy rozbiorze figury Baluszyńskiego — dość że one w nim istnieją i skłaniają do odrzucenia wielkiego majątku jak niemniéj do wzgardzenia spóźnionéj ofiary, jaką robi jego rzeczywisty ojciec, Jerzy Olkszycki.

W nakreśleniu tego stosunku syna naturalnego do ojca leży świeżość pomysłu. Zwykle dawniéj sceny takie w sposób rozrzewniający malowano, dużo mówiąc o głosie krwi i t. p. motywach. P. Zalewski z innéj strony rozpatrzył i przedstawił ten stosunek. Co w rzeczywi-

stości może łączyć Koresza z Olkszyckim, który nigdy przedtém nie uznał za potrzebne zadośćuczynić popędowi serca, widzieć i popieścić syna? Żaden węzeł przyzwyczajenia, potężniejszy przecie od głosu krwi, nie łączył ich z sobą; trudno więc, ażeby na raz miał powstać i rozwinąć się jakiś serdeczniejszy stosunek między synem a zupełnie nieznanym ojcem. Sytuacya ta dała komedyopisarzowi sposobność do nakreślenia dwu scen zajmujących i naprawdę dramatycznych. Ale też same sceny, rozważane ze stanowiska swojskości, muszą być nazwane obojętnémi; zdarzyć się bowiem mogły zarówno u nas, jak we Francyi lub w Niemczech.

Zostawiłem na koniec osobistość Joachima Baluszyńskiego, którego interwencya zburzyła plany czyhających na spadek po Olkszyckim. Zdaje mi się, że autor niedostatecznie przemyślał tę postać względnie do roli, jaką jéj przeznaczał. Gdy go widzimy raz pierwszy na scenie, wydaje się nam on piwoszem, spijającym bardzo ochoczo fundowane sobie kufelki, a ten rys naprowadza nas na mniemanie, że i w stosunku do swéj żony, matki Jana Koresza, w stosunku do kapitału, jaki wraz z nią otrzymał, nie bez pewnéj filuteryi przyjmował dobrodziejstwo inwentarza, wniesionego przez Maryę wraz z synem. Ażeby mieć wygody i nie kłopotać się o to, skąd wziąć na utrzymanie rodziny, osłonił zagadkową przeszłość żony, nie dopytywał się bardzo, kto był pierwszym jéj mężem i z jakich źródeł płynął ów zasób pieniężny. Takie mniéj więcéj wyobrażenie ma widz o Baluszyńskim, gdy nagle w ostatniéj scenie pokazuje go nam autor jak zacnego poczciwca, który nic a nic się nie domyślał z przeszłości żony i który — niewiadomo dlaczego — zadawał sobie dużo trudu a nawet „poświęceń" z powodu wychowania pasierba. Taka metamorfoza piwosza, łakomie liczącego niewypite jeszcze kufelki, zapłacone przez kogo innego, na człowieka z gorącém sercem i zdolnego do największych poświęceń, człowieka, którego pasierb ukochał całą duszą i woli jego niż wielkiego pana i wielkie bogactwa, jest zbyt nagła, zbyt mało przygotowana, iżby mogła wobec ściślejszéj analizy wytrzymać krytykę psychologiczno-estetyczną. Czy Baluszyński jest w jakim rysie Polakiem specyalnie? trudno mu to przyznać.

Ale może zanadto wielki nacisk kładę na potrzebę zaznaczenia cechy psychologicznéj; może dzisiaj, po tylu zmianach, jakim uległo społeczeństwo, niezmiernie trudno pochwycić a zwłaszcza odtworzyć te szczególne znamiona, które narodowemi łatwiéj nazwać niż kategorycznie wymienić; nie nastaję więc już silniéj na ten punkt, przedstawiwszy go jeno rozwadze czytelników; ale zwrócić się mi wypada do mowy, w któréj stosunkowo najłatwiéj i najwidoczniéj wyrazić można

właściwości pewnego społeczeństwa. Wprawdzie i tutaj wpływy cywilizacyjne obce działają w sposób ujednostajniający na wyrażanie uczuć i myśli; wprawdzie nowe pojęcia i nowe stosunki wprowadzają dużo wyrazów cudzoziemskich, wpływają na frazeologię, lecz bądź co bądź jeszcze te przymieszki nie są tak znaczne i nie rozpanoszyły się tak szeroko, by miały wyrugować istotne znamienne cechy mowy mającéj świetną przeszłość. Jeżeli ideałem naszym nie jest jakiś bezbarwny volapük, to starać się winniśmy usilnie o zachowanie i przekazanie potomnym nie uszczuplonego, lecz owszem wzbogaconego skarbca języka.

Byłoby niesprawiedliwością krzyczącą, gdybym o uszczuplanie tego skarbca obwiniał poszczególne jednostki piszące. Wszyscy, co piszemy, musimy się przyznać do winy. Zamało zadajemy sobie trudu, by dokładnie poznać swój język i zawładnąć nim należycie. Starania nasze sięgają co najwyżéj tak daleko, żeby przeciwko gramatycznym i stylistycznym regułom nie wykroczyć. A nie baczymy na to, że mogą być w stylu naszym wszystkie wyrazy czysto polskie, mogą być zachowane wszystkie prawidła morfologii i składni, a mimo to zarówno tok mowy, jak jéj barwa mogą trącić cudzoziemczyzną. Po za literą języka istnieje duch jego; otóż przeciwko temu duchowi grzeszymy coraz częściéj i coraz gorzéj. Zamało czytamy pisarzów dawnych, zamało studyujemy język ludowy, zamało wogóle żywéj przysłuchujemy się mowie; otrzaskujemy się natomiast z gwarą dziennikarską, która wszystkiemi kanalikami wchłania i roznosi cudzoziemczyznę; a sądząc, że tém łatwiéj przyswoimy sobie styl oryginalny, im więcéj będzie odskakiwał od toku powszedniego, tracimy powoli poczucie właściwości i barwy językowéj.

Jeżeli w innych działach piśmiennictwa, posługujących się bardziéj oderwanemi pojęciami niż plastycznemi obrazami, wykroczenia takie mniejszéj są wagi, to w powieści i komedyi, malujących nam osoby żywe wraz z ich mową codzienną, stają się te wykroczenia rażącemi, gdyż tu dobór wyrazów i zwrotów daje nam poznać usposobienie, nastrój i stopień wykształcenia danéj jednostki. Czasami jedno małe słówko może zaważyć na szali charakterystyki. Nie chcąc się wdawać w długie przykłady, posłużę się krótkiem objaśnieniem. Bliziński w komedyach swoich słówkiem: *jest!* w znaczeniu: masz tobie! już wyjechał na swoim koniku! już się zaczyna! i t. p. — umiejętnie i właściwie używając wyrażenia wziętego z mowy żywéj, przekonywa nas, że mamy do czynienia ze swojakiem. Natomiast inny komedyopisarz, używający chętnie frazesu: *tu cię czekałem* w znaczeniu: mam cię! złapałeś się we własne sieci! teraz z tobą zagram! — okazuje, że się

oczytał komedyi francuskich i gotowy z nich frazes powtarza, frazes, który w naszym języku może mieć tylko swoje słownikowo-gramatyczne znaczenie.

Ze szczegółów składa się całość; z dobrze dobranych i należycie ułożonych wyrazów powstaje zwrot, zdanie, okres, byleby mieć żywe poczucie właściwości językowych, byleby naprawdę przenieść się umysłem, sercem i wyobraźnią w tę sferę, z któréj bierzemy swe osobistości. Klemens Junosza umié nadać tok i barwę mowy właściwéj żydom naszym albo szlachcie zaściankowéj, chociaż bardzo rzadko kaleczy właściwe brzmienie wyrazów, wié bowiem, że takie kaleczenie jest najłatwiejszym wprawdzie, ale i najmniéj estetycznym sposobem zaznaczania odrębności pewnéj gwary. Ale czy wielu mamy dzisiaj Junoszów w naszém powieścio- i komedyo-pisarstwie? Znaczna większość posługuje się językiem i stylem nieraz świetnym, bezwzględnie biorąc, ale nie mającym toku polskiego i barwy swojskiéj.

Zalewski miał dawniéj nieraz szczęśliwe natchnienia, jeżeli dobrze wystudyował sferę, którą miał przedstawić; w ostatnich atoli komedyach swoich zbyt jednostajnie pokostowaną mową zaczął się posługiwać. W „Synu" tylko Fiszel naprawdę się wyróżnia swą gwarą— w sposób zresztą bardzo pierwotny — a trochę Baluszyński w ostatniéj scenie; wszystkie inne osoby: czy to będzie hr. Dęboradzki, czy plenipotent Polkiewicz, czy uniwersytecko wykształcony Koresz przemawiają podobnemi do siebie zwrotami, gładkiemi, potoczystemi, poprawnemi pod względem składni, ale nie mającemi znamion ani ogólnie polskich, ani w szczególności jednostkowych. Bodajże frazes kilkakrotnie powtórzony: idź do dyabła! jest najbardziéj polskim w całéj komedyi.

Technice natomiast utworu p. Zalewskiego niewieleby zarzucić się dało. Bardzo dobrze i z werwą dramatyczną zaznajamia nas z charakterami komedyi i ze sprawami, jakie mają wywołać kolizyą; stopniowanie w przeprowadzeniu téj kolizyi jest umiejętnie dokonane, a rozwiązanie jéj efektowne. Każdy akt kończy się jakimś zręcznym zwrotem, mającym swe znaczenie w rozwoju walki dramatycznéj. Możeby tylko należało zauważyć, że w akcie pierwszym usunięcie hr. Dęboradzkiego i całéj służby z jego mieszkania, ażeby Matylda mogła tam zajść i spotkać się z Koreszem, oraz zapuszczenie kurtyny przed doczekaniem się przez nią powrotu hr. Dęboradzkiego niezbyt prawdopodobną i niezbyt dobrze umotywowaną tworzy sytuacyę; w zwykłych warunkach życia byłaby ona wyjątkową. Wszystkie inne wydają mi się dostatecznie upowodowanemi i bardzo zręcznie ze sobą powiązanemi.

Te zalety układu technicznego nie w tak wysokim stopniu posiada „Królewicz” Lubowskiego. Między czterema aktami téj „komedyi” a raczéj tego dramatu, większą zauważyć można luźność aniżeli między czterema aktami „Syna.” Związek oczywiście artystyczny istnieje, ale nie jest bardzo spójny; efekty nie są o tyle umiejętnie przygotowane i wyzyskane jak i u Zalewskiego.

Znajdujemy się tu w świecie mieszczańskim, niby polskim, ale w gruncie rzeczy kosmopolitycznym; znamion jakiéjś odrębności, prócz czysto zewnętrznych, nie odkrywamy tu tak samo jak i w „Synu.” Bogaty fabrykant, pan Martin, jest człowiekiem zacnym, rozsądnym w mowie, serdecznym w usposobieniu, tkliwym w miarę, surowym pod względem pojęcia obowiązku. Umié być wdzięcznym za okazane sobie usługi przez dyrektora fabryki Kruckiego, który ocalił go od ruiny majątkowéj swoją bystrością i pracowitością. Czy się interesował kiedy wychowaniem swego syna Filipa, nie wiadomo; ale najpewniéj nie, bo zajęty pracą w fabryce, obmyślaniem i przeprowadzaniem interesów, nie miał czasu i myśli swobodnéj, by wglądać pilniéj w sprawy edukacyjne. Żona jego, kobieta uczciwa, czuła, wrażliwa, ale słaba, zakochana w synu, swoim „królewiczu”, zbyt łagodną ręką kierowała jego wychowaniem, zbyt go pieściła, ubóstwiała, pozwalając na wybryki, a może je nawet tając przed mężem. I oto wyrósł młodzieniec, który nadto wcześnie zakosztowawszy rozkoszy życia, bardzo szybko przesycił się niemi i wszedł już w okres nudów, prawdopodobnie przejściowych.

Mówię: prawdopodobnie, gdyż autor zamało dał wskazówek, by módz coś pewnego i stanowczego o jego bohaterze powiedziéć. Okazał się zanadto skąpym w obdarzeniu królewicza przymiotami, któreby go interesującym zrobić mogły. Nie uczynił go ani umysłowo wyższym nad to otoczenie, wśród którego dni a raczéj noce spędza; nie dał mu do wypowiedzenia jakichś myśli, któreby pozwoliły zajrzéć głębiéj w jego duszę; nie przyznał mu szczególniejszych właściwości uczucia. Jestto bardzo pospolity birbant, tém różny od Leona z „Dożywocia,” że nie posiada ani iskry zapału, choćby nawet tylko do jazdy balonem, ale nudzi się potężnie, ziéwa, lekceważy jako bogacz tych chudopachołków, co mu służą za totumfackich, romansuje z żoną dyrektora fabryki, równocześnie starając się zająć pretensyonalną baronównę, jest cynikiem, samowolnym i upartym. W motywach jego postępowania trudno czegoś więcéj dopatrzyć nad samolubstwo, posługujące się czasem dość niezręcznie frazesami o cnocie i obowiązku. Porzuca żonę Kruckiego nie dlatego bynajmniéj, że Krucki oddał jego rodzinie wielką usługę, że zatém uczucie wdzięczności poprowadziło go na drogę cnoty, ale

dlatego poprostu, że mu się kobieta sprzykrzyła, bo, jak brutalnie jéj oświadcza, nie kochał jéj nigdy, lecz tylko czuł do niéj chuć namiętną. Jeżeli w scenie z Henryką zachowuje się jak cynik i brutal, to w scenie z Kruckim, wybuchającym lawą słów uczuciowych, przedstawia nam się jak głupiec, który trzech słów zliczyć nie umie. Dopiéro pojedynek, widok krwi tak ciężko znieważonego przeciwnika obudzić w nim miał lepszą stronę duszy i nakłonić do postanowienia radykalnéj zmiany życia. Historya syna marnotrawnego wciąż się powtarza. Nie przecząc bynajmniéj możliwości powrotu birbantów na dobrą drogę — co w interesie społecznym jest rzeczą pożądaną—wyznać muszę, że ten nagły objaw energii i poczucia obowiązku w Filipie zastaje widza bardzo słabo przygotowanym. Po scenie z Kruckim nie spodziewaliśmy się tego zwrotu. Czyżby widok krwi istotnie zmywał wszystkie brudy cynizmu? „I krew... cuda może” — jak powiada Pol — tylko że z ową krwią i duch złączonym być musi. A w duchu Filipa autor nie wskazał nam poprzednio pobudek, któreby dopomogły krwi do zrobienia cudu.

Filip jako bohater sztuki jest postacią niewyraźną, nieprzemyślaną przez autora dostatecznie, a przynajmniéj nie pokazaną widzom w całéj okazałości za pomocą środków dramatycznych. Jest on w pewnéj mierze artystycznym równoważnikiem „Bawidełka” tegoż autora, t. j. kobiety, która również w sposób słabo umotywowany, przechodzi bolesne koleje aż do napadu histeryi w restauracyi jakiegoś małego miasteczka. Tylko rozwiązanie w „Królewiczu” jest inne—nie pesymistyczne, jak w „Bawidełku;” zdaje się jednak, że tu więcéj było konsekwencyi psychologicznéj, lubo motywy zasadnicze mogły ulegać krytyce.

Inne postaci „Królewicza” jako charaktery trzymają się dość silnie, o ile nie są sylwetkowo traktowane. Sam pan Martin występuje w jednéj scenie bardzo znamiennie. Idzie o pojedynek Filipa z Kruckim. Serce ojca krwawi się na myśl możliwéj katastrofy; radby uchronić dziecko przed niebezpieczeństwem; ale z drugiéj strony nie może nie uznać powodów, skłaniających Kruckiego do walki. W duszy Martina toczy się bój zacięty między miłością a poczuciem słuszności. W końcu, nie mogąc obronić syna we własnéj opinii, lubo z bólem, puszcza Kruckiego nie tylko bez gniewu, ale z życzliwością dla niego. Jestto sytuacya świeża w komedyi. Zazwyczaj pomimo wszelkich dowodów słuszności na rzecz przeciwnika, serce rodzicielskie uparcie obstawało przy sprawie syna; potępienie dziecka wobec innych przychodzi bardzo trudno, lecz niemożliwém nie jest. Komedyopisarz umiał

wyzyskać tę nową sytuacyę umiejętnie i uczucia widzów nie zadraźnił.

Z kolei należy się słówko Kruckiemu. Jest to człowiek wybuchową uczuciowością swoją przypominający czasy dawniejsze, kiedy ludzie wzruszeń swych gorących nie kryli, nie osłaniali pozorami obojętnéj ironii lub chłodnego sceptycyzmu, lecz je owszem dobitnie i namiętnie wypowiadali, zwłaszcza gdy ich dotknęło nieszczęście. Pokochał on Henrykę tak gorąco i tak wyłącznie, że żadne inne uczucie, żaden inny ideał nie mogły mu zastąpić tego jednego. Henryka nie odpłacała mu podobném przywiązaniem; wyszła zań, jako dziewczyna biedna, dla poprawienia losu i miała tyle prawości, że przed ślubem oświadczyła mu wyraźnie, że przyjmuje rękę jego bez miłości. Krucki zgodził się na taki stosunek w tém głębokiém przekonaniu, że miłością swoją potrafi z czasem pozyskać wzajemność. I byłby może cel zamierzony osiągnął, gdyby nie „królewicz" Filip. Podczas długiéj nieobecności Kruckiego, Henryka mieszkała w domu Martinów. Filip zrobił na niéj silne wrażenie, jakie niejednokrotnie wywierają piękni i młodzi rozpustnicy na kobietach. Nie potrzebował on jéj „uwodzić;" nie potrzebował używać zapewnień bezgranicznéj miłości; ona sama lgnęła do niego, a raz zszedłszy z drogi obowiązku, tém namiętniéj garnęła się do obojętniejącego mężczyzny, że sama przed sobą chciała i musiała błąd swój usprawiedliwić niepokonaném ku niemu uczuciem. Pokochawszy pierwszy raz w życiu, zapomniała dla téj miłości o przysiędze małżeńskiéj względem niekochanego męża; a ponieważ nie była lekkomyślną, ponieważ uczucie prawości w niéj istniało, nie mogła pogodzić się z myślą, że stosunek z Filipem albo zerwanym, albo choćby tylko ukrywanym nadal być musi. Gdy Krucki wrócił i przedstawiony został przez starego Martina jako zbawca całéj rodziny bogatych fabrykantów, w umyśle Filipa zarysowuje się ta okoliczność jako niezły pozór do zerwania z Henryką, a w umyśle Henryki jako naglący powód, by się zapewnić, że była, jest i będzie kochaną. Tego właśnie odmawia jéj królewicz, który, żeby nie zostawić Henryce najmniejszéj nawet wątpliwości co do swego usposobienia, oświadcza jéj stanowczo, iż się ożeni z baronówną, nie kochając jéj również, tylko lubiąc. Wówczas srodze zawiedziona kobiéta wybucha; zapowiada Filipowi, że z własnych jéj ust dowie się Krucki o wszystkiém. Groźbę spełnia w połowie tylko: wyznaje mężowi swą winę, gdyż tego domagało się jéj poczucie prawości; tai atoli nazwisko mężczyzny, gdyż jéj miłość nie wygasła, więc nie może narazić ukochanego na niebezpieczeństwo. Nie trudno atoli było Kruckiemu odkryć tego, co mu zabrał honor i szczęście. Teraz właśnie następuje najważniejsza część jego roli. Ten cichy,

skromny pracownik, poczytujący oddane Martinowi usługi za proste spełnienie obowiązku, wystąpić ma jako mściciel swego honoru i wypowiedziéć całą głębię duszy zranionéj.

Autor każe mu dużo mówić wobec Filipa. Po co? Czyż Krucki nie znał tego gagatka? Czyż najserdeczniejszemi słowami mógł cokolwiek więcéj osiągnąć wobec jakiegokolwiek zresztą człowieka, będącego w tém położeniu względem niego, co Filip, nad uznanie potrzeby pojedynku? Zdaje mi się, że cała tyrada Kruckiego wobec Filipa jest zupełnie chybioną i pozostawia widza chłodnym, pomimo że dla nieszczęśliwego człowieka czuje się jak najszczerszą sympatyę. A może autor tym, co prawda mniéj właściwym dramatycznie środkiem, chciał przygotować zmianę duchową w znudzonym rozpustniku? Może myślał sobie, że odczucie krzywdy, wyrządzonéj uczciwemu człowiekowi, poprowadzić go musi na drogę poprawy. Może dla tego uczynił Filipa w téj scenie tak niemym? Ale w takim razie intencya podobna musiałaby być zaznaczona choćby jakiémś maleńkiem słówkiem, jakimś bodaj giestem. Tego w komedyi nie ma, a przynajmniéj nie widać tego na scenie.

Rozmowa Kruckiego ze starym Martinem ma więcéj psychologicznego uprawdopodobnienia, choćby dla dramatycznego odmalowania walki toczącéj się w duszy ojca wobec bólu zadanego dyrektorowi fabryki przez jego syna. Tu pewna patetyczność ze strony Kruckiego jest usprawiedliwiona; trzeba bowiem rozwinąć i okazać rodzaj i siłę uczucia, jakiém do głębi przejęty jest ten, co ma niebawem stanąć przeciwko Filipowi. Zachowanie się i sposób mówienia Kruckiego są sympatyczne i mogły rzeczywiście wpłynąć na tak trudne postanowienie, jakie decyduje się w końcu powziąć Martin, w imię sprawiedliwości przyznając Kruckiemu prawo poszukiwania satysfakcyi na jego synu. Scena to efektowna, choć nie wyzyskana może w całéj pełni i z całą siłą dramatyczną, do jakiéj się nadawała. Wynik pojedynku był niespodzianką dla Martina, niespodzianką zresztą nie mogącą bardzo dziwić, gdyż w takich wypadkach traf gra rolę przeważną. Sprzeczne uczucia miotają sercem ojca nanowo; cieszy się niewątpliwie, że syn wyszedł cało, ale żal mu serdecznie Kruckiego, nie tylko jako zdolnego dyrektora fabryki, lecz także jako szlachetnego a nieszczęśliwego człowieka. Toż jakby dla wynagrodzenia cierpień tego serca, które się w egoizmie rodzinnym nie zasklepiało, zapewnia mu autor pociechę z nawrócenia syna na drogę pracy pożytecznéj dla niego i dla ogółu.

Krucki został ciężko raniony; istnieje atoli nadzieja, że wyzdrowieje. Jak się względem niego zachowa Henryka, komedyopisarz nie mówi, a szkoda, bo jakieś objaśnienie należało się widzowi ze względu

na jéj charakter śmiały, otwarty, głęboko uczuciowy. Zdaje się, że nie jestto kobiéta pospolita, jakich tysiące w życiu, w powieści i w komedyi spotykamy, że jest w niéj materył na prawdziwego „człowieka." Lepsze, dokładniejsze jéj określenie za pomocą środków dramatycznych byłoby pożądane. Autor dał jéj właściwie jednę tylko wymowną scenę, kiedy widząc zobojętnienie Henryka, pragnie miéć przynajmniéj pewność, że była istotnie kochaną, a dowiaduje się, że ze strony Filipa istniała jeno chuć zmysłowa. Jestto scena może najświetniéj ze wszystkich napisana, chociaż ściśle biorąc ma charakter wybuchu monologowego raczéj niż rozmowy: Filip gra w niéj rolę nie tylko moralnie, lecz i artystycznie lichą. O wyznaniu przez Henrykę winy przed mężem dowiadujemy się już tylko; a o dalszym stosunku, o dalszych losach kobiéty nie wiemy nic zgoła. Okoliczność ta obudzić musi pewne w widzu niezadowolenie, boć chyba słusznem jest jego wymaganie, ażeby o osobie, która stanowi obok tytułowego bohatera najważniejszą postać komedyi, wiedział coś stanowczego.

Poboczne figury są traktowane oczywiście szkicowo. Siostra Filipa, Krystyna, jest panną dobrze wychowaną, serdeczną i wyrozumiałą dla brata, rozsądną i spokojną, tak że Filip jej tylko się zwierza w sprawie swego pojedynku. Uwagi jéj atoli są mdłe i bez wartości dramatycznéj. Baronówna przedstawia się jako panna źle wychowana, zarozumiała, wyrachowana i pretensyonalna. Komizm sztuki ma reprezentować pieczeniarz Koziołkiewicz, który organizuje wszystkie rozrywki i zabawy Filipa, prowadzi rachunki wydatków i obławia się przytém grubo; Królewicz w przystępie złości powiada mu w oczy, że najdroższa metresa tyleby go co on nie kosztowała. Istotnie atoli komiczne wrażenie wywołuje on rzadko — zanadto jest wstrętny. Natomiast towarzysz zabaw Filipa, Rupniewicz, lubo ma bardzo szczuplutką rolkę, posiada parę drobnych rysów w zachowaniu się i mowie, które go czynią naprawdę komicznym i wielce przypominają figury z bruku warszawskiego.

Oto spostrzeżenia, jakie mi się nastręczyły przy porównywaniu sztuk wznowionych z jednéj, świeżo wystawionych z drugiéj strony. Uderzyły mię dwa głównie szczegóły: sposępnienie komedyi dzisiejszéj i brak wybitnych cech swojskich i na szczegóły te położyłem nacisk. Co do pierwszego, to chyba nie ma żadnéj wątpliwości, iż komedya dzisiejsza nie rozśmiesza już tak jak dawna, że cięży nad nią ponura atmosfera; co do drugiego, może wymagania moje są zbyt wielkie, a ktoś może powiedzieć nawet — nieuzasadnione. Nie chciałem ich jednakże ukrywać przed autorami dzisiejszych komedyi, ponieważ zaznaczenie ich może się przecie na coś przydać, choćby pobudzić do

zastanowienia nad skreślonemi powyżéj uwagami i do odpowiedniego z nich zużytkowania. Nie chciałbym wywoływać rozdrażnień, gdyż te, prócz objawów rozgoryczonéj miłości własnéj, nic więcéj zdziałać nie mogą, ale pragnąłbym, ażeby spokojnie i trzeźwo roztrząsano kwestyę tu poruszoną, a byłbym najszczęśliwszym, gdybym został przekonany o swéj pomyłce.

Zresztą z całego przebiegu wywodów moich jasno wynika, że przyczyny główne zmian, znamionujących się owemi dwoma szczegółami, widzę przedewszystkiém w życiu naszém rzeczywistém, a tylko częściowo w zapatrywaniu się naszych pisarzy na autorów obcych. Można łatwo nawet stwierdzić kolejność i stopniowość niejaką w przechodzeniu od dawnego nastroju do nowszego. Fredro był niewątpliwie weselszym w komedyach i bardziéj swojskim, aniżeli Korzeniowski; „Zrzędność i przekora”, „Dożywocie”, „Zemsta”. „Śluby panieńskie”, nie mówiąc już o krotochwilach raczéj niż komedyach, jak „Damy i huzary”, „Pan Jowialski” są chyba pod obu temi względami wyższe od „Żydów”, „Panny mężatki”, „Konkurenta i męża”, „Majstra i czeladnika”, „Okrężnego.” Korzeniowski znowu, pomimo niezbyt wielkiego zasobu werwy komicznéj, pomimo pewnéj sztywności dyalogu, pomimo mniejszéj niż u Fredry swojskości wyrażeń, nakreślił więcéj sytuacyi iście komicznych i stworzył więcéj postaci swojskich, odmalował więcéj stosunków miejscowych, aniżeli przeważna część komedyopisarzy z ostatnich lat trzydziestu. Fredro młodszy pod względem komizmu (co prawda zazwyczaj niższego), Biliziński i Bałucki pod względem komizmu i cech narodowych są tu wyjątkami.

Może sądy moje są opaczne; ja przynajmniéj pragnąłbym, ażeby takiemi się okazały — byle nie w gołosłownych wykrzykach i zapewnieniach.

Piotr Chmielowski.



H. Struve i jego wstęp do filozofii.

Wyszło dzieło, jakiego dotąd ani nasza, ani żadna inna literatura nie posiadała, a na którego treść i formę złożył się cały szereg okoliczności sprzyjających: i osobistość autora, i warunki jego życia, i społeczeństwo, wśród którego się obracał, i nauka, którą uprawiał. Dzieło to nie jest arcydziełem sztuki, pomnikiem wiekuistą sławę zapewnić mogącym swemu twórcy: jest ono po prostu narzędziem pracy i umysłowego rozwoju, ale narzędziem tak pożytecznem i tak odpowiadającém najistotniejszym potrzebom naszych a nawet obcych czytelników, że publikacya jego stanowi fakt niezwykłej doniosłości, fakt nad którym warto się zastanowić i którego znaczenie ogółowi wyjaśnić jest naszym obowiązkiem, choćbyśmy się mieli narazić na podejrzenie, że osobista wdzięczność i przyjaźń względem autora zabarwia optymistycznie nasz sąd o jego pracy.

Henryk Struve jest jeszcze w sile wieku i wolno się po nim spodziewać dzieł wielu, ale W s t ę p d o f i l o z o f i i, przezeń niedawno wydany, w całym bogatym zbiorze jego pism zajmie wyjątkowe miejsce. Aby to znaczenie dzieła należycie ocenić, poznajmy osobistość autora. Urodził się 27 czerwca 1840 roku we wsi Gąsiorowie blisko Koła (gub. Kaliska). Rodzina jego, pochodząca pierwotnie ze Szwajcaryi (z kantonu Aargau), wydała wielu zasłużonych uczonych: znany prawnik XVII-go wieku Jerzy-Adam Struve jest przodkiem Henryka; Badeńczyk

Gustaw Struve (autor Historyi powszechnéj, Zasad nauk państwowych etc.) jego rodzonym stryjem; z téj saméj rodziny pochodził sławny astronom Wilhelm Struve. Ojciec Henryka urodził się w Monachium; ukończywszy akademią leśną w Aschaffenburgu zawezwany został do urządzenia lasów rządowych i osiedlił się w naszym kraju 1827 roku; matka zaś z domu de Witte, pochodziła z rodziny holenderskiéj, lecz urodziła się w Poznaniu i władała wybornie językiem polskim.

W 1850 roku dziesięcioletni Henryk wstąpił do warszawskiego gimnazyum gubernialnego, które się mieściło w dzisiejszym starym gmachu Biblioteki uniwersyteckiéj. Od 1853 r. wskutek przeniesienia się rodziców do Piotrkowa, uczęszczał do tamtejszego gimnazyum, które ukończył w 1858 r. W ciągu ostatnich trzech lat pobytu w gimnazyum był członkiem „Zgromadzenia literackiego”, na którego tygodniowych zebraniach, odbywających się po większéj części w domu rodziców Henryka, odczytywano najnowsze utwory literatury, rozprawy naukowe, opisy podróży, poezye, w celu oddania ich pod sąd kolegów. Zebrania te, do dnia dzisiejszego mile wspomina Struve, jako jedno z najważniejszych źródeł swego rozwoju umysłowego.

Po ukończeniu gimnazyum udał się Struve do Tübingi i zapisał się na fakultet teologiczny słynnego podówczas z teologii uniwersytetu. Wydział ten wydał wielu filozofów — Schelling, Hegel, Zeller, Sigwart znani szerszéj publiczności jedynie jako filozofowie, byli studentami teologii w tym uniwersytecie. Dostał się Struve pod doskonały kierunek filozoficzny, gdyż w owym czasie filozofię w Tübindze wykładał Fichte młodszy, którego odczyty zdecydowały Struvego do poświęcenia się filozofii. Prócz Fichtego miał on w Tübindze wielu innych znakomitych profesorów, na których wykłady uczęszczał. Teolodzy Baur i Beck, estetyk Köstlin, historycy Duncker i Pauli, ekonomista Helfferich, prawnik Gerber, fizyolog Luschka złożyli się na wszechstronne wykształcenie polskiego filozofa. Po dwuletnich studyach w Tübindze odwiedził on i inne uniwersytety niemieckie: Heidelberg, Erlangen, Göttingę, Hallę, Lipsk i Jenę, przyczém miał sposobność słuchania wykładów znakomitych filozofów jak Kuno Fischer, Lotze, Ulrici, Fechner, Fortlage, z którymi nastąpiło również osobiste zbliżenie. W czasie tych studyów Struve odbywał też podróże do sąsiednich krajów, szczególniéj do Włoch, Francyi, Holandyi, gdzie go najwięcéj zajmowały dzieła sztuki, których poznanie stanowiło pożądane uzupełnienie badań teoretycznych. Po gruntownych studyach Struve pozyskał w Jenie stopień doktora filozofii w r. 1862, na zasadzie rozprawy *Zur Entstehung der Seele, Tübingen 1862*, napisanéj pod wpływem młodszego Fichte'go i Fortlage'go. Pod koniec 1862 roku ofiarował

swe usługi otwierającéj się wówczas Szkole Głównéj w Warszawie i otrzymał d. 9 lutego 1863 roku nominacyę na adjunkta do wykładu logiki. W dniu 14 lutego 1863 roku rozpoczął wykłady, obierając sobie za przedmiot prelekcyi wstępnéj „Wywód pojęcia filozofii" [1]). Po kilkunastu miesiącach, w listopadzie 1864 roku Struve został nadzwyczajnym profesorem filozofii w Szkole Głównéj, i odtąd bez przerwy zajmował katedrę filozofii w téj szkole, a od 1870 r. w nowo utworzonym uniwersytecie warszawskim. Ze względu na zamianę Szkoły Głównéj na uniwersytet był zmuszony doktoryzować się powtórnie, co uczynił w Moskwie w marcu 1870 r. Od 1871 r. jest Struve profesorem zwyczajnym uniwersytetu warszawskiego, od 1873 członkiem-korespondentem Akademii krakowskiéj.

W ciągu swéj trzydziestotrzyletniéj działalności pedagogicznéj wykładał Struve logikę, psychologię, metafizykę, etykę, estetykę, historyę filozofii, a także Wstęp do filozofii i Encyklopedyę nauk filozoficznych (w latach 1863—69 pięć razy). Od 1870 roku zgodnie z nową ustawą ograniczył wykłady swe do logiki, psychologii i historyi filozofii, dla filologów i prawników. Jednocześnie rozwinął nader pracowitą działalność literacką. Od 1863 do 1896 roku napisał oprócz swych dzieł obszerniejszych kilkanaście rozpraw naukowych z zakresu filozofii [2]), przeszło sto siedemdziesiąt artykułów i recenzyi przeważnie filozoficznych w pismach peryodycznych [3]) i kilka odczytów [4]). Wydał prócz tego dzieła Kremera w 12 tomach, po-

---

[1]) Wykład ten wydany został razem z habilitacyjną rozprawą „O stanowisku Arystotelesa w historyi filozofii" w Warszawie 1863 r.

[2]) Oprócz wyżéj przytoczonych, na szczególną uwagę zasługują: O psychologicznéj zasadzie teoryi poznania, Warsz. 1864 — O temperamentach, Warsz. 1864 — O istnieniu duszy, Warsz. 1867—Cechy charakterystyczne filozofii, Warsz. 1875 — Psychologisch-metaphysische Analyse des Begriffs der Nothwendigkeit — der Freiheit (Philosophische Monatshefte 1874) — Philosophische Literatur der Polen (tamże) — Grundgesetze des Denkens (Philos. Monatshefte 1876) — Hamlet, eine Characterstudie, Weimar 1876 - Zur Psychologie der Sittlichkeit (Philos. Monatsh. 1882)—O nieśmiertelności duszy, Warsz. 1884—artykuły: Filozofia i wykształcenie filozoficzne — Estetyka i wykszt. estet. w „Encykl. wychow." T. II str. 558 — 610 (1885), T. IV str. 145—192 (1886)—art. Arystoteles w „Encykl. powsz. ilustr." T. V, str. 145—157 (1891).

[3]) Artykuły Struvego zawierają: „Ateneum" (1876 — 1878), „Biblioteka Warszawska" (1874—75, 1880—83, 1891—95), „Kłosy" (1874—76, 1880, 1882, 1885 —90), „Wiek" (1873—1883), „Tygodnik ilustrowany" (1878, 1882, 1885), „Klinika" (1867), „Pam. tow. lekar." (1867), „Pam. naukowy" (1867), „Świt" (1884) i inne pisma.

[4]) O pięknie 1865 — O estetycznem wychowaniu kobiet 1867 — O emancypacyi kobiét 1867—O teatrze 1871 — M. Rej 1877 (dotąd nie ogłoszony drukiem)— J. I. Kraszewski (w książce Jubileuszowéj 1879).

przedzone życiorysem i opatrzone notatkami uzupełniającemi, oraz siedem tomików Biblioteki filozoficznéj, zawierającéj tłomaczenia Platona, Kartezyusza, Spinozy, Berkeley'a i Condillac'a.

Niezależnie od utworów drobniejszych napisał Struve jeszcze kilka dzieł obszerniejszych, zasługujących na uwagę każdego czytelnika, zajmującego się filozofią. W 1870 roku wyszedł pierwszy tom jego Logiki, oparty na rozległych studyach historycznych, szczególniéj w zakresie filozofii i logiki polskiéj. Dzieło to, jedyne dotąd opracowanie historyi logiki w Polsce, wydane kosztem autora, trafiło na epokę takiéj obojętności względem podobnych badań, że autor, zniechęcony stratami poniesionemi na wydanie pierwszego tomu, zaniechał druku dwóch dalszych tomów logiki, które miał przygotowane. Kiedy w ten sposób poważniejsze dzieło logiczne Struvego, rozeszło się zaledwie w kiludziesięciu egzemplarzach, jego elementarna logika, wydana w 1874 r. po rosyjsku, doznała bardzo wielkiego powodzenia i miała dotąd dziewięć wydań.

W kilka lat późniéj wyłożył Struve swój pogląd na świat (Synteza dwóch światów, Warsz. 1876) w formie ogólnie przystępnéj, przeprowadzając zasadę monistycznego teizmu, trzymającego środek między panteizmem i dualistycznym deizmem. Pogląd ten, samodzielnie przez autora rozwinięty, przygotowali, według jego zdania, Fichte, Ulrici, Trendelenburg, Lotze, Fechner i Ueberweg, myśliciele cieszący się powszechném poważaniem wśród filozofów niemieckich i szczególniéj zasłużeni na polu psychologii. Oto główne zasady filozofii Struvego:

„Byt jest w sobie jednorodnym. Wewnętrznie, w sobie, jest świadomością czynną, więc siłą, potęgą rozumną, niczém inném tylko swoją własną treścią ograniczoną, więc działającą według téj treści, celowo, racyonalnie. Jéj wytwory racyonalne, idealne, są zarazem rzeczywistością, gdyż w saméj istocie bytu rozerwania tych dwóch czynników być nie może. Zewnętrznie, — naturalnie tylko względem szczegółowych świadomych siebie objawów swoich, — przedstawia się byt jako świat zmysłowy, materya. Jak szczegółowe myśli, uczucia, dążności naszego indywidualnego bytu, a témbardziéj stany naszego ciała, nie wyczerpują naszéj istoty, naszéj właściwéj i świadoméj siebie jaźni, a témbardziéj nie wyczerpują rozumu powszechnego, objawiającego się w téj naszéj istocie, w jéj racyonalnéj organizacyi — tak i w istocie wszechbytu świadomość centralną odróżniać należy od jéj szczegółowych objawów, wydanych przez nią i od niéj niezależnych. Centralna świadomość wszechbytu, jego rozum, jest Bogiem, pojętym jako dusza świata. Świat i wszystkie jego szczegółowe objawy są jéj wytworem,

w bezpośredniéj od niéj zależności, jak każda nasza szczegółowa myśl od naszéj centralnéj świadomości, kierującéj nią według swych motywów, intencyi celów. Jako istota świadoma siebie, rozumna, swobodna, twórcza, Bóg tworzy objawy pochodne, wydaje istoty do siebie podobne, więc jak on świadome siebie, rozumne, swobodne, twórcze, choć naturalnie ograniczone porządkiem fizycznym i moralnym, z istotą Boga danym, nie nadweręzalnym. Dla tych istot pochodnych istnieją z natury rzeczy dwa światy: wewnętrzny, idealny i zewnętrzny, materyalny. W jednym i drugim narzuca się jednostce porządek od niéj niezależny, boski, którego racyę bytu jednostka zrozumiéć może i który w swoim zakresie życia i działania wedle sił swoich urzeczywistnić winna. Celem bowiem wszechświatowéj boskiéj twórczości jest wydanie istot, działających swobodnie, nie niewolniczo, w duchu rozumu powszechnego. Bez takiéj swobody, Bóg stwarzałby nie istoty podobne do siebie, z nim jednorodne, lecz mechanizmy, doskonale funkcyonujące, nie odpowiadające atoli ideałowi racyonalnéj twórczości. Ze swobodą, wolnością istot pochodnych, w granicach boskiego porządku fizyczno-moralnego, daną jest możność, a następnie i faktyczność złego, oraz potrzeba przezwyciężenia go przy pomocy czynników rozumu wszechświatowego i jego porządku fizyczno-moralnego. Oto wyjaśnienie tragedyi ludzkiéj, ale i postępu dziejów ku lepszemu."

W powyższych słowach streszcza Struve swoje przekonania filozoficzne. „Synteza dwóch światów" zyskała sobie uznanie między innymi J. I. Kraszewskiego, który o niéj podówczas („Kłosy" 1876 Nr 558) pisał: „Ze wszystkiego, co się u nas oddawna ukazało, jest to pewnie najwięcéj mówiąca, najpiękniejsza formą, najzdrowsza myślą, najrozumniejsza i najserdeczniejsza zarazem książka." Zdanie Kraszewskiego mało jednak miało wpływu wobec panujących w owym czasie prądów pozytywistycznych, wręcz przeciwnych tendencyom filozofa. Złośliwe, a szczególniéj mało kompetentne recenzye odstraszyły szersze koła czytelników od poznania filozofii Struvego. Szczególne nieporozumienie doprowadziło do zarzutu, na który Struve mniéj niż ktokolwiek zasłużył—mianowicie to, co jedną z zasług dzieła stanowiło, dbałość o formę, uznano za chęć „pomięszania poezyi z filozofią" (Goldberg, w „Ateneum" za 1876 r. str. 248); tymczasem Struve i wtedy filozofię poczytywał za naukę, i dziś w swym Wstępie do filozofii obszerny rozdział (str. 232 — 260) poświęca udowodnieniu wielkiéj różnicy, jaka zachodzi między dziełem metafizyka a utworem poetycznym.

Poglądy wyrażone w Syntezie dwóch światów są sprzeczne z naszym narodowym indywidualizmem, ale nie wolno ich traktować jako mrzonki poetyczne, bo w takim razie z filozofii musielibyśmy również

wykluczyć Platona, Leibniza, Schellinga i wielu innych myślicieli. Możliwość różnicy zdań w pewnych kwestych metafizyki nawet między kompetentnymi w zupełności filozofami, między ludźmi, co życie swe poświęcili zbadaniu istoty Bytu, jest faktem powszechnie uznanym; faktem, do którego wyjaśnienia dążą wszyscy filozofowie, szczególniéj poczynając od Hegla; profani zaś zbyt łatwo zapominają o tém, że te różnice zdań tyczą się tylko pewnych kwestyi filozoficznych, nie zaś wszystkich. Takie różnice zdań istnieją co do pewnych kwestyi we wszystkich naukach, nawet w okrzyczanéj za nieomylną matematyce. W badaniach historycznych są one daleko częstsze, niż na polu filozofii — a wszystkie te różnice nie usuwają znowu zasadniczéj zgodności powszechnéj uczonych i filozofów co do wielu kwestyi bezspornych.

Wtedy kiedy Struve wydawał „Syntezę dwóch światów,” był on po śmierci Kremera jedynym żyjącym fachowym filozofem polskim, i nie mógł napotkać kompetentnéj krytyki. Dziś należy mu się zadosyćuczynienie od tych kilku przynajmniéj młodszych pracowników, którzy po nim samodzielnie zaczęli się zajmować filozofią i pracować fachowo na polu téj nauki. Szersza publiczność rzadko uświadamia sobie okoliczność, że i filozofia, pomimo że wymaga rozległéj wiedzy, pomimo że ma liczne zastosowania, jest pewnym fachem, i że nie każdy co o filozoficznym przedmiocie napisze artykuł, recenzyę lub książkę, jest filozofem. Od filozofa wymagamy przedewszystkiém gruntownéj, źródłowéj znajomości historyi filozofii, a zatém dzieł wielkich filozofów — powtóre również dokładnéj znajomości literatury téj specyalnéj kwestyi, o któréj ktoś pisze. Oba warunki posiadał już dwadzieścia lat temu Struve, jak tego dowodzi pierwszy tom jego logiki i inne jego prace z owego okresu. Krytycy zaś jego z punktu widzenia filozoficznego byli dyletantami, nie znającymi ani historyi filozofii, ani bieżącéj literatury metafizycznéj —nie mogli więc ocenić należycie metafizycznego dzieła, jakiém była „Synteza dwóch światów.”

Przyjęcie, jakiego doznał pierwszy tom Logiki i Synteza dwóch światów, zniechęciło Struvego o tyle, że w ciągu ostatnich lat dwudziestu żadnego systematycznego dzieła filozoficznego po polsku nie wydał, choć ciągle zbierał materyały i uzupełniał swoje notatki do wydania Wstępu do filozofii i Encyklopedyi nauk filozoficznych. Wśród tych prac przygotowawczych uprawiał zarazem specyalne studya estetyczne, których owocem była Estetyka barw (1886) oraz Sztuka i piękno (1892). Widząc jak dalece u nas filozofia jest zaniedbana, czuł Struve potrzebę ułatwienia studyów jéj miłośnikom przez wydanie wzbogaconych trzydziestoletniém doświadczeniem pedagogiczném wy-

kładów, mianych w Szkole Głównéj jako „Wstęp do filozofii" i w uniwersytecie, jako wstęp do historyi filozofii. Wstęp ten, wydany został najprzód po rosyjsku w 1890 roku kosztem uniwersytetu warszawskiego, a gdy krytyka fachowa rosyjska przyjęła go z wielkiem uznaniem, wziął się autor do opracowania dwa razy obszerniejszego polskiego wydania. Kasa Mianowskiego udzieliła zapomogę, która pokryła trzy piąte kosztów druku — resztę kosztów znowu poniósł autor, jeszcze raz probując przysłużyć się bezinteresownie czytelnikom dzieł filozoficznych w naszym kraju i w nadziei doczekania się nareszcie sprawiedliwego sądu kompetentnéj krytyki fachowéj, zaczynającéj się u nas na nowo pojawiać.

Wstęp do filozofii jest podręcznikiem, i to pierwszym podręcznikiem nauki „Wstępu do filozofii" tak, jak ją pojmuje Struve. Jako podręcznik, zbiera w jedną całość pracę wszystkich poprzedników a oryginalność autora polega właśnie na téj architektonicznéj pracy, na porządkowaniu i krytycznéj ocenie udziału, jaki każdy pracownik wziął w postępie nauki. Na każdéj prawie stronicy autor przytacza zdania licznych pisarzy swojskich i obcych, wykazując jak dalece owładnął historyę filozofii i literaturę każdego przedmiotu, który traktuje. Bezstronność i sumienność, z jaką uwzględnia swoich przeciwników, ich samych musi rozbroić. Do takiego dzieła potrzebowaliśmy spolszczonego Niemca, jak do bibliografii—Estrejchera, do słownictwa—Lindego, jak zresztą i przedtém w filozofii mieliśmy Kremera, Libelta, Hoene'go. Struve lepiéj zna całą polską filozofię niż kiedykolwiek znał ją rodowity Polak. Skrzętnie notował sobie wszystkie filozoficzne artykuły z pism peryodycznych, nawet codziennych i ze zdumiewającą dokładnością je przytacza. Znać, że nie jest to tania erudycya, lecz gruntowna wiedza, obiektywne przytoczenie zdań wszystkich, co nad każdą kwestyą pracowali. Dzieła tak wyczerpującego jak „Wstęp do filozofii" żadna literatura nie posiada. „Wstęp" tak pojmowany, jak go pojmuje Struve, jest pracą nadzwyczajnie pouczającą, i może się przyczynić do pozyskania młodszych sił dla uprawiania filozofii.

Za Wstęp do filozofii podaje Struve rozbiór zasadniczych pojęć o filozofii. Zaczyna od uzasadnienia potrzeby takiego działu filozofii, pomimo tego, że wstęp do każdéj innéj nauki nie stanowi osobnego działu téjże nauki. Różnicę pod tym względem między filozofią a innemi naukami widzi Struve w tém, że filozofia, traktując ogólniejsze kwestye, więcéj zawiéra punktów spornych, które tylko przez specyalne badanie wstępne mogą być usunięte. Dziś jak i w dawniejszych czasach wielu ludzi samą potrzebę i możliwość filozofii podaje w wątpliwość—zadaniem wstępu jest takie wątpliwości usunąć.

Wstęp do filozofii ma określić treść i zadania całéj filozofii, jéj stosunek do innych nauk i do innych objawów duchowego życia, metodę badań filozoficznych i właściwości umysłu filozoficznego. W tych szerokich ramach umiał autor świetnie wyłożyć mnóstwo nader ważnych i interesujących kwestyi, których samo wyliczenie zajęłoby cały zeszyt „Ateneum". Więc poprzestanę na uwydatnieniu doniosłości tych rozdziałów, które szczególniejszą na się uwagę zwracają.

To, co Struve mówi o jedności nauki i podziale pracy umysłowéj zasługuje na uzanie filozofów również jak specyalistów. Za łącznik między różnémi grupami nauk podaje ideę praw świata, opartą na stałości i jednostajności jego objawów! To pojęcie prawa przedstawia nam Struve (str. 120 — 135), wykazując nieunikniony dogmatyzm nauk specyalnych w porównaniu z krytycyzmem filozofii.

Także bardzo interesujący jest rozdział o stosunku filozofii do sztuki (168—271). Dziełem sztuki są ideały, wyobrażenia o tém, co być powinno, co przy swém urzeczywistnieniu odpowiada bardziéj podmiotowym dążeniom człowieka, niż przedmiotowa rzeczywistość. Idea zaś, przedmiot i dzieło filozofii, jest środkiem poznania danéj rzeczywistości. Stąd Struve trafnie odpiéra zarzut robiony filozofom, jakoby oni marzyli o ideałach na wzór artystów. Filozof na miejscu nieokreślonych artystycznych dążeń ma ściśle sformułowane ideę, które odpowiadają rzeczywistości, pozwalają pojąć rzeczywistość tak dobrze i tak prawdziwie, jak ona jest przystępną dla rozumu ludzkiego. Nauka urzeczywistnia ideał poznania świata, czyli prawdy, ale pomimo twórczości w ten sposób w nauce a zatém i filozofii zachodzącéj, celem filozofii jest przedewszystkiém prawda, co filozofa różni zasadniczo od artysty. Różnicę tą Struve bardzo dokładnie wyjaśnia, wchodząc w takie szczegóły, jak stosunek ideału do utopii, idealizmu i realizmu w sztuce, porządku ideałów, i t. d. Występuje przeciwko teoryi Langego, według którego filozofia byłaby poezyą myśli i broni naukowego charakteru filozofii wobec licznych jéj przeciwników u nas i zagranicą.

Filozofia, jako nauka, dąży do obiektywnéj prawdy na równi z innemi naukami, i dziedziczy po nich kwestye, których szczegółowe badanie rozwiązać nie może. Tak np. rozbiór pojęć przestrzeni i czasu nie należy do matematyki, ani też wyjaśnienie pojęcia życia do medycyny. Najznakomitsi fizyologowie zgadzają się na to, że warunki życia nie wyjaśniają konieczności śmierci, bo też śmierć i życie są zagadnieniami filozoficznemi na równi z czasem i przestrzenią. Najogólniejsze badania przyrodnicze nie sięgają do głębi tych pojęć, a gdy usiłują tego dokonać wchodzą w zakres filozofii. Krytyce pozytywizmu,

negującego naukowość filozofii, poświęca Struve bardzo pouczający rozdział (276—295), badając także specyalnie „pozytywizm warszawski,” jako odmianę uprzedzeń względem filozofii, różniącą się od pozytywizmu francuskiego i angielskiego.

Z równą bezstronnością występuje Struve (str. 295 — 315) przeciwko chorobie zwanéj agnostycyzmem, która u nas znalazła pewne rozpowszechnienie dzięki tłomaczeniom dzieł angielskiego dyletanta Herberta Spencera. Czytelnik polski zdziwi się gdy usłyszy, że z punktu widzenia fachowéj filozofii Spencer jest dyletantem, a jednak filozofowie inaczéj patrzéć nie mogą na człowieka, biorącego się do rozwiązania najzawilszych zagadnień filozoficznych bez gruntownéj znajomości historyi filozofii, to jest dotychczasowych usiłowań rozwiązania tych samych kwestyi. Struve z dziwną względnością traktuje takich dyletantów obcych i swojskich: przytacza ich zdania i zbija je starannie, wskazując źródła ich błędów.

Stosunek filozofii do nauk przyrodniczych i matematyki (345 — 416), pojęcia przyczynowości, materyi, siły, celowości, znowu stanowią przedmiot innéj części dzieła Struvego, równie wszechstronnie opracowanéj jak poprzednie, i streszczającéj wszystko, co o tych przedmiotach wiadomo.

Bardziéj indywidualny, osobisty charakter ma następny dział „filozofia i życie” (417—519), w którym autor bada wpływ filozofii na ustrój ekonomiczny, społeczny i religijny i jéj zależność wzajemną od warunków życia. Znane lekceważenie dóbr materyalnych przez różnych wielkich filozofów nie usuwa faktu, że zadowolenie potrzeb niezbędnych bytu zmysłowego, jako *minimum* dobrobytu ludzkiego, jest koniecznym fizycznym warunkiem filozofii. Filozofia występuje na jaw w dziejach ludzkości i staje się możliwą dla pojedyńczego człowieka tylko po osiągnięciu tego *minimum* dobrobytu materyalnego. Trzebaby być hypokrytą, aby zaprzeczyć temu wnioskowi Struvego — tém bardziéj, że zaraz po nim następuje żądanie, aby filozof więcéj niż inni ludzie poprzestawał na istotném *minimum* i nie dał się odciągać od głównych celów swego życia względami stanowiska lub bogactwa. Człowiek, mający dobrobyt materyalny za główny cel swego żywota, jak słusznie dowodzi Struve, filozofem być nie może.

Z okazyi rozbioru stosunku filozofii do życia praktycznego poddaje Struve krytyce zadania i kierunki etyki, przytaczając różne zdania, w ciągu wieków o tych kwestych wygłaszane, a występując szczególniéj przeciwko epikureizmowi i utylitaryzmowi.

Łączność życiową ze społeczeństwem uważa autor za konieczny warunek umysłowego rozwoju myśliciela i wpływu jego na otaczające

go społeczeństwo. Jednak niezawisłość myśliciela od tradycyonalnych zasobów życia społecznego jest koniecznym warunkiem krytycznéj samodzielności myśli i wynikiem jego charakteru. Za wydatne rysy charakteru prawdziwego filozofa podaje Struve: „głęboką miłość dla prawdy, sumienność w jéj badaniu, jasne poczucie osobistéj godności i samodzielności, w połączeniu ze skromnością i naturalną prostotą w życiu społeczném. Filozof nie wynosi się w stosunkach społecznych ponad innych, nie doznaje wewnętrznego i zewnętrznego niepokoju, który trapi większość ludzi, niezadowolonych danymi zasobami materyalnymi, a dążących do zajęcia wydatnych stanowisk w życiu społeczném. Uwolniwszy się w duchu od tego niepokoju, poświęca się filozof stosownie do swych zdolności i stanowiska społecznego, samodzielnéj, refleksyjnéj pracy myśli nad rozwiązaniem najwyższych zagadnień wiedzy ludzkiéj."

Kto zna osobiście autora, wie, że nie są to próżne słowa, tylko wierny obraz jego własnego życia. Z osobistego téż doświadczenia płyną piękne jego wywody co do ascetyzmu i pesymizmu (str. 461 — 467). Przypisuje oba te kierunki Struve jednostronnemu rozwojowi indywidualizmu, z czém większość czytelników, jako dziedziczni indywidualiści, może się z autorem nie zgodzi.

Stosunek filozofii do religii określa Struve w ten sposób, że ani religia panować nad filozofią nie powinna, ani filozofia zastąpić religii nie jest w stanie. „Najprawdziwsza filozofia doprowadza do naszéj świadomości zasadniczą istotę wszechbytu tylko w formie oderwanéj idei; ale jak obraz nie może nam nigdy zastąpić żywéj osoby, zaspokoić naszéj miłości i czci dla niéj, zadosyć uczynić potrzebom naszego uczucia, tak również idea o rzeczy, choćby o Bogu, nie może zastąpić saméj rzeczy, samego Boga."

Po wykazaniu związku między filozofią a mądrością życiową i przedstawieniu ideału filozofa (str. 501 — 519), poświęca autor obszerny dział metodzie filozofii, którą nader popularnie i zgodnie z powszechnie przyjętemi zasadami przedstawia. Ostatni dział pod tytułem „rozbiór umysłu filozoficznego" (593 — 709) zawiera niezmiernie pouczające wywody o typach uzdolnienia filozoficznego, o epokach w rozwoju umysłu filozoficznego, o wykształceniu ogólném, naukowém i fachowém, jako czynnikach wykształcenia filozoficznego, o czasopismach filozoficznych — a na końcu następuje słownik filozoficzny z wyliczeniem ustępów, w których każdy termin filozoficzny w całém dziele jest użyty — i spis autorów przytaczanych w tekscie (715 — 724). Oba te spisy nadzwyczajnie ułatwiają oryentacyę w obszerném dziele i zarazem uwidoczniają ogromny zasób erudycyi autora, który przeszło 900

pisarzy, a wielu z pomiędzy nich aż po kilkanaście razy w swém dziele przytacza.

Dzieło Struvego zasadniczo się różni od całéj dotychczasowéj naszéj filozoficznéj literatury, i obok pierwszego tomu logiki tegoż autora stanowi jedyną u nas próbę systematycznego zestawienia całego materyału stanowiącego pewien dział filozofii. Inni nasi filozoficzni pisarze w dziełach swych głównie poprzestawali na obronie zdań własnych i nigdy nie mieli nawet pretensyi do wyczerpującego uwzględnienia literatury przedmiotu. Nawet w całéj literaturze filozoficznéj wogóle tylko dzieła Ueberwega (Historya filozofii—Logika) mogą być porównane pod tym względem obiektywności autora ze Wstępem do filozofii Struvego.

Obiektywność Struvego idzie tak daleko, że nawet z fachowego punktu widzenia możnaby mu zarzucić, że zbyt obszernie i cierpliwie uwzględnia elukubracye dyletantów. Ale z dwojga złego taka wada w popularnym podręczniku nie tyle szkodzi, co jednostronny dogmatyzm, jakim się np. odznaczają skądinąd pełne erudycyi dzieła Zellera w zakresie historyi filozofii.

Aby wydać takie dzieło jak Wstęp do filozofii, istotnie dzieło krytyczne, trzeba było, jak Henryk Struve, przejść przez szkołę wielu pierwszorzędnych nauczycieli filozofii, potém być zmuszonym do walki długoletniéj z niekompetentną ignorancyą i przez to nabrać anielskiéj cierpliwości, bezstronności i obiektywności. Trzeba było w dodatku mieć wrodzoną pracowitość niemiecką połączoną z polskim animuszem i zdolnością architektoniczną, prowadzącą nie tylko do ściśléj klasyfikacyi nagromadzonych materyałów, ale do ich estetycznego układu w pięknie zaokrągloną całość.

Od uczni Struvego niektórych zdarzyło mi się czasem słyszéć skargi na niejasność wykładu. Wady téj Wstęp do filozofii nie ma. Jest on przystępnym w całości nawet dla młodzieży gimnazyalnéj, a stanowi dzieło nadzwyczaj odpowiednie dla młodzieży uniwersyteckiéj, pragnącéj nabrać jasnych i wiarogodnych wiadomości o obecnym stanie filozofii. Oto co jeden student uniwersytetu w Halli pisze mi o Wstępie: „Kupiłem sobie Wstęp Struvego i czytam go obecnie. Musiało go to dzieło dużo lat pracy kosztować, takie jest źródłowe. Nie tylko z saméj książki téj można się dużo nauczyć, ale ma się jeszcze doskonały drogowskaz dla dalszéj pracy. Czyta się łatwo, język nawet ładny.” Inny student uniwersytetu w Bernie pisał mi: „Czytam obecnie Wstęp Struvego — mało dzieł zdarzyło mi się czytać z takiem zajęciem i wewnętrznem zadowoleniem, jak to. Dzieło napisane jasno, gruntownie, sumiennie i dosyć bez uprzedzeń. A co nadewszystko: na

każdéj stronie znać, że książkę pisze profesor w celu wyjaśniania i nauczania, i że ciągle o uczniach swoich myśli. Jest to wielka zaleta, a niestety tak rzadko spotykana." To są świadectwa naturalne, jak dzieło Struvego zostało przyjęte w szerokich kołach młodzieży akademickiéj. Te niewymuszone i szczere zdania studentów świadczą, że książka doszła do tych, dla których została napisana. One téż autorowi większe dadzą zadowolenie, niż uznanie fachowych recenzentów. Jeśli Mickiewicz marzył o tém, żeby dzieła jego dostały się pod strzechy, to ambicyą filozofów jest, żeby ich czytali studenci.

Struve ma dopiéro 56 lat, i posiada zebrany materyał do wielu dzieł równie ważnych, równie pożytecznych, jak Wstęp do filozofii. Przyjęcie, jakiego dozna Wstęp, zachęci go do wydania Historyi filozofii polskiéj, któréj nikt lepiéj od niego nie zna, nikt lepiéj nie obrobi. Więc nie tylko czytajmy, ale téż i kupujmy „Wstęp", stanowiący ozdobę dla każdéj biblioteki prywatnéj i publicznéj. Pamiętajmy, że prócz trudu i pracy wydanie kosztowało téż część oszczędności autora. Jesteśmy dłużni względem niego, nie tylko moralnie ale i materyalnie, a płacąc ten dług nie tylko spełnimy obowiązek, ale i umożliwimy mu dalsze ofiary na naszą korzyść, do których jest on skłonny.

My, co tak lubimy jubileusze, przypomnijmy sobie, że za dwa lata mija 35 lat od rozpoczęcia wykładów Struvego w Szkole Głównéj. Zmuśmy go w ciągu tych dwóch lat do nowego wydania Wstępu (jest na sprzedaż zaledwie 400 egzemplarzy), którego pewno podjęłaby się jedna z naszych firm wydawniczych, gdyby pierwsze wydanie tak prędko zostało rozkupione.

Wincenty Lutosławski.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Dr. E. Egelhaaf. „Zarys dziejów powszechnych“ z niemieckiego przełożył i uzupełnił Stanisław Krzemiński. I. Starożytność, z mapką zachodniéj części świata starożytnego oraz tablicą synchronistyczną. — Warszawa 1896. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 299.

Takich przekładów jak obecny posiada literatura nasza nie wiele. Nie często zdarza się, żeby zasiadł u nas do zmudnéj i ciężkiéj pracy tak wyrobiony literat jak Krzemiński, któremu zawdzięczamy przekład przytoczonéj właśnie książki. Nietylko go zaleca gruntowna znajomość języka niemieckiego, z którego przekład był dokonany, nie tylko znany jest p. Krzemiński jako wyborny w naszéj literaturze stylista i wytrawny znawca polszczyzny, ale sam także uprawia pole historyczne i z zamiłowaniem oddaje się studyom historycznym. Taka więc siła, gdy się do odpowiedniego weźmie zadania, może być bardzo pożądaną i pożyteczną. Przyswojenie literaturze naszéj podręcznika Egelhaafa stało się dla p. Krzemińskiego bardzo wdzięczném zadaniem, za które należy się szczere podziękowanie. Dawno już należało się literaturze naszéj przysporzyć taki nabytek. Wyczerpały się popularne podręczniki Ditmarów, Putzów, Weberów i in. Nowości, które się ukazują na miejsce dawniejszych, czynią zadość potrzebom współczesnym pedagogicznym i stoją na stanowisku współczesnéj nauki. W wyborze najnowszych odpowiednich książek widać umiejętne staranie wydawców Gebethnera i Wolffa. Książka Egelhaafa nie będzie w literaturze naszéj zbyteczną. Zarówno pod względem swéj treści, swojéj metody

wykładu jak i swojego obszaru będzie ona bardzo na miejscu. Nie wychodzi ona swoją treścią (3 tomy zarysów historyi powszechnéj) po za granice średniego nauczania historyi, pod względem zaś metody i wykładu umié także w odpowiednich utrzymać się ramach. Nie trzyma się w tak szczupłych granicach, żeby się pod względem treści ulotniła w nieuchwytny obraz, ale zaleca się przedewszystkiém tém, że właściwym doborem treści historycznéj ująć potrafi, każdego zjednać ucznia, przystępującego z żywém zainteresowaniem się do przedmiotu. Na każdym kroku spotyka się dowody, że tłomacz starał się wywiązać jak najgodniéj ze swego zadania. Najprzód dodał do tłomaczonego dziełka mapkę, która przedstawia część zachodnią świata starożytnego, ułatwia możność zaznajomienia się szczególniéj z Azyą Mniejszą, z Grecyą i światem rzymskim. Jestto dogodność wielka, zwłaszcza w nauce domowéj, gdzie o mapy starożytne nie tak łatwo jest w nauce szkolnéj. Zresztą ta dogodność posiadania takiej mapy w każdéj chwili pod ręką zasługuje na szczególniejsze uwzględnienie. Zwracam także uwagę na inną okoliczność, w któréj przebija staranie tłomacza. Dodał on także tablicę synchronistyczną, w któréj jest przedstawiony obraz chronologiczny ważniejszych wypadków dziejowych. Treściwe to zestawienie przyczynia się bardzo do oryentowania się w rozległéj dziedzinie różnorodnych zdarzeń. Zachodzi tylko pytanie, czy w téj formie tablicy synchronistycznéj szerokiéj, rozrzuconéj, przedstawia się dość praktycznie i w podręczniku szkolnym taki obraz chronologiczny. Z punktu widzenia pedagogicznego powstają pewne wątpliwości. Wreszcie o dbałości, z jaką p. Krzemiński traktował swój przekład, przekonywa uzupełnienie, które wprowadził przekładca. Doszedłszy do przekonania, że dział historyi powszechnéj, poświęcony wykładowi Wschodu, nie jest należycie i dość obszernie wyłuszczony przez Egelhaafa, przekładca postanowił skorzystać ze sposobności i wprowadzić do literatury pedagogicznéj polskiéj całą wiązkę wiadomości o ludach wschodnich: o Chińczykach, Japończykach, Egipcyanach, Fenicyanach i t. d., którym autor pobieżną poświęcił wzmiankę na ośmiu kartkach poprzedzających historyą Greków i Rzymian. Niewątpliwie za to uzupełnienie, oparte głównie na gruntowném dziele G. Maspero „Histoire ancienne des peuples de l'Orient" oraz na bardzo poważnych własnych studyach, czerpanych w innych źródłach, będzie świat pedagogiczny bardzo wdzięczny p. Krzemińskiemu. Zdaje mi się jednak, że i w tém staraniu o uzupełnienia powinna być zachowana pewna miara, bo granicę przekroczyć łatwo. Tak np. w podręczniku, który nazwany jest „Zarysem dziejów powszechnych", każde miejsce poświęcone oddzielnym ludom wschodnim musi byś usprawiedliwione względem na nie-

zbędną oszczędność. Historya Egiptu na 8 stronach może się wydać za obszerną. Prowadzi ten nadmiar do przeciążenia pamięci ucznia, z którą oględnie obchodzić się należy. W żadnym z naszych podręczników nie jest tak szeroko traktowana historya Wschodu. Może to być dowodem wielkiéj staranności i dbałości p. Krzemińskiego, ale pod względem pedagogicznym daje to powód do sporów, będących nie bez pewnéj podstawy.

Z wyjątkiem téj zmiany, którą starał się tłómacz usprawiedliwić, nie zaprowadzono żadnéj innéj w oryginale. Jego zalety, jego wybitne właściwości zostały nietknięte i nienaruszone. Zachowała się metoda wykładu. Ten sam wybór przedmiotu, treściwość i układ odpowiedni. Nie masz przewagi opowieści, bajecznego charakteru, wyprawy wojenne ujęte są w formy treściwe. Życiu politycznemu nadano odpowiednie w słowach ramy. Jest widoczne dążenie autora do koncentrowania obrazu historycznego, z pomijaniem wypadków drugorzędnych. Podniesione są formy życia politycznego, szczególniéj umiejętnie przeprowadzona ta rzecz w wykładzie historyi rzymskiéj, tak, że w tym przedmiocie podręcznik stanął na stopniu rzadkiéj doskonałości. Nie pominięte są także rysy literatury, należycie uwydatnione. Podniesione są także cechy kultury w oddzielnych epokach. Zasługują także na uwagę rysy geograficzne i charakterystyki, umiejętnie zaznaczone.

Z temi właściwościami, zachowanemi przez tłómacza, ukazał się u nas Egelhaaf w przekładzie polskim. Że w tym przekładzie nic nie stracił, mówić o tém byłoby zbytecznem. Zwłaszcza przy użyciu przekładów imion własnych i terminów politycznych tłómacz nie ściągnął na siebie żadnego zarzutu. Nic łatwiejszego, jak w przekładzie greckich imion własnych zabłysnąć nowością, odstąpić od utartych wyrażeń i wpaść na drogę nowotworów cudackich, używanych niekiedy przez autorów. Uniknął tego prawie zupełnie tłómacz. Wogóle w całéj książce język polski, z wyjątkiem pewnych naleciałości, zachował swoją powagę i czystość (np. 274 senatu, którego pełni o skład na sześciuset członków oznaczył). Cycero (268), zamiast Cyceron i in. Cato.

Można liczyć na to, że książka z takiemi zaletami w oryginale i przekładzie znajdzie u nas należyte uznanie. *A. P.*

„Dzieje powszechne ilustrowane“, na podstawie najnowszych badań i dzieł historycznych opracowali przystępnie prof. Czesław Pieniążek, dr. Henryk Sawczyński Alfred Szczepański, pod kierunkiem prof. dra Ludwika Kubali. Tom I. Czasy stastarożytne. Część pierwsza. Liczne ilustracye, kartony kolorowane, mapy, podobi-

zny. Tom I według wydawnictwa Spamera opracował prof. Czesław Pieniążek. Wiedeń. Nakładem Franciszka Bondego.

Wszelkie sądy, jakie wypaść mogą o téj historyi powszechnéj, pochwalne czy ujemne, nie powinny przedewszystkiém spuszczać z uwagi téj okoliczności, że jest to pierwsza u nas próba wydania historyi powszechnéj ilustrowanéj. Wtedy, gdy gdzieindziéj, we wszystkich niemal literaturach europejskich, zakwitnęła w ostatnich lat dziesiątkach historya powszechna, oraz narodowa, wsparta siłą rysowniczą, rozkwitem archeologii, u nas, pomimo korzystnych warunków, wśród których rozwinęło się ilustrownictwo, nie rozpowszechniło się wogóle wydawnictwo ilustrowane. Niektóre tylko, wyjątkowe dzieła poetów narodowych, jak Mickiewicza, jak utwory powieściowe Kraszewskiego, doznały niezwykłego powodzenia. Nietrzeba téż zapominać, że postępy w tym względzie łączą się ściśle z literaturą, a mianowicie z tém, o ile ona sama dostarcza materyału do wydań ilustrowanych. Gdy brak jest dzieł wykończonych, opracowanych, noszących na sobie piętno nauki, talentu, wydawnictwo ucieka się do pożyczek i przekładami zastępuje samodzielne utwory. W omawianym tu wypadku mamy do czynienia nietylko z nowością pod względem formy ilustrowanéj, ale pod względem saméj treści. Nie jest przyswojoną tylko ilustracya, ale nie jest także swojską sama historya. Nie pochodzi ona z pod pióra miejscowego, lecz jest nabytkiem cudzym. To stanowi więc drugą okoliczność, która przy wypowiadaniu sądu o wartości dzieła nie może być pomijana z uwagi. I tu także na tém polu zaniedbaliśmy pracę. Od bardzo wielu lat daliśmy się wyprzedzić. Większe, obszerniejsze historye powszechne zupełnie się u nas nie ukazywały. Nie mówimy tu o różnych podręcznikowych pracach szkolnych, które bądź w przekładach, bądź w opracowaniach samodzielnych czyniły zadość powstającéj potrzebie, ale mamy na myśli ogólne, wielkie obrazy powszechno-dziejowe, które szczególniéj w literaturze niemieckiéj takie pożądane, zazdrości godne stanowią zjawisko. Nie mamy u siebie Schlosser'ów, Rotteck'ów, Weber'ów i innych o kilkunastu tomach wydawnictw ogólno-dziejowych. Ostatniém wspaniałém pod względem zewnętrznym przedsięwzięciem było wydawnictwo Cezarego Cantu, które miało nawet powodzenie, „Historya powszechna" 1853 — 1857 w XI tomach. Od lat czterdziestu ustala wszelka na tém polu czynność. Wobec tak długiego uśpienia, jakie panowało w literaturze powszechno-dziejowéj, wobec téj nowéj postaci, w jakiéj się ukazuje ten rozbudzony ruch wydawniczy, witamy z prawdziwą radością objawy życia literacko-artystycznego w tym kierunku. Bo pod względem ilustracyi nadmienić trzeba, że dzieło, które za wzór służyło, należy do dobrze znanych w Niemczech, które obecnie już

w trzeciém wydaniu zjednało sobie popularne uznanie. Z tego punktu widzenia nic dziełu zarzucić nie można. W każdym okresie zarówno z epoki starożytnéj, jak z czasów nowożytnych, przebija wszędzie wytworny smak i doskonała znajomość stylu. Tandety, która tak często razi w dziełach tego rodzaju, nigdzie nie widać. Zarówno utwory sztuki artystycznéj, jak budowniczéj, tak i reprodukcye skończonych arcydzieł malarstwa, sprawiają piękne wrażenie. Nietylko ujmują swym doborem, swą obfitością, bogactwem liczby, ale także jednają wzrok widza swą rozmaitością. Nie same klasyczne dzieła mistrzów włoskich zdobią średniowieczną i nowszą historyę, ale we właściwych miejscach występują utwory takich głośnych i sławnych władców pędzla, jak Pradilla, Matejko i in. Już to wogóle w dziele tém niebrak malowideł wydatnych, charakterystycznych, które rzucają na epokę wybitne światło. Przyczyniają się także niemało do plastyki rysowanego obrazu mapy geograficzne, które uwydatniają fizyognomię kraju pod względem oro- i hydrograficznym. Nie masz właściwie zarzutu, którymby wydawnictwo to obarczyć było można. Zrobiono bardzo wiele, żeby dzieło upiększyć, żeby mu nadać pozór powabny. Nakład p. Fr. Bondego zasługuje na zupełną pochwałę.

Wypada kilka słów jeszcze powiedzieć o przekładzie samego dzieła. Czy przeciw wyborowi dotyczącemu samego wzoru nie dałoby się czego powiedzieć? Pytanie to nie jest atoli zarzutem. Niełatwa jest decyzya wobec dość ograniczonéj liczby dzieł, zasługujących na wyszczególnienie, ale w wykonaniu samego przekładu tém większe zalecone jest staranie. Na czele pomieszczone jest téż nazwisko historyka polskiego, które daje wszelką rękojmię dbałości naukowéj. Tymczasem pomimo, że już dwa tomy ukazały się téj pracy w przekładzie, nie widać jeszcze śladu bezpośredniego w niéj udziału głównego redaktora. Na początku oczekiwaćby można jakiegoś zagajenia, któreby czytelnika wprowadziło w treść rzeczy, objaśniło go co do planu przedsięwzięcia, wartości i znaczenia naukowego saméj pracy niemieckiéj, co do przygotowania, jakie pod tym względem zastaje literatura ojczysta. Niestety, w tym przedmiocie panuje w przekładzie głuche milczenie. Czyżby istotnie było tak, jak się to niekiedy zdarza, że ilustracye stanowią ważniejszą rzecz, aniżeli sam tekst? Nam się widzi, że pewne lekceważenie spostrzegać się daje pod względem redakcyjnym. Bo w każdym razie nie widać w przekładzie dość potrzebnego starania językowego i stylistycznego. Następne tomy, których będzie cztery, albo pięć, powinnyby przejść przez staranniejsze pióro redakcyjne. Tak nas do takiego żądania upoważnia wprawna i wyrobiona ręka prof. L. Kubali, że nie bez pewnego bólu słuchać musimy w historyi Grecyi szeregu

wyrażeń twardych, niepoprawnych, np. galerya w Tyryns, brama lwia w Mykene i wiele innych nierównych zwrotów jak kastylski i kastylijski oraz chropawych przekładów. Rażą także prowincyonalizmy, które w tłomaczeniach dopuszczane być nie powinny jak np. „na każdy sposób" albo „nie mogło się rozchodzić żadną miarą o podbicie;" poprzestajemy na wyliczeniu tych usterek. Mamy tę nadzieję, że następne tomy nie dadzą nam powodu do żalenia się na takie niedokładności językowe i stylistyczne, bo dzieło z takim nakładem i z takim pożytkiem przedsięwziete powinno być wolném od błędów, które szpecą artystycznie wykonane przedsiewzięcie.

A. P.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *G. T. W. Patrick.* **Psychologia kobiety w świetle nowych faktów i teoryi.** Przełożył z angielskiego *J. Wł. Dawid.* Warszawa 1896, str. 31. — We wciąż wznawianéj, bo dalekiéj od wyczerpania kwestyi stosunku dwóch płci do siebie pod względem umysłu i uzdolnienia do działalności praktycznéj niezmiernie pożądane są prace, bezstronnie przedstawiające wyniki badań naukowych, gdyż takie jedynie studya przyczynić się mogą skutecznie do rozjaśnienia pojęć i wyrobienia sobie pewnych poglądów co do rodzaju i zakresu uzdolnień kobiecych. Do prac takich należy ta, któréj tytuł powyżéj wypisałem. Autor jéj nie należy do zwolenników emancypacyi niewiast, lecz nie chce być zaliczonym do stanowczych przeciwników téjże; stara się jeno okazać na podstawie poszukiwań antropologicznych, że mózg i życie wewnętrzne kobiety są inne (ani niższe, ani wyższe) niż mózg i życie wewnętrzne mężczyzny. Na wstępie streszcza króciutko cztery teorye, dotyczące właściwości umysłu kobiecego: 1) „że kobieta jest pewnego rodzaju niższym, niewykończonym człowiekiem i wyraża w sobie rozwój powstrzymany"; 2) „że kobieta jest dojrzałém dzieckiem i zawsze do pewnego stopnia charakter ten musi zachować"; 3) „że jakkolwiek kobieta istotnie należy do typu dziecięcego, to jednak typ dziecięcy jest właściwym typem rasy, doskonalszym, aniżeli typ mężczyzny, którego cechą charakterystyczną jest starczość;" 4) „że w całym świecie zwierzęcym, o ile sztuczne wpływy nie zmieniły stosunków naturalnych, samica fizycznie pod względem

wielkości i żywotności wyżéj stoi od samca i dokładniéj wyraża istotne cechy gatunku." Roztrząsnąwszy następnie na zasadzie danych antropologii, fizyologii i psychologii cechy znamienne, charakteryzujące ustrój nerwowy, rodzaj umysłu, ubiór kobiet, stwierdza autor, że fakty przemawiają „w pewnym stopniu" za każdą z tych czterech teoryi, z wyjątkiem tylko niższości kobiety. „Ściślejszy związek kobiety z historycznėm życiem rasy, jéj pokrewieństwo z dzieckiem, jéj charakter typowy, wcielenie się w niéj wiecznotrwałych cech ludzkości, objawy jéj opóźnienia się w danéj chwili w rozwoju — wszystko to są fakty, które nasuwają nam współczesne badania antropologiczne" (str. 30). Autor wszelako zastrzega się, że fakty te nie są jeszcze ostatecznie udowodnione; lecz muszą jeszcze być w przyszłości uzupełnione, a prawdopodobnie w wielu wypadkach sprostowane. Swoje widzenie rzeczy wyjawia Patrick bardzo oględnie w końcowym ustępie swéj pracy: „Czy kobieta, która wyobrazicielką jest przeszłości i przyszłości rodzaju ludzkiego, któréj istotne cechy stanowią skupienie, bierność, spokój i przechowywanie siły, na któréj w stopniu większym niż na mężczyźnie leży ciężar i odpowiedzialność wydawania nowych pokoleń,—czy kobieta nie jest czémś zbyt świętém, ażebyśmy ją brutalnie rzucać mieli w wir życiowéj walki; czy nie zasługuje ona, ażeby ją mężczyzna uwolnił od niektórych obowiązków, do jakich sam dobrze się czuje usposobionym dzięki swéj naturze, niespokojnéj i czynnéj?" (str. 31).

= **O Czechach ich kraju i życiu** napisała *Antoszka*. Warszawa M. A. Wizbek, 1895, str. 84. — Jestto książeczka bardzo przystępnie i zajmująco pisana, a przedstawiająca najprzód krótkie dzieje kraju czeskiego (str. 3—8), geograficzne położenie tegoż, jego góry, rzeki, jeziora i klimat z dodaną mapką (str. 8—14), rośliny, zwierzęta, minerały, źródła mineralne (str. 14 — 18), koleje żelazne, szosy, poczty wiejskie (str. 18—24), hodowlę bydła, drobiu, ryb, pszczelarstwo i jedwabnictwo, uprawę lnu i konopi; szkoły rolnicze (str. 24 — 28), ogrodnictwo, sadownictwo, obsadzanie dróg; uprawę chmielu, wina, leśnictwo (str. 28—31); charakter, obyczaje rodzinne, strój ludu czeskiego (str. 33 —40); obchody doroczne: Boże Narodzenie, Nowy Rok, Trzech króli, Wielkanoc, Dożynki, Zaduszki, odpusty, pielgrzymki (str. 40 — 48); oświatę w Czechach: szkoły, gazety, księgozbiory, muzea, poszanowanie pamiątek, instytucyę Macierzy szkolnéj (str. 48 — 53); rozmaitego rodzaju stowarzyszenia, jak: straż ogniowa, towarzystwa gimnastyczne, muzykalne, dobroczynne, poprawcze, przemysłowe, wre-

szcie teatr (str. 53—58); miasta i wsie, domy, mieszkanie i życie miejskie, chaty po wsiach, mieszkania górskie (str. 58—64), instytucye mające na celu niesienie pomocy lekarskiéj, przytułki dla matek rodzących, dla podrzutków (str. 64—66); przemysł: górnictwo, hutnictwo, piwowarstwo, cukrownictwo, młynarstwo, garbarstwo i t. d.; rzemiosła: wyrób koronek, papiernictwo, wydawnictwo książek i t. d. (str. 67—78). W rozdziale końcowym (str. 78—84) mówi autorka o podziale urzędowym Czech, o wyborach, sądach, podatkach, służbie wojskowéj, o emigracyi do Ameryki, o żydach. Jak widać z dołączonych wskazówek, dotyczących ilości stronic poświęconych każdemu rozdziałowi, wszystkie te wiadomości są podane bardzo zwięźle, a ilustrowane tu i owdzie obrazkami. Może za dużo chciała autorka objąć na raz, chcąc zapewne zaciekawić obrazem życia, rozwijającego się w całéj pełni, lepszy atoli jest taki nadmiar niż wodnista rozwlekłość i gadatliwość. Kto chce, ten się z téj małéj książeczki dużo nauczy.

— **Isokrates wobec Politei ateńskiéj Arystotelesa**. Napisał *Stanisław Schneider*. Kraków. Nakł. Akademii Umiejętności. 1895, str. 25.— Odkryta przed kilku laty rozprawa Arystotelesa o ustroju państwowym Aten stała się przedmiotem bardzo ożywionéj dyskusyi nietylko wśród filologów niemieckich, ale i naszych. P. Schneider mianowicie, oprócz obszernego studyum, poświęconego saméj owéj rozprawie, wziął ją za punkt porównania z innemi opiniami Greków, mniéj więcéj Arystotelesowi współczesnych. Szkic, którego tytuł wyżéj podano, ma na celu także porównanie poglądów Stagiryty z poglądami znakomitego retora ateńskiego Isokratesa, który żył od r. 436 do 338, w sprawie oceny znaczenia związku państw greckich (symmachii) pod hegemonią Aten w V wieku przed Chrystusem. Okazuje się z tego zestawienia, że Arystoteles, z powodu sympatyi swoich dla Sparty, wcale nie uważał owego okresu w dziejach za tak świetny zarówno dla innych państw, jak i dla Aten, owszem poczytywał go za dobę powolnego nachylania się ku upadkowi tego stanu kwitnącego, jaki po wojnach perskich nastał. Isokrates natomiast, lubo w ciągu długiego życia swego zmieniał poglądy dotyczące owéj symmachii, był jako Ateńczyk mocniéj przejęty chwałą swego grodu i słuszniéj oceniał doniosłe jego znaczenie wśród innych grodów heleńskich. Z drobiazgowych zestawień i porównań, wśród których ukazują się nam różnorodne opinie o najsłynniejszych mężach ateńskich: Temistoklesie, Arystydesie, Cymonie, Peryklesie, autor wyprowadza ten ostateczny wniosek, że sumienne zastanowienie się nad

rozprawą Arystotelesa daje lepiéj poznać, „jak drogocennym skarbem w literaturze świata są Panegiryk i Panatenaik (Isokratesa), dwa arcydzieła godne sławnego mówcy i wiekopomnéj przeszłości Aten.”

= *Włodzimierz Koszyc.* **U wód**, nowela. Petersburg, K. Grendyszyński, 1896 str. 112. Poprzedni szkic młodego autora p. t. „W szynelu” był już przedmiotem rozbioru w „Ateneum.” Cechy kompozycyi i stylu noweli są oczywiście podobne do tych, jakie zaznaczono w szkicu. Snuje opowiadacz wątek swoich wspomnień w sposób urywany, przeplatając je refleksyami i obrazkami mającemi tę głównie zaletę, że w nich to wszystko, co jest zbyt powszedniém, codzienném, znaném, lub téż to, czego się łatwo domyślić można, zostało opuszczoném, tak iż autor dotyka tylko cech bardzo znamiennych, myśli wyrażonych w formie świeżéj, w zwrotach mniéj spodziewanych. Do wód krajowych zjechała aktorka Felcia, którą opowiadacz znał przedtém ze strony najlepszéj, jako entuzyastkę przejętą wysokiém powołaniem sztuki, jako osobę obdarzoną delikatném i szlachetném uczuciem. Teraz widać ją w towarzystwie jakiegoś pana, którego ona przedstawia jako swego brata, również aktora. Brat ten czy nie brat (opowiadacz nie rozjaśnia téj wątpliwości) nie ma najmniejszego talentu, jest samolubem bardzo grubego gatunku, pospolitym samochwałem i cynikiem. Narrator zachodzi w głowę, co mogło skłonić subtelną Felcię do zjednoczenia się z tym gruboskórnym partaczem, wiecznie będącym w długach, wiecznie niezadowolonym, ale téj zagadki nie rozwiązuje— przynajmniéj wobec czytelników. Przedstawienie, na które musiano wpuszczać widzów za darmo, byleby sala nie świeciła pustkami, jest środkowym punktem noweli, w około którego skupiają się drobne przygody życia kąpielowego i uwijają się sylwetki kilku dosadnemi rysami nakreślonych osób. Z pomiędzy nich, oprócz dwu postaci głównych, wybitnieją: p. Tarżo zadomowiony szlachcic prowincyonalny wraz z swą małżonką przeplatającą odmawianie koronki uwagami postronnemi, p. Gorylski filozof jeżdżący na bicyklu i przechwalający się swojém dziełkiem, które krytyka o plagiat posądziła, p. Schulsinger, żyd postępowy, chcący rozpocząć propagandę reformy wśród współwyznawców od żołądka za pośrednictwem kiełbasy, organizator zabaw wszelakich, amator przedstawień teatralnych, na które dostaje gratysowe bilety. Podobieństwo nazwiska swego zaśniedziałego szlachcica z nazwiskiem brata Felci (Tarszo) wywołuje zrazu nieporozumienie, ale następnie staje się łącznikiem między obu osobami, tak ż w iemię

tego podobieństwa i domniemanego pokrewieństwa, znalazł się i wieniec dla Felci i kolacyjka po przedstawieniu, i co więcéj pożyczka półtory „stówki,” wyłudzona przez sprytnego do takich interesów aktora. Opowiadacz jak rozpoczął swe wspomnienia od pochlebnéj dla Felci charakterystyki, tak téż je zakończył żalem, że jéj „ofiara” dla brata pewnie pójdzie na marne; nie potrafił jednak zjednać czytelnika do podzielania wraz z nim tego żalu...



NEKROLOGIA.

† **Michał Zieleniewski**, rodem z Galicyi, (ok. 1820) medycynę studyował w Krakowie, następnie został profesorem tamecznego uniwersytetu, lekarzem rządowym w Krynicy i sekretarzem komisyi balneologicznéj. Zasłynął jako wielce czynny balneolog. Rozpoczął swą działalność literacką w roku 1846 ogłaszając w Krakowie rozprawę: „O przesądach lekarskich ludu naszego." Potém zajął się specyalnie opisem wód galicyjskich: jako to: „Wody lekarskie szczawnickie" (1852), „Wody lekarskie okręgu rządowego krakowskiego" (1857); od r. 1858 rozpoczyna się ogromny szereg sprawozdań i rozmaitych innych prac („Przewodnik podróży") dotyczących zakładu zdrojowego w Krynicy w języku polskim, niemieckim i francuskim. Wylicza je szczegółowo Bibliografia XIX w. Estreichera. Oprócz tych rozpraw napisał: „De chlorosi" (1852), „Przyczynek do historyi akuszeryi w Polsce" (1857), „Notatki do historyi akuszeryi w Polsce" (1862), „Rys historyczno-balneologiczny o dawnych i dzisiejszych łaźniach parowych" (1864), „Rys balneologii powszechnéj" (1873). Zmarł w Krakowie 17 kwietnia r. b. zapisawszy przeszło 200,000 na cele użyteczności publicznéj (dla Akademii Umiejętności, na stypendya, na rzecz przyszłych wodociągów w Krakowie).

† **Eugieniusz Ciemniewski**, urodzony 1827, nauki szkolne pobierał w Szczebrzeszynie, a potém w Warszawie. Zamiłowanie wielkie miał do języków; władał podobno dokładnie dwunastoma; prócz tego poświęcał się studyom historycznym, archeologicznym i artystycznym. Szereg rysunków jako szkic do płaskorzeźby wydał p. t. „Jan III pod Wiedniem". Czterotomowy „Zbiór pamiętników do dziejów polskich" wydany w Warsz. r. 1858 kosztem Włodzimierza hr. Platera, jest pra-

wie wyłącznie wynikiem pracy ś. p. Ciemniewskiego. W r. 1860 spolszczył „Pamiętnik nowogrodzkiego podsędka Teodora Jewłaszewskiego.” W roku 1862 został profesorem języków starożytnych i historyi w gimnazyum łomżyńskiém, a następnie w Warszawie w gimnazyum II (dziś III), gdzie pełnił obowiązki do r. 1876 wywierając dobroczynny wpływ na uczniów. Ostatnie lat 20 spędził w gronie rodzinném we własnéj siedzibie pod Warszawą. Zmarł w początkach r. b.

† **Wacław Sawiczewski**, ur. 1874 w Krakowie, tam téż odbył nauki średnie i rozpoczął uniwersyteckie na wydziale filozoficznym. Przed dwoma laty zabrał się z zapałem do pracy literackiéj. Znane są dwie jego sztuki dramatyczne, grane z powodzeniem w Krakowie: „Z powrotem”, „Na bezdrożach” (nagrodzona na konkursie Wydziału krajowego), oraz nowela p. t. „Grafoman”, premiowana również na konkursie nowelistycznym w Krakowie. Zmarł 27 kwietnia r. b.



Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Апрѣля 1896 г. — Druk Jana Cotty.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

---

1. **100 rad dla nerwowych.** Napisał dr. *Breits.* Warsz. nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1896, str. 74.
2. *Wanda Grot Bęczkowska.* **Bez woli.** Powieść w trzech częściach. Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 709.
3. *Henryk Piątkowski.* **Maksymilian Gierymski.** (Kartka z dziejów sztuki). Warsz. nakł. księg. M. A. Wizbeka, 1895, 8-vo, str. 66.
4. **Wybór pism** *Henryka Heinego.* III. Proza. Przekł. *Maryi Konopnickiéj.* Warsz. skład gł. w biurze Spółki Nakładowéj, Żurawia 34, 8-vo str. 204.
5. *Jerzy Żuławski.* **Na strunach duszy.** Poezye, garść pierwsza. Kraków, str. 258.
6. Biblioteka powszechna W. Zukerkandla: N. 121 *Goethe,* **Ifigenia w Taurydzie.** Dramat. Przekład *J. Kasprowicza,* str. 88 (cena kop. 10); Nr. 146—147 *Szekspir,* **Juliusz Cezar** tragedya. Przekł *A. Pajgerta,* str. 110 (kop. 20); Nr. 152 — 153 *Edw. Pailleron,* **Świat nudów.** komedya. Przekł. *J. Kaźm. Zieliński,* str. 119 (kop. 20); Nr. 156 *A. Mickiewicz,* **Grażyna.** str. 60 (kop. 10); Nr. 157 — 158 *P. Mantegazza,* **Jak dożyć sędziwego wieku?** Przekład *K. O.* str. 96 (kop. 20); Nr. 163—164 *Goethe,* **Torkwato Tasso.** dramat. Przekł. *J. Kasprowicza.* str. 132 (kop. 20); Nr. 161 *A. hr. Fredro,* **Nikt mnie nie zna.** komedya, str. 42 (kop. 10); Nr. 165—166 *Zygm. Grabowski,* **Trzy lata w Algierze,** wspomnienia żołnierza, str. 135 (kop. 20); Nr. 169 *A. hr. Fredro,* **Pan Benet,** komedya, str. 40 (kop. 10). Skład gł. w księg. T. Paprockiego i S-ki.
7. **Wyniki doświadczeń** nad produkcyą buraków cukrowych z różnych odmian nasion, wykonanych w r. 1895; z inicyatywy Sekcyi Cukrowniczéj W. Oddz. T. p. r. prz i t. p.—Warsz. 1895, 8-vo, str. 49.
8. *B. Ulanowski.* **Najdawniejszy układ** systematyczny prawa polskiego z XV wieku. Krak. nakł. Akademii Umiej. 1895, str. 154.
9. **Synowie Pana Marcina.** Powieść wiejska przez *Klemensa Junoszę.* Warsz. 1896, druk Józefa Zawadzkiego, 8-vo, str. 276.
10. *Pierre d'Alheim.* **Moussorgski.** Paris, Société du Mercure de France, 1896, 8-vo, str. 322 (z portretem).
11. *Jadwiga z Ciecierskich J...* **Lilith,** poemat dramatyczny. Warsz. skład gł. w księg. Wizbeka, 1896, 8-vo, str. 114.
12. *Maurycy Jókai.* **Oj ta starość!** Powieść. Warsz. skład gł. w księg. Wizbeka, 1896, 8-vo str. 372 z portretem autora.
13. **Pan Bartłomiéj** czyli tkacze w Komarowie. Powieść *Juliusza Sztarkla.* Warszawa w księg. M. A. Wizbeka, 1896, 8-vo, str. 51 z trzema rysunkami.
14. **Współpracownicy rolnika:** kret, jeż i nietoperz. Pogadanka dla ludu wiejskiego i miejskiego. Napisał *B. H. Tarczyński.* Warsz. skład gł. w księg. Wizbeka, 1895, 8-vo. str. 20.
15. **Dzieje powszechne illustrowane.** Wiedeń, nakładca Franc. Bondy, skład gł. w Warszawie u G. Centnerszwera. Zeszyty 64—76 (cena zeszytu 24 kop.).
16. **Sbornik** za narodni umotworenija, nauka i knižnina izdawa Ministerstwoto na narodnoto proswieszczenije. Kniga XII. Sofija, 1895, str. 648 i 299 z rysunkami.
17. *Amand Schweiger-Lerchenfeld.* **Geografia powszechna** illustrowana. Przełożył i uzupełnił dr. *Karol Jurkiewicz.* Warsz. nakł. M. Orgelbranda. Zesz. 44 (cena zesz. z przesyłką kop. 30).
18. **Pamiątka z Jasnéj Góry** w Częstochowie. Zebrał *L. Dymitrowicz.* Nakład Gebethnera i Wolffa (17 chromolitografii).
19. *Włodzimierz Koszyc.* **U wód.** Nowela. Petersburg, K. Grendyszyński, 1896, str. 112.
20. *Sewer.* **Biedronie.** Powieść. Z 34 ilustracyami Wł. Tetmajera. Petersb. nakł. K. Grendyszyńskiego, 1896, 8-vo, str. 321.
21. **Arcydzieła Szekspira** w przekładach Korzeniowskiego, Kozmiana i t. d. Lwów, nakł. księgarni Polskiéj skład gł. w księg. G. Centnerszwera w Warsz. (zesz. 57—60).
22. *Adam Pług.* **Officyalista.** Powieść. 4 tomy. Warsz. nakł. S. Lewentala (1896), 8-vo, str. 317, 383 i 413.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa